

Copyright © Rafał Ziernkiewicz, Rafał Geremek, Czerwone i Czarne Projekt graficzny FRYCZ I WICHA Zdjęcie na okładce: Bartłomiej Molga Redakcja Przemysław Skrzydelski Skład Tomasz Erbel Wydawca Czerwone i Czarne sp. z o.o. Rynek Starego Miasta 5/7 m. 5 00-272 Warszawa Druk i oprawa Drukarnia Colonel ul. Jana Henryka Dąbrowskiego 16 30-532 Kraków Wyłączny dystrybutor Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o. ul. Poznańska 91 05-850 Ożarów Mazowiecki ISBN 978-83-7700-017-5 Warszawa 2011 WKURZAM SALON () Z Rafałem Ziernkiewiczem . rozmawia Rafał Geremek Warszawa 2011

Rozdział I.

Byłem wieśniakiem jak większość rodaków / nasz postkolonialny kraj / obciach bycia Polakiem / antysystemowy tata / zwyczajna prowincja szkołą życia / negatywne emocje w polityce / kto z nami, ten rządzi / strach przed Kaczyńskim trzyma wszystkich w ryzach / cymbały wokół nas / jestem stąd i będę (6) Mówisz o sobie, że jesteś ze wsi. Urodziłeś się w Piasecznie, wychowałeś w Warszawie. To taka prawicowa kokieteria? Moja rodzina z Czerwińska poczuła się tą "wsią" trochę urażona. Pamiętamy, że Czerwińsk, z racji swego strategicznego położenia, był znaczącym ośrodkiem jeszcze w czasach, kiedy Kraków był małym gródkiem, a w miejscu przyszłej Warszawy czochrały się tury. Nazwa pojawia się w zapisach z czasów Mieszka II, a kościół, który do dziś panuje nad okolicą, zbudowany był przez Władysława Hermana, ojca Bolesława Krzywoustego; nie lokowało się takiej, na owe czasy, katedry, w byle dziurze. Prawa miejskie stracił Czerwińsk dopiero w 1865 roku i była to zemsta cara za zaangażowania mieszkańców w powstanie styczniowe. Ale zemsta, niestety, skuteczna, bo od tego czasu zaczął się zmierzch miejscowości. Mój dziadek Stanisław był przed wojną jej wieloletnim wójtem, lokalnym społecznikiem, ważnym działaczem Stronnictwa Narodowego w powiecie plockim; miał dużą bibliotekę i, jak pisałem, w jednej książce, takie szczególne dziwactwo, że nie trzymał w niej ani nawet nie czytał przekładów. Uważał, że Polak powinien czytać polskich pisarzy, zwłaszcza Reymonta, którego uważał w ogóle za największego pisarza w dziejach. Na pew-

(7)

no więc nie był takim znowu zwykłym, prozaicznym chłopem, ale jednak chłopem, nawet jeśli kiedyś tam, przed zaborami, moi dalecy przodkowie pieczętowali się jakimś herbem, bo takiej zdeklasowanej przez zaborców szlachty na Mazowszu było sporo. Wcześniej Stanisław był żołnierzem II Brygady Legionów, a jego młodszy brat Antoni jako ochotnik walczył między innymi pod Radzyminem w 1920 roku. Potomstwo Stanisława Czerwińsk opuściło, Antoniego w nim pozostało. Natomiast z rodziną mojej mamy jest śmiesznie, bo mieszkała w Górze Kalwarii... A co w tym śmiesznego? Przed wojną Góra Kalwaria -nazwana tak stosunkowo niedawno, na mapach z początku XIX wieku figuruje jeszcze jako tylko "Góra" -była ważnym ośrodkiem religijnym dla Żydów i oni stanowili wielką część jej mieszkańców. Jest taki stale cenzurowany tekst Tuwima "Wiersz, w którym poeta uprasza wszystkich, aby go raczyli w dupę pocałować", gdzie w przedostatniej zwrotce adresuje to wezwanie: "Wy, łapiduchy z Jasnej Góry, z Góry Kalwarii parchy święte ... ", Jeśli Tuwim widział w Górze Kalwarii żydowski odpowiednik Jasnej Góry, to pewnie niewiele przesadził. A śmieszne jest to, że kiedy nazwa miejscowości, z której pochodzi moja mama, padała przy ludziach żydowskiego pochodzenia, z punktu stawałem się obiektem ich zainteresowania i, odniosłem nieodparte wrażenie, rozmaitych aluzji mających mnie nakłonić, żebym już przestał udawać i dokonał tego "com ing outu", przynajmniej na gruncie towarzyskim. No więc może powinienem dodawać -rodzina (8) mamy mieszkała w Górze Kalwarii, ale w jej "gojowskiej" części. Zachowała się jakaś pamięć o tej drugiej części?

Tyle co nic. Babcia, u której pomieszkowałem jako dziecko w wakacje, czasem opowiadała o pejsatych Żydach w chałatach i myckach, i małych Żydkach, z którymi się kiedyś bawiła. Mówiła też oczywiście, co się z nimi potem stało, i że Niemcy nie chcieli oszczędzić nawet tych dzieciaków. To się mogłoby wydawać oschłe, jej opowieść, ale tak samo oschle opowiadała, jak w 1944 roku wychodzili co wieczór oglądać, jak płonie Warszawa. Myślę, że to pokolenie tyle

przeżyło, że musieli w sobie wzbudzić jakąś niewrażliwość, odrętwienie na zbrodnie, bo gdyby ciągle to przeżywali, to by powariowali. Czyli właściwie jesteś nie tyle ze wsi, co po obojgu rodzicach z małych miasteczek, powiedzmy, że zjednego zdeklasowanego. Ale to mało istotne szczegóły. Mówię, że jestem ze wsi, bo praktycznie wszyscy współcześni Polacy pochodzą ze wsi i to raczej z chałupy niż z dworku. Najlepiej to widać we Wszystkich Świętych; miasta się wyludniają, a na drogach za rogatekami robi się jeden wielki korek. I większość Polaków strasznie się tego wsiowego pochodzenia wstydzi. Stąd np. nienawiść Polaków do gwary, do dialektów, bo to pozostałość przeszłości wiejskiej, którą trzeba zdeptać. Zatem ja się deklaram otwarcie, żeby pokazać, że to żaden wstyd pamiętać, skąd ci nogi wyra-

(9)

stają. Ten kompleks trzeba zwalczać, bo właśnie on czyni Polaków bardzo podatnymi na manipulację. Łatwo to wyjaśnić, chociaż ktoś może mi zarzucić, że dokonuję jakiejś chałupniczej psychoanalizy ... Nie uwierzę, że ta obawa cię zniechęci do jej wygłoszenia. Nie zniechęci, masz rację. Bo skąd się bierze ten straszny potencjał nienawiści, jaką widać w naszym życiu codziennym? To, że publiczność kabaretowa domaga się dowcipów przypominających antyżydowskie żarty ze "Szturmowca", że każda dyskredytująca kogoś plotka jest podchwytywana bez żadnych prób weryfikacji, że nawet w środowiskach uważających się za kulturalne standardem są pogawędki, które mają upewnić rozmówców, że mają te same obiekty pogardy i że znajdują potwierdzenie swej wartości w ponizaniu i zniesławianiu tych samych osób? W "Polactwie" wiele pisałem o podobieństwie Polaków do krajów i społeczności postkolonialnych, gdzie sukces i pozycja społeczna postrzegane są nie jako potwierdzenie osobistych zasług, ale jako cena za sprzedanie się zaborcy, nagroda za kolaborację, i gdzie istnieje z tego powodu wzajemna pogarda między elitą a, nazwijmy to, ludem. On generalnie gardzi elitą jako zdrajcami, choć poszczególne jednostki marzą, by się równie korzystnie sprzedać. Elita gardzi ludem jako ciemną masą, bo ta pogarda leczy jej poczucie winy. To ładnie widać, jeśli dzisiejsze zachowania porównamy z dawną polską inteligencją, tą od Żeromskiego. Tamta podchodziła do ludu z poczuciem misji, ze świa-

(10) domością, że ma wobec niego obowiązki, a wręcz z bronowicką fascynacją. I do dziś można u niedobitków starej inteligencji pokazać ślady tej chłopomanii; mnie na przykład w głowie się nie mieściło, kiedy Zygmunt Wrzodak mógł takim ludziom jak Jan Olszewski czy Zbigniew Romaszewski dosłownie wchodzić na głowę, bo to przecież robotnik, prawdziwy robotnik, a więc - Lud uosobiony ... Najpierw myślałem, że to takie wyrachowanie, że działacz robotniczy jest nam potrzebny, żeby przyprowadzić mniej kumaty elektorat, ale przekonałem się, że nie, dla nich robotnik to nie jest ten, co mu "nie chciało się nosić teczki, musi dźwigać woreczki", oni wciąż mają w umysłach obraz tego monumentalnego młotkowego z winiety dawnych pism PPS-u. A inteligencja z awansu, ta obrazowanszczyzna, na którą targetowo kieruje się "Wyborcza" czy "Polityka", ludu, w jej języku zresztą nie ludu, tylko po prostu chamstwa, instynktownie nie znosi, bo on przypomina jej, skąd się wzięła. Ostatnio ten postkolonialny klucz do duszy współczesnego Polaka, który proponowałem, zaczyna być stosowany i przez innych, więc nie chcę się nad tym rozwodzić. Jest też i inny czynnik, może jeszcze ważniejszy. Rozmawiałem kiedyś z psychologiem, który zajmował się pomaganiem ofiarom przestępstw, zwłaszcza ofiarom gwałtu. I kiedy opisywał syndrom psychologiczny typowy dla osoby zgwałconej, uderzyło mnie, że pasuje on do powojennych zachowań społecznych Polaków. Ofiara gwałtu ma straszne kłopoty ze sobą i nosi w sobie poczucie winy. Wydaje się jej, że w jakiś sposób pozwoliła na to, co się stało, że (11) nie umiała się obronić i czuje wstręt do siebie; ciężko z tym normalnie żyć. Owa odraza, jaką Polacy czują do samych siebie, skłania, by jakoś wyodrębnić, napiętnować i odrzucić tę część siebie, na którą złoży się cały wstręt i tym samym zaznać poczucia oczyszczenia. Tworzy się więc jakąś figurę innego Polaka albo nie-Polaka, którego się nienawidzi. To może przybierać różne formy. Na przykład figury ukrytego Żyda: zaraz po Okrągłym Stole, gdy się człowiek obracał w

kręgach szukających identyfikacji patriotycznej, spotykał się z tym dyskursem dość szybko. Ktoś tam zawsze szeptał, że w rządzie jeden jedyny minister, co nie jest Żydem, to jest Syryjczyk -taki dowcip krążył o gabinecie Mazowieckiego. Coś podobnego słyszy się i dziś, choć już raczej słabo. Ja niedawno miałem w pociągu rozmowę z pewnym panem, który z głębokim przekonaniem mi wyjaśniał, że wszystkie postaci życia publicznego to ludzie podstawieni. Że na przykład całą rodzinę Komorowskich wymordowali Ukraińcy i podszyli się pod nich, zawłaszczając ich dokumenty, i obecny prezydent to właśnie żaden Polak, tylko potomek naszych oprawców. Ale tacy ludzie i zachowania to chyba dzisiaj jedynie folklor, a nie realne zagrożenie. Owszem, ten sposób leczenia polskiego kompleksu jako powszechnie piętnowany jest po prostu niemodny, naraża na izolację i wykluczenie. Dlatego nie warto miotać gromów na garstkę maniaków kolportujących jakieś stare ubeckie "listy Żydów", ważniejsze, by zauważać to, co ma identyczne przy-

(12) czyny i jest równie paskudne, a modne, promowane i uważane za oznakę przynależności do elity. Poczekaj; a te "listy Żydów" -znalazłeś na którejś z nich siebie? Tak, gdzieś u Leszka Bubla, ale to była kiepska lista. Nazywała się "listą ukrytych Żydów w środowisku dziennikarskim", a był na niej Konstanty Gebert; no jeśli

on jest "ukrytym Żydem", to ja się pytam, jak wygląda jawny? Pytałem tylko dlatego że jestem ciekaw twojego "prawdziwego" nazwiska. Też byłem ciekaw, dlatego tam zajrzałem. Niestety napisali coś w tym duchu: "Jego prawdziwego nazwiska na razie nie znamy, ale wystarczy spojrzeć na tę przebiegłą semicką twarz i poczytać, co wypisuje, żeby nie mieć wątpliwości ... ". Ale skoro zapytałeś o te "prawdziwe nazwiska", słuchaj, to jest doskonały przykład. Stereotyp jest taki, że gdy się kogoś spyta: „A jak się pan wcześniej nazywał? „, jest to odbierane jako pytanie z podtekstem antysemitycznym. Wiadomo, że jeśli ktoś zmieniał nazwisko, wówczas pewnie nazywał się Aprikozenkranz albo Rapaport. Tymczasem jak się zna postaci ze współczesnego życia publicznego, które używają zmienionych nazwisk, widać prawidłowość zupełnie inną: generał Wałach przerobił się na generała Wileckiego, poseł Iagięła na Jagiełłę, posłanka Cielebąk znana jest jako posłanka Sawicka, pułkownik Lichota zmienił sobie nazwisko na Lichocki... Prawie zawsze chodzi o to, żeby ukryć nazwisko chamskie, chłopskie. To jest w dzisiejszej Polsce prawdziwy obciach! A nazywać się po żydow-

(13)

sku, proszę bardzo, przecież znany kompozytor zmienił sobie banalne, plebejskie nazwisko Kowalski na Preisner, zakładając pewnie słusznie, że jako Kowalski kariery nie zrobi. Czyli twoim zdaniem, właściwym coming outem dzisiaj jest przyznanie, że się jest właściwie ze wsi? Tak. I teraz dla dramaturgii rozmowy powinienem wyznać, że naprawdę nazywałem się Ziemniak i przerobiłem się na Ziemkiewicz. Ale to by nie była prawda. Zresztą, Ziemkiewicz też chyba brzmi wystarczająco wsiowo. Piętnując to odcinanie się Polaków od własnych korzeni, badałeś historię swojej rodziny? Nie za bardzo. Niestety, słabo znam rodzinne dzieje, czego dzisiaj żałuję. Ale nie wynikało to jednak z chęci zatarcia swojej chłopskości, bo ja ani mój ojciec nigdy nie mieliśmy z tym problemem. Jego ciągnęło zawsze do chłopstwa, do ziemi. Dla niego największym szczęściem było, gdy sobie prawem kaduka taki kawałek pola zorał koło siedziby nadzoru wodnego w Górze Kalwarii, gdzie pracował. Zawsze też lubił towarzystwo. prostych ludzi, różnych Osuchów czy Kuciów, strażników wodnych, z którymi się stykał, kiedy pracował w terenie. Jak twój ojciec trafił z Czerwińska do Góry Kalwarii? Nie tak od razu. Najpierw był w szkole lotniczej w Dęblinie, skąd, jak to opisywałem, wylano go za noszenie krzyżyka. Potem w szkole morskiej (14) w Kołobrzegu, tam skończył budownictwo wodne, pracował przy budowie tamy we Włocławku i chyba stamtąd właśnie trafił do Góry Kalwarii, gdzie konstruowali wtedy most. A moja mama pracowała, nie powiem dokładnie gdzie, ale też przy tej budowie, jako sekretarka -zostało jej z tego takie dziwaczne powiedzonko, że ktoś "klnie jak pijany monter na moście". I tam się poznali. Jakiś czas mieszkali w Górze Kalwarii, potem, kiedy miałem jakieś cztery lata, dostali mieszkanie w

Warszawie. w tamtych czasach oznaczało to, że tata awansował. Właśnie, on to nie całkiem tak odbierał! To zabawna historia: dostaliśmy mieszkanie w Warszawie, ale mój tata robił wszystko, żeby się nie dać awansować do stołecznego biura. On chciał pozostać w Górze Kalwarii, wolał codziennie dojeżdżać tam PKS-em albo na skuterze. Uwielbiał tam pracować, miał tę swoją działkę, na której sadił pomidory, ogórki i inne warzywa, no i, jak mówiłem, towarzystwo mu odpowiadało. A biura po prostu nienawidził. Mówił, że jakby musiał siedzieć dzień w dzień z tymi wszystkimi partyjnymi cwaniaczkami, toby tam umarł. I robił, co mógł, aby przez te dwadzieścia lat nie awansować ze stanowiska kierownika nadzoru wodnego, co mu się zresztą udało. Z tego powodu wstąpił nawet do partii! Musiał tak zrobić, bo po iluś latach automatycznie awans się należał jak psu buda i po prostu nie było już sposobu go uniknąć; i wtedy przewodniczący zakładowej Podstawowej Organizacji Partyjnej obiecał mu to załatwić, ale jeśli w zamian ojciec weźmie tę czerwoną legitymację. Wielu (15)

ludzi w PRL-u wstępowało do partii, żeby zrobić karierę, ale mój ojciec był chyba jedynym, który wstąpił, żeby się przed jej zrobieniem obronić. Zabierał mnie często jako chłopaka do tej Góry Kalwarii i ta jego skłonność do prostych ludzi w naturalny sposób mi się udzielała. Nie gniewaj się, ale mam do takich deklaracji podejrzliwy stosunek. Co chwilę jakiś aktor albo pisarz mówi, że prawdziwie mądrzy są prości górale. Za co ojciec cenił tych prostych ludzi? To była zupełnie inna sytuacja niż aktora czy pisarza, który sobie utnie pogawędkę ze starą Maciejową, co przywozi cielęcinę albo z góralem, u którego wczasuje, i podziwia ich prosty, chłopski rozum. Mój tata sam był człowiekiem prostym i myślę, że widział w takich ludziach, strasznie to zabrzmi, ale co robić, ostoję pewnego porządku moralnego. Nie idealizował ich, ale uważał, że nawet jak są źli, to nie są przewrotni, nie potrafią być tak obłudni i cyniczni jak różni wysoko postawieni, których w życiu spotykał. Często powołujesz się w swojej publicystyce na znajomość "zwyckiej polskiej prowincji". Rozumiem, że pomieszkujesz na wsi i stąd ta wiedza? Owszem, w mieście trzyma nas praca i rok szkolny, ale poza tym wolimy mieszkać w domu zbudowanym przez teścia pod Kampinosem. Poza tym mamy z żoną spory kawał pola na Kujawach; wedle oficjalnej kwalifikacji zaliczamy się do gospodarstw średniorolnych. To jest nasza substancja, mówiąc ję-

(16) zykiem mickiewiczowskim, którą odziedziczą nasze córki. Mamy tam bardzo fajnych sąsiadów. Jednym z nich jest niezwykle obrotny gospodarz, a przy tym jeszcze działacz "Solidarności RI", który ma dwanaścioro dzieci i utrzymuje je z rolnictwa, co po prostu trudno sobie wyobrazić. W ogóle ta wieś nie ma nic wspólnego ze stereotypami, jakimi karmią nas media, bo żeby żyć z ziemi, trzeba być naprawdę bystrym człowiekiem i nieźle się uwijać, zwłaszcza dobrze się orientować w zawłościach różnych programów unijnych. To moje "ze wsi jestem" to taki trochę antyszpan, bo skoro w dzisiejszych czasach emocją wypromowaną przez media jest pogarda dla starszych, gorzej wykształconych i tych ze wsi, ja akurat do takiego wzorca wieśniaka pasuję. I wolę być po ich stronie niż po stronie takich gówniarzy, co idą pod krzyż wysmiewać się ze staruszek. Idealizację prostego człowieka kiedyś skarykaturował za prezydentury Wałęsy rysownik Henryk Sawka: leżą pijani w rowie jacyś trzej faceci z antenkami, a Wałęsa ze swoimi przybocznymi stoi nad nimi i woła: "Przyjechałem być mądry waszą mądrością", Dobrze i trafione. Oczywiście zdaję sobie sprawy z niebezpieczeństwa nadmiernego idealizowania "ludu". Wielu pravicowców gotowych jest się nawet okłamywać, aby ocalić w sobie wiarę, że w Polsce jest jakiś zdrowy lud, cudowny jak z Sienkiewicza, który śpi i trzeba go tylko mocno szturchnąć krzyżem i flagą białą-czerwoną, to wstanie i pogoni łże-elitę. (17)

Nie, po prostych Polakach historia przejechała się jak walec, są bardzo zdeprawowani, nie wygląda to wiele lepiej niż w "Dziennikach" Żeromskiego, a na pewno gorzej niż w tych uwielbianych przez dziadka Stanisława "Chłopach" Reymonta, bo tradycja została bardzo mocno skruszona i w miejsce chłopą pojawił się taki, można powiedzieć, wiejski lump. Zatem do tych ludzi trzeba dziś iść raczej z pracą u podstaw, niż po to, by od nich czerpać jakieś mądrości ... Choć oczywiście nauczyć się też tego i owego można. Mnie chodzi o co innego, o tę nienawiść i pogardę, która stała się bardzo "trendy", o leczenie przez rzeszę półinteligentów swych kompleksów poprzez intesywne

przeżywanie wyższości nad "starszymi, gorzej wykształconymi i z małych ośrodków". To jest trucizna, którą obecna władza sęczy w to społeczeństwo zupełnie świadomie, cynicznie, wiedząc, że dopóki jedna połowa społeczeństwa gardzi drugą, można nic nie robić albo wszystko, co się robi, spieprzyć, a na wybory rzucić hasło: nie pozwól, żeby buraki wróciły do władzy, zabierz babci dowód ... Mówisz mniej więcej to samo, co jeszcze kilka lat temu pisali publicyści zwalczanego przez ciebie "salonu": ten Kaczyński cynicznie judzi motłoch przeciwko elitom, ponieważ ludźmi mądrymi, wykształconymi ... A teraz, czekaj, gdzie ja to mam, Aleksander Smol ar mówi o Tusku: "Aby utrzymać się u władzy, generuje napięcie między własną partią a elitami", czyli nieco bardziej uczonym językiem dokładnie to, co powiedziałaś przed chwilą. I dodaje kilka soczy-

(18) stych epitetów w typie "populista, dla władzy nie cofnie się przed niczym" ... To oczywiście pokłosie ostrego ataku Tuska na dziennikarzy i ekonomistów. Ale co z tego wynika? Że w Polsce politycy nauczyli się odwoływać do emocji negatywnych. Do pogardy, nienawiści, poczucia wyższości. W tym sensie wszyscy oni okazali się pojętnymi uczniami Andrzeja Leppera. A Tusk bez wątpienia najbardziej pojętnym. Bo Lepper, a w ślad za nim Kaczyński i wielu innych uważało, że skoro bogatszych, ustawionych i generalnie mających powody do zadowolenia jest mniej, to gwarancją sukcesu jest wykreować się na reprezentanta tych ze społecznych nizin. Walić pięścią w stół, domagając się od warszawskich krawaciarzy więcej szacunku dla chłopca i robotnika, uderzać w "salon", gromić oligarchów i jajogłowych. Jak to czynią wszyscy populiści. Wszyscy poza Tuskiem, który w odpowiednim momencie zdał sobie sprawę, że dominującą w naszym społeczeństwie emocją przestaje być resentyment, a staje się nią aspiracja do awansu. Zdał sobie sprawę, krótko mówiąc, że cham pójdzie za kimś, kto mówi: my, chamy, złoimy wam, inteligentom i elitom, tyłki. Ale jeszcze chętniej pójdzie cham za tym, kto w jego, chama, imieniu powie: my, inteligenci i elity, złoimy wam, chamy, tyłki... Przecież te jego facebookowe wojska, ci młodzi, co nasładzają się myślą, że są "wykształceni z dużych miast", to w istocie ludzie wykształceni bardzo świeżo, często metodą wytnij-wklej albo na różnych prywatnych uczel-

(19)

niach, które

nie wymagały od nich niczego poza opłaceniem chesnego. Upraszczaś ... No pewnie, że upraszcam. Zjawisko jest złożone, o części przyczyn już mówiliśmy, a w "Michnikowszczyźnie" zwracałem uwagę na fakt, że w .prylu" niedobitki inteligencji żyły w takim poczuciu osaczenia, przytłoczenia przez chamów, że widać to świetnie w sławnym skeczu Kobuszewskiego, Gołasa i Michnikowskiego o hydrauliku albo w filmach Barei budowanych na schemacie "inteligent osaczony przez chamów" -i że to wytworzyło ogromną potrzebę "salonu", inteligentckiego azylu, na czym bardzo skutecznie zagrał Michnik. To chyba nie jest żadne odkrycie, że "Gazeta Wyborcza" czy .Polityka" to, mówiąc językiem marketingu, brandy budujące u odbiorcy poczucie wyższości. Czytam, wyznaję, więc jestem inteligentem ... Ale inteligent sam w sobie to "brand" raczej słaby Tu się mylisz bardzo! Bierzesz za dobrą monetę te inteligentckie lamente, w których nasi intelektualści się lubują, że nikt nas nie kocha, nikt nas nie ceni; byle cham, który się nabrał pieniędzy, chociaż nie umie jeść nożem i widelcem i zakłada białe skarpety do czarnych mokasynów, więcej w tym społeczeństwie znaczy ... Archetypiczna scena z "Dnia świra", gdy Kondrat, nauczyciel, przeżywa upokorzenie tym, że tak podle mu płacą ... No bo nauczycielom rzeczywiście podle płacą! W stosunku do czego? Do ich wykształcenia czy do czasu pracy i dwumiesięcznych wakacji? Jak to (20) wymierzać? Zapewne mają prawo czuć się niezadowoleni, i nie oni jedni. Ale zajrzyj do prac profesora Henryka Domańskiego, a zobaczysz czarno na białym, że grupą społeczną, która najbardziej zyskała na przemianach po 1989 roku, jest budżetówka. To są twarde, liczbowe dane. Znajdziesz tam także coś, co jest dla rozmowy na ten temat ważniejsze, badanie: kim byś chciał, żeby było twoje dziecko? Na tak zadane pytanie prawie 90 procent Polaków wybiera odpowiedź: inteligentem. Nie biznesmenem, nie księdzem, nic innego nie wydaje się dziś Polakom tak godne

szacunku, tak dobre dla własnego dziecka, jak żeby było inteligentem. To pokazuje, jaka naprawdę jest siła tego brandu. I dlatego ten, kto zdobył władzę nadawania tego miana, może mobilizować tu ogromne poparcie. Gdyby tak było, Unia Demokratyczna rządziłaby do dziś. Właśnie nie, bo UD tego miana wszystkich poza swoim gronem pozbawiała. To był jej błąd, wynikający z głębokiego, "salonowego" odruchu. My jesteśmy prawdziwymi inteligentami, my jesteśmy od wszystkich lepsi, wy nigdy nie będziecie tacy dobrzy jak my. To budziło wściekłość i chęć pogonienia pyszałków w diabły, co też szybko wyborcy uczynili. A Platforma odwrotnie: wy, którzy na nas głosujecie, jesteście inteligentami. Jesteście elitą. Wystarczy, że jesteście z nami, a możecie się czuć lepsi od tych, którzy z nami nie są. To było genialnie proste. Mówiąc językiem spotów kampanii z 2007 roku, Kaczyński pokazywał "salon" i mówił: zagłosujcie na mnie, to ja ten "salon" rozpędzę kijem. A Tusk odpowiadał: zagłosujcie (21)

na mnie, to ja was do tego "salonu" wprowadzę. Musiał wygrać, bo to był ten właśnie moment, kiedy Polakom zaczynało być lepiej i niczego nie chcieli tak mocno jak awansu. Ale Tusk nie był wcale kandydatem elit. Raczej Lewica i Demokraci, Kwaśniewski, wcześniej Geremek, którego Platforma zdradziła, wychodząc z Unii Wolności ... Dlatego ten numer by się Tuskowi nie udał, gdyby "salon" nie porobił się ze strachu przed Kaczyńskim. Wtedy padło hasło "Tusku, musisz", a tak naprawdę, właśnie oni musieli i w większości czują, że muszą nadal, choć w chwili gdy rozmawiamy, widać już, że epoka Tuska się kończy. Oczywiście, jeśli spojrzeć na to trzeźwo, PO jest raczej partią parweniuszy, ludzi takich jak Miro i jego Zbychu. Sam Tusk, powiedzmy sobie, też przecież jest człowiekiem, który rozrywki szuka na boisku, a nie w teatrze. Ale to było raczej jego siłą. W przeciwieństwie do nadętych UD-eków jawi się jako żywy dowód -ja zostałem inteligentem i ty też możesz. Jarosław Kaczyński bardzo często podkreśla, że Tusk nie jest inteligentem. Nie ukrywa, że uważa się za mądrzejszego i lepiej urodzonego, że nie wychowywał się na podwórku ... Że Platforma to lumpy, bo nie wiedzą, że kobiecie ustępuje się pierwszeństwa albo wstaje się, kiedy się z nią rozmawia. I poucza dziennikarzy, że "w Polsce obowiązują pewne zasady kultury". Zawsze pisałem, że on wywodzi się z tej samej formacji umysłowej co Unia Demokratyczna, że jest taki jak (22) to środowisko, choć został przez nie odrzucony. Chyba mnie z tego powodu nie lubi, ale to właśnie jeden z wielu dowodów. Oczywiście to dokładnie to samo wizerunkowe samobójstwo, które popełniła partia Mazowieckiego. Sugerując, że PO to lumpy, sugeruje to także jej wyborcom, a to jest przeciwnie skuteczne. Zwłaszcza gdy trafia na prawdziwych cymbałów, których tytuł do elitarności jest bardzo wąty i oni sobie w duchu zdają z tego sprawę. Nawet jeżeli się z tobą zgadzam, to nie wydaje mi się, żeby warto było cymbałami określać całe rzesze ludzi, tylko dlatego że są zwolennikami PO. Motywacji mogą być dziesiątki. Używasz słowa "cymbał" trochę tak, jak kiedyś określano stronników prawicy mianem "oszołomów". Używam słowa "cymbał" na określenie kogoś, kto nadyma się swoją urojoną wyższością, okazuje pogardę innym, w tym własnej babci paradującej w moherze, i nawet nie jest w stanie zauważyć, że frazesy, które powtarza z dumą jako swoje własne, niezależne opinie, zostały napisane przez PR-owców i włożone mu do głowy prostym zabiegiem: .Pan jak wszyscy ludzie inteligentni i na poziomie, na pewno też przyzna, że ... ", No dobrze, skoro to takie skuteczne, to dlaczego powiedziałeś, że epoka Tuska się kończy? Bo ten awans, jaki dał swoim zwolennikom, jest jednak tylko symboliczny. I nie może być inny. W PR-owskim matriksie PO jest partią młodych, zdolnych, ambitnych, którym zapewni ona masowy awans, realizację życiowych aspiracji. A w rzeczywi-

(23)

stości realizuje interesy rozmaitych sił, w tym właśnie tych, które jej młodych, naiwnych wyborców pozbawiają szanse awansu. Student prawa głosuje na rząd, który władzę nad zawodami prawniczymi oddaje korporacjom, bo wciąż wierzy, że gdy się śmieje z Kaczyńskiego i staruszek pod krzyżem, staje się częścią elity. Ale nie staje się, dostaje tylko takie subiektywne poczucie. W końcu zderzy się z rzeczywistością i uświadomi sobie, że pod władzą tego faceta jedyną szansą na prawdziwy życiowy sukces jest dla niego ożenić się z fełerną córką prezesa. Pod warunkiem oczywiście, że prezes szczęśliwie ma fełerną córkę. Bo jak ma ładną, to wyda ją w swojej sferze i

wtedy zostaje tylko długoletnie, beznadziejne terminowanie albo wyjazd na zmywak do Anglii czy na parobka do Niemca. Myślę, że protesty przeciwko przejęciu przez rząd pieniędzy OFE ujawniły właśnie początek tego fermentu. Ale za wcześnie, by można było o tym więcej powiedzieć. To, co ty opisujesz jako chorobę polskiej duszy, owo wypieranie własnego pochodzenia, nie jest wcale właściwie tylko Polakom. W wielu rozwiniętych państwach wypada być kosmopolitą. Owszem, ale my mamy tendencję do zachowań wyjątkowo aberracyjnych. Z tego chłopskiego kompleksu bierze się między innymi nasza barania podległość Zachodowi. Arab, który przyjeżdża z przeludnionego Bliskiego Wschodu do Europy, nie uważa, że jest wśród ludzi lepszych od siebie. Uważa tylko, że jest wśród bogatszych. Ma swoją kulturę, swoje przyzwyczajenia dla niego nie gorsze i nie uważa, że musi (24) naśladować ludzi, którzy myślą tylko o sobie i własnej przyjemności, w nic nie wierzą, starców oddają do umieralni, dzieci im się nie chce mieć, a jeśli mają, traktują je tylko jako kłopot, a nie jako radość i błogosławieństwo ... Natomiast zakompleksiony Polak, gdy usłyszy w swoich mediach, że Niemcy życzą sobie, żebyśmy nie głosowali na kogoś tam, bo inaczej będą się z nas śmiać, to nie wyobraża sobie, że mógłby go guzik obchodzić, co sobie o nim myślą Niemcy. Skąd, przecież nie może tolerować polityków, którzy kompromitują nas przed Europą. I tej mniej więcej połowy społeczeństwa, która nas kompromituje przed Europą. A gdyby ktoś w Niemczech napisał w gazecie, że z Angeli Merkel śmieją się w Polsce, bo jej uroda nie mieści się w słowiańskim kanonie, to nie sądzę, żeby dla Niemców był to jakiś argument, aby na nią nie głosować. Kiedyś sam wyśmiewałeś uroki życia wiejskiego. Pisałeś, że polegają one na użeraniu się, że ktoś pali opony, wysypuje śmieci w lesie, itd. To trochę kontrastuje z twoją pochwałą prowincji. Bo jej symbolami faktycznie są te wianuszki śmieci w lasach, wypalane wbrew wszelkiemu rozsądkowi łąki i nieszczelne szamba. Rozumiesz, robi się szambo celowo rozszczelnione, wtedy część nieczystości idzie w ziemię, więc mniej trzeba płacić za wywóz. Obserwowałem, jak w ten sposób zniszczono piękną miejscowość w Szwajcarii Kaszubskiej, którą kiedyś regularnie odwiedzałem. W miarę jak ludzie zaczęli się budować wokół jeziora, woda w nim zaczę-

(25)

ła się robić z kryształowej coraz bardziej śmierząca, właśnie przez te szamba. Tak się zachowuje właśnie Polactwo -element zepchnięty całkowicie do myślenia wyłącznie o sobie, nie zdolny myśleć w kategorii jakiegokolwiek dobra wspólnego. I to masz na każdym kroku. Pamiętam, pisałeś o tym jeziorze. Był jakiś odzew? Żadnego. Każdy powie -no i co, ja swoje szambo uszczelnię, a inni i tak tego nie zrobią, na tych chamów przecież nie ma rady! W moim Czerwińsku też niewiele można zrobić. To potencjalnie cudowna miejscowość, która mogłaby stać się perełką na miarę Kazimierza nad Wisłą. Położona jest sześćdziesiąt kilometrów na północ od Warszawy i jako takie weekendowe miejsce wypadów byłaby czymś cudownym. Na skarpie w Czerwińsku znajdują się piękne jary, które dzisiaj są zawałone foliami od truskawek, które chamstwo tam wyrzuca i dla groszowych oszczędności kompletnie niszczy niepowtarzalny krajobraz. Zresztą jak ich przekonać, skoro Wisła na poziomie Czerwińska jest tak zatruta i aż gęsta od bakterii kałowych, że wejście do niej jest śmiertelnym zagrożeniem dla zdrowia. Bo Warszawa od wielu lat opóźnia budowę oczyszczalni ścieków. I to jest Polska właśnie, narzekamy na to dziadowskie państwo i jego elity, zwłaszcza polityczne, ale zarazem traktujemy je jako nieustające usprawiedliwienie dla siebie samych. Zatem gdybyś na pytanie, z jaką grupą społeczną się identyfikujesz, miał odpowiedzieć poważnie, szczerze a nie przekornie, to miałbyś chyba kłopot ... (26) "Ni to mieszczan, ni to szlachta, rodem ze wsi, żyje w miastach", jak to śpiewał Andrzej Rosiewicz. Czyli jest ze mną tak jak z większością. Ale jest jedna, przemożna emocja, której doświadczam. Jak to pisał Kazimierz Przerwa Tetmajer: "Wolę polskie gówna na polu niż fijołki w Neapolu". Nie idealizuje tego Polactwa, ale jestem z niego i jestem z nim. Wierzę, że po raz kolejny w naszych dziejach zdoła się z dzisiejszego skundlenia otrząsnąć. () (27)

Rozdział II.

Najmłodszy brat ma najgorzej / wychowany na Sienkiewiczu / wiedza z drugiego obiegu / kto nie lubi WF-u, nadrabia gadaniem / indywidualista z boku / science fiction jako outsiderstwo / papierosy bez filtra -symbol erudyty / wyjątkowi nauczyciele / legendarny profesor z Alei Ujazdowskich / literaci i chlania (30) Kiedy postanowiłeś, że będziesz pisał? Już jako sześćo-czy siedmiolatek na pytanie "kim chciałbyś zostać?" odpowiadałem, że pisarzem. To wywoływało salwy śmiechu i uśmiechy politowania. Mówiąc delikatnie, nie miałem zbyt silnej pozycji w rodzinie. Dwaj starsi bracia zawsze próbują stłamsić młodszego i sytuacji nie zmieniło nawet pojawienie się młodszej siostry, bo jako wyczekiwana przez rodziców dziewczyna i w ogóle małolat -różnica wieku była tu znacznie większa niż między nami, funkcjonowała na specjalnych prawach -powodowała, iż wciąż tak jakby ja pozostawałem tym najmłodszym. Dalsza rodzina też nie traktowała mnie zbyt poważnie. Bracia byli tymi, którzy coś tam osiągnęli i znaczą, a ja małym „dupejkiem”, wiecznie upupionym. Kiedyś, gdy zarabiałem jako redaktor, dostałem do adiacji taką powieść Josepha Hellera, tego od "Paragrafu 22", zatytułowaną "Good as Gold" -"Dobry jak złoto", o Żydzie z Nowego Jorku, który pojechał, właściwie uciekł od rodziny na studia na Zachodnie Wybrzeże i został tam profesorem historii prawa, uznanym specjalistą, bardzo cenionym na swoim uniwersytecie i w kręgach fachowych. Ale od czasu do czasu musi jechać do swojej żydowskiej rodziny na Brooklyn, no bo od tradycyjnych, rodzinnych obowiązków-

(31)

ków nie ma ucieczki. I tam jest nadal traktowany przez wszystkich jako ten rodzinny głupek i nieudacznik, który cokolwiek powie, to wszyscy pękają ze śmiechu i pouczają go z politowaniem. Bracia wyrosli na szanowanych ludzi, jeden został fryzjerem, a drugi rzeźnikiem, to są poważne zawody, poważne sprawy, a ten rodzinny głupek, czym on się w ogóle zajmuje? -jakimiś zupełnymi głupotami, nic z tego nie można zrozumieć, no, ale to w sam raz dla niego. Tak dębuję w tej powieści i myślę: "No, kurczę, skądś znam tę rodzinę ... ". Tylko z ojcem układ był inny. Ojciec w ciemno akceptował wszystko, co robiłem i on mi dawał to poczucie własnej wartości, pewności siebie. Tata nie miał dla ciebie wymarzonego zawodu? W każdym razie nie naciskał. Owszem, kiedy mi opowiadał o lataniu z blaskiem szczęścia w oczach, to być może chciał, żebym robił to, czego jemu zakazano. I jako dzieciak chyba myślałem trochę o lotnictwie, bo kiedy gdzieś tak w drugiej klasie podstawówki okazało się, że mam wadę wzroku, mama jakby odetchnę-

. ła z ulgą; mama sobie oczywiście nie wyobrażała, że mógłbym robić cokolwiek niebezpiecznego. Poważnie jednak mówiąc, to chyba się do lotnictwa mało nadaje, skoro nawet prawa jazdy do dziś nie zrobiłem. Z lenistwa czy obawy przed ułanami za kierownicą? Może dlatego, że zawsze miał mnie kto wozić ... Kiedy miałem czas iść na kurs, to szkoda mi było czasu, bo uważałem, że się nigdy samochodu nie dorobię, wtedy to był luksus. A jak się dorobiłem, wtedy już nie miałem czasu robić tych kursów i jazd. Staram się z tego kalectwa zrobić zaletę, jak to mam w zwyczaju, (32) i powtarzam wszystkim, że wiele związków, które znam, upadło przez dyskusję, kto prowadzi, a kto pije na imprezie. Ale, hm, brak powodów do takich sporów też niczego nie gwarantuje ... Wracając do głównego tematu: ojcu jedynemu od początku podobały się moje zainteresowania literackie. On może nawet je we mnie w jakimś stopniu wykształcił, bo sam miał w sobie -to na pewno był wpływ dziadka Ziemkiewicza -ogromny szacunek dla książek i ludzi, którzy je czytają, a już zwłaszcza piszą: pisarstwo to było coś, co ogromnie nobilitowało. Oczywiście, wolałby, żebym został inżynierem, ale pisarz to też ktoś ... Od razu kiedy wyrosłem z książek dziecięcych, wcisnął mi "Trylogię" Sienkiewicza. Naszego narodowego krzepiciela dusz darzyłem uwielbieniem od początku, bardzo lubiłem też czytać Zofię Kossak-Szczucką. Oprócz tego w czasach szkoły podstawowej chłonałem dużo fantastyki dla dzieci. Pamiętam z owego czasu takie pozycje jak np. "Oko centaury" Jerzego Broszkiewicza i książki Tadeusza Twarogowskiego. Czytałem powieści Bohdana Arcta, lotnika, autora uwielbianej przeze mnie opowieści "Na progu kosmosu" o pierwszych lotach kosmicznych. W kierunku fantastyki ciągnęło mnie od lat najwcześniejszych.

Czy polityka była obecna w waszym domu? Większość poglądów odziedziczyłem po ojcu, bo skoro on mnie akceptował, to ja nie buntowałem się przeciw niemu i przyjmowałem jego wizję świata jako swoją. Ale kiedy byłem dzieckiem, w domu nie mówiło się o przeszłości. Pamiętam, że kiedy przeczytałem jakieś książki komunistyczne, powtarzałem w szkole (33) w dobrej wierze brednie o tym, że Armia Krajowa to byli ci, którzy kolaborowali z Niemcami, a walczyła z nimi jedynie Gwardia Ludowa. To było w trzeciej albo czwartej klasie podstawówki ... Tato patrzył na mnie dziwnie, ale nie protestował, po prostu czekał, aż dorosnę do właściwego wieku, do poważnych spraw. Moja polityczna i historyczna inicjacja zaczęła się późno, w ostatnich latach podstawówki, i o tym, w jakim świecie żyję, dowiadywałem się raczej od rówieśników. Kumpie mieli różne przedwojenne książki, ja też znalazłem kilka ciekawych rzeczy po dziadku ... A jeden z kolegów miał prawdziwy skarb -londyńskie wydanie "Bitwy o Monte Cassino" Melchiora Wańkowicza. O Jezu, co to było za uderzenie w łeb! Prawdziwe olśnienie. Z czasem zacząłem też czytać książki z drugiego obiegu, chłonąc wiedzę o tym, co naprawdę Polska przeszła podczas wojny, o Katyniu i tak dalej ... Mój ojciec niechętnie o tych sprawach z małym dzieckiem rozmawiał, ale wieczorami stale słuchał "wolniuchy", to znaczy Radia Wolna Europa, więc ja też zacząłem słuchać. W sumie już jako uczeń podstawówki miałem wyrobione poglądy. Ojciec tylko próbował mnie temperować, bo jak każdy neofita chciałem od razu z kolegami zakładać jakąś organizację konspiracyjną i podkładać bomby komunistom, by pomścić Katyń. W związku z tym ostatecznie upadł pomysł, żeby zostać jeśli nie lotnikiem, to oficerem w jakimś innym rodzaju wojsk, bo musiałbym przysięgać na wierność socjalizmowi i Związkowi Radzieckiemu ... Może szkoda? Tak sobie myślę, że trepem byłbym idealnym. Wojskowy, uporządkowany tryb życia, przebywanie na świeżym powietrzu, a zwłaszcza wydawanie rozkazów ... (34) To chyba żart. Jesteś osobą o charakterze rebelianckim, indywidualistą. Nie wyobrażam sobie siebie w roli organizatora drużyny, jako urodzony pisarz-jesteś zwrócony mocno ku sobie. No, może masz rację ... Na pewno bym nie znał wszystkich swoich podwładnych z imienia, bo ciągle spotykam znajomych, którzy czują się dotknięci tym, że ich nie poznaję. Zastanawiam się jednak, czy w ogóle są tacy ludzie, których możemy nazwać "urodzonymi pisarzami". Maciej Parowski, jeden z ludzi, którzy mnie jakoś tam jako twórcę ukształtowali, choć się opierałem, kiedyś podrzucił mi książkę Malcolma Cowleya, socjologa literatury, z takim esejem "Historia naturalna pisarza", gdzie autor próbuje odpowiedzieć na pytanie, skąd się biorą pisarze. On pisze, że wyrastają z pewnego bardzo charakterystycznego typu młodych ludzi, którzy m.in. nie są bardzo sprawni fizycznie, za to nadrabiają gadaniem; to w moim przypadku akurat się zgadza. WF nigdy nie był moim żywiołem, więc tutaj nie mogłem nikomu zaimponować. Natomiast wypracowania pisałem dobre, także z tego powodu, że czymś musiałem się wyróżniać. Pisarze to także często ludzie skonfliktowani z całym światem. Ty wypowiadasz często radykalne i bezkompromisowe sądy z niezwykłą pewnością siebie. Zastanawia mnie, skąd się to wzięło. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Faktem jest, że miałem zawsze negatywne stosunki z otoczeniem, i do końca sam nie wiem, z czego to wy-

(35)

nikało. Być może z jakichś moich osobowościowych wad, bo nigdy nie miałem łatwego charakteru. W klasie mało z kim się przyjaźniłem, większość ludzi z wzajemnością mnie nie lubiła. Tak było w podstawówce, w liceum i na studiach. Zawsze budowałem tam jakąś swoją osobność. Czyli osiągnąłeś "wyrazistość", na długo zanim zostałeś publicystą. To trzeba by spytać rówieśników, ale sądzę, że generalnie ich niechęć do mnie była w dużym stopniu uzasadniona, bo ja byłem rzeczywiście typem zakapiora, czasem mało przyjemnym dla otoczenia. Np. zawsze lubiłem ludziom mówić przykre rzeczy i to mi zostało do dziś, tyle tylko że dzisiaj zaspakajam tę potrzebę przede wszystkim jako publicysta i dzięki temu w kontaktach prywatnych zrobiłem się znacznie fajniejszy. Chodziłem do bardzo szpanerskiej szkoły -liceum im. Antoniego Dobiszewskiego przy ul. Dolnej. Do tego ogólniaka uczęszczało wiele dzieci prominentów; uczennicą "Dobisza" była m.in. córka Jaruzelskiego. Przychodziło się tu w markowych, zachodnich dżinsach, a w kiblu paliło się takie długie, cieniutkie, brązowe cygaretki z Peweksu, śmierdzące jak dziś te kadzidełka

sprzedawane przez Wietnamczyków ... Zapewne dumonty albo John

Player Special, takie w czarnym pudełku. Ja się starałem robić wszystko, żeby do tego nie pasować, paliłem giewonty bez filtra, od których smrodu padały muchy w promieniu stu metrów, a po szkole chodziłem czasami dosłownie w podartych na tyłku dzinsach -potem takie dziury się zrobiły modne, ale wte-

(36) dy nie były -i kraciastej koszuli flanelowej. Jakoś ciągnęło mnie do obciachu. Postanowiłem, że jako pisarz wezmę się nie za "normalną" literaturę, ale za science fiction. Nawet moja własna matka nie była w stanie wybaczyć mi, że piszę, jak mówiła z pogardą, „jakiś fikszyzny”, To było dla niej coś wstydliviego. Nie żeby miała coś przeciwko samemu pisaniu, ale jeśli już, to coś normalnego ... Tym bardziej że pierwsze sukcesy jako pisarz odniosłem już w wieku siedemnastu lat. Przy czym trzeba tu zaznaczyć, że Jaruzelski próbował udaremnić moją karierę dziennikarską. Na konkurs literacki, w którym wtedy startowałem, można było przysyłać utwory do końca grudnia 1981 roku, a ten drań, żeby mi to uniemożliwić, wprowadził stan wojenny i pozamykał wszystkie placówki pocztowe. Ale ja byłem uparty: po prostu pojechałem i dowiozłem swoje opowiadania osobiście pod wskazany adres, do Naszej Księgarni na Powiśle. I wygrałem ten konkurs, zdobyłem jedną z głównych nagród i jeszcze wyróżnienie, razem zarobiłem dziesięć tysięcy złotych. To były całkiem zdrowe pieniądze jak na 1982 rok, wystarczyły mi na długo. Gdzieś półtorej średniej pensji w tamtych czasach. Mniej więcej. Jak "Odgłosy", a potem "Młody Technik" zaczęły publikować moje opowiadania, to znaczy, zacząłem w miarę regularnie zarabiać pieniądze, stać mnie było na używki z Peweksu. Pamiętam, że do klubu fantastyki SFAN, do którego zacząłem uczęszczać jako licealista, wypadało przynosić paU malle albo camele bez filtra. A najlepiej -chesterfieldy, też bez filtra oczywiście. To był odpowiedni, męski fason -palić takie fajki, drogie, (37)

ale zarobione własną ciężką pracą. I strasznie ordynarnie przeklinać. Oczywiście przy kolegach. W domu za takie słowa dostałbym w łeb, aż by zadudniło. Odzyskałem dzięki temu konkursowi i dyplomowi szacunek do siebie, mocno nadwątlony przez pana od WF-u każącego nam robić ewolucje i skoki, które mnie przerastały. No i widziałem, że ojciec jest ze mnie autentycznie dumny, a to było naj fajniejsze. Kiedy ukazało się moje pierwsze opowiadanie w łódzkim piśmie "Odgłosy", mojego tatę rozpieszczała duma: wykupił numer z moim opowiadaniem ze wszystkich kiosków na Stegnach! Co z tego, że to była jakaś naiwna głupotka. Jeszcze nigdy wcześniej żadnego Ziemkiewicza, o ile mi wiadomo, w gazetach nie drukowano. Czy pojawił się w tamtych latach w twoim życiu ktoś, kto utwierdził cię w wyborze pisarstwa? Bardzo mocno moje zainteresowanie literaturą rozwinął Tadeusz Karpisz, znany jako Tadeo, nauczyciel polskiego, znany w Warszawie intelektualista, kloszard. Tadeo to legenda. Wagabunda i filozof, przyjaciel zbuntowanych studentów. Poznałem go już u schyłku jego życia, kiedy codziennie rano odwiedzał parę wydziałów, w tym obowiązkowo filozofię. On uczył w twoim liceum? Tak, ale wtedy, gdy mnie tam jeszcze nie było. Przed moim przyjściem wyrzucono go za niesubordynację wobec dyrektora -częsta rzecz w przypadku tak niepodległego charakteru. Kiedy przyszedł do szkoły z wizytacją jakiś partyjny kretyń i zaczął ustawiać nauczycieli, Tadeo nazwał go cymbałem, no i oczywi-

(38) ście dyrektorka z punktu go wywaliła. Zresztą pewnie by wyleciał i bez tego, bo to była sytuacja trochę jak w "Stowarzyszeniu Umarłych Poetów", ciągle był skonfliktowany z innymi nauczycielami, którzy mieli mu za złe, że w różnych sprawach bierze stronę uczniów, podrywając autorytet kadry. Do tego liceum uczęszczał wcześniej obaj moi bracia, więc kiedy ja się tam pojawiłem, miałem już przechlapane za nazwisko. Bo, trzeba im to przyznać, obaj nie zostawili najlepszej pamięci jako osobniki niesubordynowane i wywrotowe. Nie znam szczegółów, ale chyba rzeczywiście zapracowali oni uczciwie na tę opinię. Odziedziczyłem wychowawczynię bezpośrednio po średnim bracie, straszną partyjniaczkę, która mściła się na mnie za to, że on polemizował na lekcjach z jej jedynie słusznymi interpretacjami. Bo to była tego rodzaju

polonistka, która stawiała mi z wypracowań trójki, pisząc "błędna interpretacja tekstu", choć nie mogła znaleźć ani jednego błędu -gdyby znalazła, byłaby oczywiście lufa. Więc przez pierwsze dwa lata z polskiego miałem bodaj najgorsze oceny. W sumie bycie w konflikcie z nauczycielem na dobre wychodzi, trzeba się wtedy mocniej sprężyć, żeby nie dać profesorowi łatwego pretekstu do tego, by mógł się do ciebie przywalić. Bo na przykład z matematyki miałem nauczycielkę świetną, do rany przyłoż, i niestety dzisiaj jestem w sprawach ścisłych głupi jak przysłowiowe kilo kitu. Natomiast naj starszy brat uczył się jeszcze u Karpisza, dobrze go znał, a ponieważ twardo wybierałem się na polonistykę, poznał mnie z nim. Tadeo był urodzonym kloszardem, wielkim erudyta, z niesamowitą pamięcią pełną cytatów na każdą okazję. I na ile mogę osądzić, wcale nie złym po-

(39)

etą, który, niestety, swoich utworów programowo nie zapisywał, wyłącznie wygłaszał je w sytuacjach towarzyskich, więc wszystkie one, obawiam się, przepadły. No i był też strasznym alkoholikiem. Chwilami nieobliczalnym. I takim dumnym kloszardem; kiedy dom, w którym go goszczono, przestał mu się podobać, po prostu go opuszczał. Prawdopodobnie był ciężkim człowiekiem do życia, bo słyszałem, że obrażał się na przyjaciół, u których pomieszkiwał, tym bardziej, im więcej mu okazali życzliwości. Zresztą obrażał się prędzej czy później na wszystkich, czy były powody, czy nie; po prostu, trzeba powiedzieć, był szurnięty i nieprzewidywalny. Ale miał przy tym nie zwykły talent pedagogiczny i fascynującą osobowość. Pamiętam, kiedy na początku lat 90. w Harendzie podczas koncertu rockowego Tadeo wskoczył na scenę, przeprosił zespół i powiedział, że musi koniecznie przeczytać wiersz. Wszyscy zamilkli, a on odczytał ów wiersz. Odczytał? Ja go pamiętam jako gościa, który znał wszystkie wiersze świata na pamięć. On deklamował z głowy całą klasykę, i to na przykład sonety Szekspira w różnych przekładach, a jeszcze umiał je porównać z oryginałem. I potrafił fantastycznie wyciągnąć z literatury piękno, sens, zestawiać ze sobą szkoły, epoki, wskazywać nawiązania, wpływy, inspiracje -sam tym żył. Dzięki Karpiszowi zafascynowałem się poezją Stanisława Grochowiaka i sam nagle zauważyłem, że znam mnóstwo wierszy na pamięć. Tadeo do tego twórcy miał szczególne nabożeństwo. Chodziłeś do niego na prywatne lekcje? (40) Tadeo nie pracował już wtedy jako nauczyciel, tylko jako bibliotekarz. W technikum na Kasprzaka. Przychodziłem do niego do tej biblioteki, "do fabryki", jak mówił, i z początku były to regularne korepetycje. I powtórzę, właśnie ten facet, świeć, Panie, nad jego duszą, nauczył mnie literatury. Poustawiał mi to wszystko w głowie tak, że w efekcie na polonistykę zdałem gładko, w ogóle nie stresując się egzaminami wstępnymi. Wiem, że takich uczniów miał więcej, żył z tego, ale ja dość szybko awansowałem na wyższy poziom zażyłości, czego oznaką był fakt, że odmówił mi przyjmowania jakiegokolwiek kasy. Korepetycje zaczęły się zmieniać w relacje ucznia z mistrzem i przeniosły się do wnętrza innych niż szkolne, najczęściej do SPATiF-u w Alejach Ujazdowskich. Dzwonił do mnie o ósmej albo dziewiątej wieczorem, mówiąc, że bym się zjawił w owym klubie, a szatniarza przy wejściu poinformował, że idę do "pana Karpisza", Niesamowite, ale moja mama, która była w takich sprawach bardzo zasadnicza, alkohol tolerowała wyłącznie od święta, włóczenie się po knajpach uważała za coś odrażającego, a godzina wieczornego powrotu do domu była święta, do Karpisza miała taką słabość, że w ogóle nie było problemu -gdy on dzwonił, że mam jechać, jeszcze mnie popędzała. Wsiadałem w taryfę czy autobus i docierałem pod ten nieszczęsny SPATiF, w którym biesiadował Tadeo w towarzystwie jakichś ludzi, których nazwiska pamiętałem z podręcznika do literatury współczesnej. Przychodziłem, a on mówił: "To jest mój uczeń". Kogo wtedy poznałeś? Większość to byli różni poeci, dzisiaj trochę zapomniani, najczęściej z grupy poetyckiej "Hybrydy". Kar-

(41)

iii: pisz przesiadywał w towarzystwie asa przestworzy z Dywizjonu 303 Stanisława Skalskiego, mieszkał jakiś czas u Andrzeja Iaroszewskiego, znanego dziennikarza radiowego i propagatora

jazzu, przyjaźnił się także z Jonaszem Koftą. Z tej ostatniej znajomości dużo miałem skorzystać, bo to był świetny poeta i tekściarz. Pamiętam np. niezwykle ciekawe rozmowy z nim o Stachurze. Kofta osobiście znał go dość dobrze, więc choćby tylko z tego powodu wówczas mi imponował, bo autor „Siekierzady” był dla ludzi mojego pokolenia kimś w rodzaju bóstwa. Czyli Karpisz zabrał ciebie -wtedy okularnika klasowego -na ówczesny parnas ... Nie był to może wielki parnas, bo w SPATiF-ie dominowali wtedy trzeciorzędni, licencjonowani przez partię pisarze i poeci. Poznałem po prostu ten światek zamkniętych imprez literatów. Spotkałem tam kilka niezwykle ciekawych osób, ale w 'ogóle to środowisko w całości szybko zaczęło budzić we mnie ogromną niechęć. Mówiąc po biblijnemu, była to dla mnie ruja i poróbstwo. Ja wtedy prawie w ogóle nie piłem, a oni tam strasznie chlali. Pijany człowiek po paru kieliszkach, choćby był nie zwykłym geniuszem, wygląda już tylko jak zwykły pijak. I jakoś mnie ten świat nie wciągał. Grześkowi, mojemu najstarszemu bratu, te postaci chyba bardziej imponowały. Być może gdybym poznał to środowisko w czasach legendarnych „Kameralnej”, Marka Hłaski i Marka Nowakowskiego, może by mi się bardziej spodobało. Zabawne, że w tym SPATiF-ie, już zupełnie zmienionym i przebudowanym, urządziłem potem swoje wesele z Olą, bo jako aktorka i członkini ZASP-u miała tam prawo do rabatu. Wystrój się zmienił, ale ciągle członko-

(42) wie tego związku

mogą liczyć na tanie obiady, rzecz, która w pewnym okresie życia jest nie do pogardzenia. Rozumiem, że w pewnym momencie miałeś już dość tych imprez. Oczywiście. Pamiętam jeden szczególnie moment upodlenia alkoholowego w Domu Dziennikarza na Foksal, który mówił wiele o tym towarzystwie. Umówiliśmy się wówczas z Tadeuszem kolejny raz na korepetycje w knajpie. Nigdy nie wiedziałem, kiedy odbędzie się następna lekcja, więc głodny wiedzy pobiegłem na ulicę Foksal. Kiedy się pojawiłem, Tadeo siedział kompletnie już narąbany przy stoliku w restauracyjnym ogródku, gdzie rezydował jakiś podpity jegomość, któremu zresztą w końcu nie zostałem przedstawiony. Prawdopodobnie był jakimś wielkim literatem owych czasów, bo mądrzył się i bufonował przeraźliwie, a kiedy zapytałem, jak się nazywa, poczuł się wyraźnie dotknięty. No, ale siedzę z nimi i kiedy przyszedł kelner, ktoś go spytał, dlaczego fontanna jest wyłączona, skoro mamy upał. A kelner takim znużonym głosem odpowiedział: „Sanepid kazał wyłączyć, bo konsumenci szczali do wody”. I takie to było towarzystwo. Tamto pokolenie jest już słabo widoczne w życiu publicznym. Dzisiaj mamy nowych pisarzy i dziennikarzy, ale ciągle z takich, co jak sobie gołną, to szczają do kawiarnianej fontanny. Ich wrażliwość, ich inteligencja, powaga w podejściu do życia i rehot sajednak dość podobne do tych elit intelektualnych, które poznałem w latach osiemdziesiątych. () (43)

· \

Rozdział III.

Polonistyka na uw / science fiction jak literatura barokowa / seminarium Rocha Sulimy / powieść popularna ratuje kulturę wysoką / pierwsze kieszonkowe z pisarstwa / honoraria na książeczce oszczędnościowej / szkoła oficerów / wojsko, czyli nauka zabijania czasu / jak w Polsce powstaje prawo ... (46) Zdając na Wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, przestałeś się chyba czuć dziwakiem i outsiderem? To był właśnie wydział dla dziwaków i outsiderów. Na roku było sto dwadzieścia osób, z czego sto dziesięć dziewczyn. I to takich raczej specyficznych, jak to na polonistyce. Nie chcę mówić nic złego o urodzie koleżanek, ale dominował tam wtedy styl hippisowsko-stachurowski -rzemienie na rękach, grube swetry, buty taternicze na grubych podszewkach. Z jakiegoś powodu, którego zupełnie nie rozumiem, filologia polska jako kierunek jest wybierana przez ludzi, którzy chcą zostać pisarzami. I tak było w moim przypadku. Tak jak psychologię studiują ci, którzy sami chcą sobie pomóc ... Być może. Kto spośród profesorów był waszym mistrzem? Zdecydowanie najpopularniejszymi pracownikami wydziału byli Michał Boni i Maciej Zalewski, młodzi asystenci z legendą opozycyjną. Prowadzili świetne zajęcia, obaj byli

przyjaźnie ustosunkowani do studentów. Z punktu widzenia mojego roku III RP pokazała swe oblicze w taki sposób, że jeden okazał się tajnym współpracownikiem SB, a drugi aferzystą. (47) j I

Studiowałem w okresie wyjąłowania intelektualnego, nie było w tamtym czasie jakichś ważnych wykładów, o których mówiliby wszyscy, brakowało charyzmatycznych profesorów, choć zdarzali się świetni wykładowcy. Takim był np. prof. Zbigniew Sudolski, który umiał zarazić zachwytem nad romantyzmem. Ceniłem wówczas także Antoniego Czyżę, dziś już profesora, który miał bardzo ciekawe zajęcia o literaturze staropolskiej. Wtedy też dopiero zaczynano na pisarstwo baroku patrzeć jako na coś ciekawego, bo przedtem obowiązywała wykładnia Tadeusza Chrzanowskiego, wedle której ta epoka była okresem zanikania piękna, a późną literaturę tamtego czasu uważano za szczyt grafomanii, z przysłowiowym wręcz ks. Baką i jego "Uwagami śmierci niechybnej". Właśnie aby odwojować tę czarną legendę, "Frona" wydaje nagrodę poetycką imienia ks. Józefa Baki, choć jest w tym element prowokacji. A Czyż potrafił pokazać, że barok właśnie jest ciekawy, nawet Baka jest ciekawy, tylko inny, i nie należy przykładać doń kryteriów oświeceniowych. Jakoś mi się to rymowało z moim podejściem do literatury popularnej. Dla mnie to także "inny" rodzaj literatury, ani gorszy ani lepszy, tylko mający odmienne zadania i kryteria. Au nas każda nudna piła od razu uchodzi za wielką literaturę, a jeśli coś jest dobrze napisane i lekko się czyta, to już za sam ten fakt traktowane jest lekceważąco. Na duże uznanie zasługiwał też prof. Roch Sulima, wtedy jeszcze doktor. Właśnie u niego pisałem pracę magisterską. Muszę powiedzieć, że to był naprawdę fantastyczny gość, który uprawiał ze studentami kulturoznawstwo na wysokim poziomie. W ogóle uważam dorobek prof. Sulimy za ważny dla polskiej kultury; jego "Antropologia codzienności" jest kapital-

(48) ną książką, którą każdy powinien poznać. Jako promotor zapowiedział, że można u niego pisać o wszystkim, pod warunkiem, że nikt jeszcze na ten temat nie pisał. Nie uznawał prac kompilowanych i przysłowiowego polonistycznego liczenia przymiotników u Mickiewicza. Ja oczywiście pisałem o fantastyce, opisywałem Fandom, ruch fanów fantastyki jako zjawisko kulturowe. Dla Sulimy to było oryginalne, a dla mnie dość łatwe. I tak przebił mnie Muniek Staszczuk, który na tym samym seminarium napisał jako magisterkę historię T. Love, czyli własnej kapeli. Przypuszczam, że na polonistyce stworzyłeś swój własny "fandom". Na wydziale byłem chyba przezroczysty, za to w klubie funkcjonowałem jako nieformalny lider grupy autorów. Jeśli dobrze pamiętam, złapałem wtedy lekką manię organizowania życia młodoliterackiego SF, głównie pod kątem szkolenia w pisarskim rzemiośle. Niektóre przedsięwzięcia bardzo się udały, zwłaszcza warsztaty literackie w miejscowości o wdzięcznej nazwie Chlewiska koło Szydłowca. Siedzieliśmy tam tydzień całą grupą z Tadeuszem Lewandowskim, moim wykładowcą z wydziału, którego namówiłem na taki wyjazd, przerabiając historię literatury xx wieku pod kątem współczesnych technik narracyjnych. Uważałem, że owa wiedza jest taką skrzynią z narzędziami, które trzeba poznać i nauczyć się nimi posługiwać. Zawsze gdy mnie ktoś pyta, czy można nauczyć się pisać, odpowiadam pytaniem: a czy można nauczyć się grać na skrzypcach? Nie "można", tylko "trzeba"! Nawet kiedy człowiek ma niezwykle talent, bez takiej nauki biorąc skrzypce do ręki, wirtuozem nie zostanie. (49)

Wspomniałeś o swojej słabości do literatury popularnej. Na polonistyce to rzadka przypadłość, bo tam modny jest snobizm na "trudną" literaturę. No oczywiście, ale mnie przecież zawsze ciągnęło do obciachu. Poza tym to, co pogardzane, było dzięki temu niezbadane, a więc ciekawe, w przeciwieństwie do mocno odtwórczych działań proponowanych przez główny nurt polonistyki. U nas literaturoznawca, zwłaszcza wtedy tak uważano, nie zajmuje się byle czym, bo samym swoim zainteresowaniem nobilituje przedmiot badań, i odwrotnie, jego nobilituje to, co bada. To podejście kapłańskie, a nie naukowe. A przecież ta pogardzana literatura popularna i była, i jest naprawdę dla kultury ważna, przenosi wzorce kulturowe, buduje mity narodowe, uczy pewnych wspólnotowych zachowań. To taki współczesny odpowiednik folkloru, który tworzy codzienny, bieżący mit, w którym się poruszamy i do którego przymierzamy rzeczywistość; dziś w większym stopniu pełni tę

rolę telewizja, ale ona też w dużym stopniu bazuje na adaptacjach beletrystyki. Próbowałem troszkę wydobyć powieść popularną z kompletnego zapomnienia, uświadamiać, że od niej zależy, jaka jest i jak funkcjonuje kultura wysoka. Właśnie dlatego nasza literatura jest dziś tak marna, że nie ma z czego wyrastać, bo komunizm po prostu zniszczył rodzimy kryminał, romans czy przygodówki, a potem wszedł w puste miejsce kulturowy import, z którego rozumiemy tylko strzelaniny i mordobicia, ale istotny sens, to, co nazywam codziennym mitem, kompletnie nam umyka. Tak jakbyśmy śnili cudze sny. A przed wojną Antoni Marczyński czy Tadeusz Dołęga-Mostowicz drukowali powieści najpierw w półmi-

(50) lionowych nakładach w odcinkach, a potem jeszcze sprzedawali nawet po sto tysięcy wydania książkowego! Fascynował mnie ten mechanizm awansu i schyłku form, gatunków, to, że nowa epoka, a więc nowa idea zazwyczaj szuka sobie nowej formy i zawsze znajduje ją właśnie w gatunkach popularnych, bo przecież powieść to' było do XIX wieku coś zupełnie podrzędnego, sonet przed Petrarą był zwykłą wsiową przyśpiewką i pakowanie poważnej treści w taką prostą rymowaną formę stanowiło ze strony tego poety wręcz prowokację ... Poza fantastyką szczególną satysfakcję dawało mi studiowanie historii kryminału ... o polskim kryminale również pisałeś? Mieliśmy przecież świetne kryminały Joego Aleksa, czyli Macieja Słomczyńskiego. W "prylu" kryminał był w ogromnej większości wypadków chałturą, w najlepszym wypadku drętwą, jak te, które pisał pod pseudonimem Andrzej Szczypiorski. Joe Alex stanowił wyjątek, pisał z wielkim wdziękiem i ciekawie, bo był erudyta i miał lekkie pióro. Ale tylko kopiował zręcznie klasyczne kryminały angielskie z okresu międzywojennego. Nic innego się wtedy zrobić nie dało, przecież opisywanie prawdziwych zbrodni, prawdziwych śledztw i prawdziwego społeczeństwa, czyli to, co jest istotą kryminału od czasu Chandlera i Simeona, byłoby przestępstwem politycznym. Fakt, że kryminał w ogóle nie spotkał los romansu czy horroru -które w kraju Mniszkówny i Grabińskiego całkowicie zniknęły -wynikał z uznania przez partię, że taka literatura może pełnić "pozytywną rolę", propagując odpowiedni obraz władzy ludowej i "organów". I mało kto rozpowszechniał ten ob-

(51)

raz z takim wdziękiem jak Joanna Chmielewska. Wiem, że istnieją dziś fani tzw. powieści milicyjnej, tak jak "Czterech pancernych" i Klossa, ale ona była naprawdę strasznym badziewiem. Choćby dlatego że pisano ją według ścisłych wytycznych z wydziału kultury Komitetu Centralnego: zagadkę musiał rozwiązać milicjant, żaden tam detektyw amator, przestępcą nie mógł być członek partii, nie było wskazane także, aby był nim robotnik; sugerowano, by "czarnym charakterem" czynić kogoś z kręgów tzw. prywatnej inicjatywy.

Sam długo nie mogłem uwierzyć w istnienie takich instrukcji, ale w końcu znajomy wygrzebał je z archiwów i mi je pokazał. Ja mam jednak wrażenie, że za czasów socjalizmu literatura popularna była lepsza niż dzisiaj. Weźmy choćby serię Alfreda Szklarskiego o Tomku czy książki Edmunda Niziurskiego i Zbigniewa Nienackiego. Bo pisali jeszcze ludzie, którzy kształtowali się przed wojną, czytali w dzieciństwie rodzime zeszytowe "szerloki", które były w większości oryginalną produkcją, nie tłumaczeniem Conan Doylea, powieści podróżnicze czy wspomnianego Marczyńskiego. Zresztą oni przeważnie kierowali się ku czytelnikowi młodzieżowemu, co dawało pewną swobodę; dla młodzieży pisać było wolno i niektórzy umieli to wykorzystać. Ale wobec "dorosłej" literatury popularnej obowiązywała linia sformułowana przez Ryszarda Matuszewskiego: tak zwana literatura popularna to istniejąca w krajach kapitalistycznych pseudoliteratura, za której pomocą rządząca burżuazja ogłupia masę pracującą. W moich czasach już nikt tego nie formułował w takich słowach, (52) ale całe życie literackie było organizowane przez ludzi mających w głowach takie mądrości. Jeszcze na studiach zacząłeś żyć z pisania? Zacząłem zarabiać pisaniem dość szybko. Najpierw pisywałem w "Odgłosach", podłej gazecie regionalnej, potem w "Młodym Techniku". Płacili jakies tam grosze, ale na kieszonkowe dla nastolatka wystarczyło. To właściwie

było jedyne moje kieszonkowe, od ojca dostawałem czasem parę groszy od wielkiego święta, ale raczej nie było w naszej rodzinie przyjęte, żeby dawać dzieciom pieniądze, chyba że wyjaśnia dokładnie, na co potrzebują, i rodzice uznają, że jest to potrzebny zakup. Ja nawet musiałem stoczyć wielką bitwę z matką, która chciała mi zabierać te honoraria i wpłacać na książeczkę oszczędnościową, bo to przecież nie do pomyślenia, żeby gówniarz marnował pieniądze na jakieś fiu-bździu. Dzisiejszemu młodemu czytelnikowi pewnie się to nie pomieści w głowie, ale w domu się nie przelewało, było nas czworo rodzeństwa, mama zawodowo nie pracowała -dlatego nie chodziłem do przedszkola, nie przysługiwało -a pensja kierownika nadzoru wodnego wysoka nie była. Ojciec strasznie tyrał, robił jakieś dodatkowe prace, rozmaite umacniania brzegów, budowy, całymi dniami go nie było i nie odczuwaliśmy żadnego niedostatku, powiedziałbym nawet, że dzięki tej pracy taty w terenie i jego dobrym kontaktom z chłopstwem -bo na swoim stanowisku podpisywał im dzierżawy nadbrzeżnych pastwisk i łąk -jedliśmy lepiej niż większość, prawie jak jakaś "resor-

towa" rodzina. Tata przywoził zawsze prawdziwe mięso, wędliny, rzeczy wtedy zupełnie nieosiągalne w sklepach. Znasz moich braci, wszyscy metr dziewięćdzie-

(53)

siat, siostra niewiele mniejsza, znikąd się to nie wzięło. Ale o luksusach mowy nie było. Pewnie jakaś część mojej towarzyskiej nieatrakcyjności w oczach rówieśników wynikała z faktu, że chodziłem ubrany, tak to musieli odbierać, jak siódme dziecko stróża, w rzeczy "porządne" w takim pojęciu, jak go używała moja mama, czyli ciepłe i niedziurawe, ale z punktu widzenia obowiązującego fasonu żalosne, donaszane po braciach, sztukowane przez nią czy naprawiane ... Autentycznie zdziwiłem się, widząc, że na przykład wielu ludzi dostaje od rodziców jakąś pomoc, mieszkania, meble, że jest to uważane za naturalne, coś, co się należy ... Ja po ślubie z domu rodzinnego zabrałem jedynie biurko, przy którym pracowałem i na które nikt inny nie reflektował. Wszystko inne w mieszkaniu było od rodziców mojej pierwszej żony, włącznie z samym mieszkaniem. I już wtedy gdybym miał trochę rozumu, powinien mi zadzwonić w głowie alarm, bo w efekcie całe mieszkanie było urządzone przez teściową, wedle jej gustu i uważania, bez żadnej dyskusji. No właśnie, skoro dotarłem do tego momentu -na trzecim roku studiów się ożeniłem i wtedy dorywcze honoraria, nawet połączone ze stypendium, przestały wystarczać, trzeba było znaleźć pracę i kiedy do Hollanka dotarło, że się rozpytuję w środowisku, zaproponował mi etat stażysty w "Fantastyce"; muszę wyjaśnić, że byłem tym stażystą dwa lata nie z powodu tak marnej przydatności do zawodu, tylko dlatego że to była jedyna możliwa formuła zatrudnienia, obowiązywała tzw. blokada etatów. No a potem zaczęło się dziennikarzenie. Do którego nie złym przygotowaniem okazała się roczna służba wojskowa, zaraz po studiach, w 1988 roku. (54) Nie mogłeś się jakoś wykręcić? Np. przyjść na komisję wojskową przebrany za Jana Chrzciciela? Z żółtymi papierami nie brali. Gdybym przewidział rychły upadek ustroju, tobym się pewnie wykręcił. Ale nie chciałem, żeby to nade mną wisiało, po prostu wołałem mieć to jak najszybciej z głowy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostałem kategorię A3. Może dlatego, że pani doktor okulistka, do której poszedłem, zauważyła, że urodziłem się dokładnie tego samego dnia co jej syn. Uchodziłem w jej opinii za osobę sympatyczną, więc pewnie napisała, że mam słabszy wzrok, niż to było w rzeczywistości. Dzięki temu papierkowi nie wysłano mnie do wojsk zmechanizowanych, czyli do piechoty, tylko do szkoły podoficerów rezerwy obrony cywilnej w Węgorzewie. W sumie nie było to najgorsze miejsce. Spędziłem tam pierwsze trzy miesiące na szkoleniu, a potem już tylko wysiadywałem w wojskowym biurze, mieszkając w domu. Wojsko musi być inspirującym miejscem dla młodego pisarza. W Ludowym Wojsku Polskim absurd i bezsens militarnej biurokracji spotęgowany był idiotyzmem PRL-u. Piotr Skwieciński opowiadał kiedyś smaczną anegdotę o wykładach na uniwersyteckim przysposobieniu wojskowym. Otóż wykładowca wojskowy mówił o tym, że Hannibal przekroczył Alpy na "staniach bojowych". Chodziło o słonie, ale wykładający

popęłnił błąd, przepisując z zeszytu innego "wykładowcy". To się wszystko fajnie wspomina, ale kiedy sam "byłem w syfie", jak nazywali szaczką służbę szweje, czyli poborowi z zasadniczej, to nie widziałem tam nic śmiesznego. SPR OC w Węgorzewie, do którego (55) trafiłem, była swego rodzaju jednostką karną dla "trepów". Prawie wszyscy znaleźli się w tej jednostce, bo wcześniej coś przeskrobali: pili albo zgubili jakieś powierzone im "dobro". Tam także wszyscy chlali na okrągło, więc gdy nastąpiła wolna Polska, od razu tę jednostkę rozwiązano, mój turnus okazał się przedostatnim. Potem pomógł mi przez swoje układy starszy brat i załatwił przez znajomego "ZIP-a" - "zapotrzebowanie indywidualne na podchorążego" -z wydziału propagandy zmilitaryzowanych od czasu stanu wojennego Ochotniczych Hufców Pracy. W tej drugiej formacji moja służba polegała na tym, że miałem siedzieć w biurze ściśle od 8.00 do 16.00 i na wypadek nagłego wtargnięcia przełożonych zawsze wyglądać, jakbym coś robił. A miałeś coś do roboty? Głównym zajęciem było przygotowywanie comiesięcznych "meldunków o nastrojach" w podległych komendzie hufców pracy. Wyglądało to tak, że raz na miesiąc dostawałem od każdego z nich meldunek, jaki był w tym miesiącu nastrojów w jednostce. Ów nastroj był wyrażany liczbą, od dwójki do piątki z dwoma cyframi po przecinku. Więc dostawałem te meldunki na swoje biurko i wywalałem je do kosza bez otwierania, bo niby po co -przełożeni pouczyli mnie, że mam meldować, iż nastroj z miesiąca na miesiąc się poprawia, nieznacznie, ale nieodmiennie. Zatem zerkałem, ile tam było w moim własnym meldunku z poprzedniego miesiąca i jeśli było, że nastroj wynosił cztery, trzydzieści siedem, poprawiałem ten wynik na cztery, trzydzieści dziewięć, przepisywałem na maszynie, podpisywałem i składa-łem w określonym dniu w kancelarii komendanta. Przy maksymalnym przeciąganiu i celebrowaniu wszyst-

(56) kich czynności trudno było w ten sposób zabić więcej niż paręnaście minut.' Za czasów mojej służby nastroje rosły nieco szybciej niż zwykle, bo od razu skojarzyło mi się z nimi sławne opowiadanie Roberta Stevensona o diable w butelce. Wszyscy znają, ale przypomnę: diabeł spełniał trzy życzenia, a potem zabierał duszę do piekła, chyba że się go sprzedało komuś następnemu - tylko że był jeden warunek: sprzedać go można było tylko taniej, niż się kupiło. Główny bohater był życiowo przyciśnięty i kupił butelkę z diabłem za jednego pensa, no i miał problem, jak go opylić, bo pens, jak wszyscy wiedzą, to moneta najdrobniejsza. Mnie to natchnęło do rozmyślań -a co będzie, gdy nastroj w OHP poprawi się do pięć, zero i już nie będzie mógł dalej rosnąć, a przecież musiał rosnąć? Co się wtedy stanie? Nabrałem mistycznego przekonania, że Coś, Coś przez duże "c", i żeby nadejście tego Czegoś przyspieszyć, zacząłem podnosić nastroj o dwa, trzy, a nawet cztery po przecinku. No i sam widzisz -mistyczne przecucie mnie nie zawiodło. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że upadek PRL-u miał jakiś związek z niemożnością podniesienia nastrojów w OHP ponad maksimum. Zatem mam swój wkład w obalenie ustroju. A poza raportowaniem o nastroju miałeś tam jeszcze coś do roboty? Nic właśnie. Tyle żeby przyjść b 8.00 i wyjść o 16.00, i przez ten cały czas nie wyglądać na znudzonego. Nie wolno było czytać książek, rozwalać się na krześle z oczyma wpatrzonymi w sufit, układać kostki Rubika; no, nic nie było wolno, tylko mieć przed sobą rozłożone papiery i pozorować pracę. (57) Takie udawanie to ciężka robota. To była autentyczna tortura! Chodziłem do magazynu, fasowałem pudełko kredek do rysowania map -zestaw ogólnowojskowy, trzy czerwone, trzy niebieskie, żółta, czarna i brązowa -i temperowałem je wszystkie po kolei do imentu, aż nic nie zostawało i mogłem pójść wyrzucić strużynki z kosza i wyfasować następne pudełko. Ale szybko tych kredek zabrakło, jak to w socjalizmie. W końcu dostałem zgodę na stukanie w maszynę i przepisałem, chociaż już byli wtedy raz przepisani, "Wybrańców bogów", moją pierwszą powieść. Zezwolenie na pisanie na maszynie zawdzięczałem zresztą zadaniu, które okazało się bardzo pouczające i którego podjąłem się, właśnie żeby cokolwiek zabić tę nudę wojskowego biura. Oto obywatel generał, który był komendantem głównym, szefem tego całego interesu, miał przemawiać w rocznicę bitwy pod Cedynią; zlecono mi więc znalezienie w archiwum jakiegoś starego przemówienia na tę okoliczność i ewentualne jego zaktualizowanie. Oczywiście zaproponowałem, że napiszę zupełnie nowe. Wreszcie jakaś praca! Przystudiowałem starannie

wszystko, co historycy napisali o tej bitwie i przemówienie napisałem naprawdę znakomite. Nie wierzę, że mogłeś napisać prawdę o starciu lenników cesarza niemieckiego: margrabiego Hodo i dwóch polskich książąt -Mieszka i Czci bora. Nawet jeśli napisałem -a skłamałbym, gdybym powiedział, że jeszcze cokolwiek z tego pamiętam -to i tak generał tego nie wygłosił. Powiedziałem, że było to pouczające doświadczenie. A konkretnie, po-

(58) uczające było to, co z moim przemówieniem działo się dalej. Zaniósłem je do swojego bezpośredniego przełożonego, powiedzmy, kapitana. Ten pochwalił, ale musiał przecież pokazać, że nadzoruje moją pracę, więc dokonał poprawek. A jakich mógł dokonać poprawek? Stylistycznych. To znaczy, wprowadzając w miejsce normalnych zdań sformułowania z partyjno-wojskowego żargonu, w typie "po linii" i "na bazie". Potem kapitan przekazał tekst swojemu przełożonemu, majorowi, który też musiał odcisnąć na nim swoje piętno i po poprawieniu podał wyżej. Gdy generał dostał ten tekst, też musiał pokazać, że za nic żołdu nie bierze, zresztą też się pewnie nudził jak wszyscy, więc narobił jeszcze więcej poprawek i tekst wrócił do mnie do przepisania na czysto - jako niemający prawie nic wspólnego z pierwowzorem typowy bełkot partyjno-wojskowy. Mając to w pamięci, doskonale rozumiem na przykład, jak powstaje w Polsce prawo i dlaczego ono tak, a nie inaczej wygląda. Najpierw pisze ustawę jakiś fachowiec, potem ją poprawiają w resorcie, potem idzie do uzgodnień międzyresortowych, a potem poprawiają ją posłowie w komisji sejmowej i w kolejnych czytaniach plenarnych ... I nawet jeśli nikt z nich wszystkich nie weźmie w łapę za wkręcenie jakichś "lub czasopism", wystarczy, że chce pokazać, że się na sprawie zna i że dba o interesy wyborców ... () (59)

Rozdział IV.

Wielka sztuka sciencefiction / rebelia przeciw Jaruzelskiemu / przeciwnicy fantastyki / jeden słuszny naukowy światopogląd / chory świat literatury PRL-u / legendy czerwonej grafomanii / warsztat pisarza / Sapkowski, czyli "Sienkiewicz wydrążony" / porażkifuturologów / udany debiut . (62) Młodzi ludzie piszą zwykle wiersze. Nic piękniejszego, jak zobaczyć taką grafomanię po latach: "huk wojennych dział i stosy rozszarpanych ciał ... " itp. Co cię pchnęło w kierunku fantastyki? Skala trudności. Napisać opowiadanie fantastyczne, żeby było i dobre, i ciekawe, i jeszcze niegłupie to wielka sztuka. Raymond Chandler, którym byłem całe życie zachwycony, pisał -u nas tłumaczono ten esej w zbiorze "Mówi Chandler" -że prawdziwym wyzwaniem dla mężczyzny jest wziąć literaturę, którą wszyscy uważają za szmirę i pokazać, że można z niej zrobić coś godnego podziwu. W jego wypadku był to kryminał, ja tak samo podchodziłem do SF. Żaden honor pisać wiersze i podczepiać się pod pokolenia poetów, którzy sprawili, że pisanie liryki generalnie postrzegane jest jako godne szacunku. Marzyło mi się, że zarobię na szacunek tym, co samo z siebie szanowane nie jest. Nie mam wielkiego sentymentu do tego, co pisałem w latach 80., bo to w gruncie rzeczy była strasznie naiwna i głupia .literaturka", Starzy mistrzowie gatunku z pewnością spojrzeliby na to i stwierdzili, że są to typowe młodzieńcze wiersze, (63) 11';1,1111 tylko dla niepoznaki o Marsjanach i rakietach. Takie dzieła siedemnastolatka, któremu jest źle, który jest zbuntowany, a zatem musi się wypisać. Wszystkie te moje opowiadania kręciły się wokół jakiejś rebelii: rebelianci w kosmosie walczyli z wrednymi kosmicznymi Jaruzelami. Cenzura nie ingerowała ani razu? Raz zaingerowała. Popadło na "Władcę szczurów", sztandarowe moje opowiadanie, zresztą najlepsze, jakie udało mi się w tamtym okresie napisać i potem tytułowe w moim pierwszym zbiorze. Zaniósłem je do Parowskiego, do "Fantastyki", a on powiedział, że w tym piśmie nie ma szans na druk, bo tekst jest za bardzo polityczny, ale wsadzi go do "Przeglądu Technicznego". I potem zadzwonił z wia-

domością, że już opublikowali moje opowiadanie. Ja oczywiście z wypiekami na twarzy pobiegłem do kiosku kupić ten numer, a tam -co za rozczarowanie -nic, ani dudu. A potem dostałem przekaz pocztowy -jedną czwartą honorarium. Okazało się, że cenzura zdjęła tekst w ostatniej chwili, bo

tam było o biciu ludzi pałkami, a akurat milicjanci w podobny sposób zamordowali Grzegorza Przemyska. Gdyby nie to tragiczne wydarzenie, opowiadanie by się pewnie ukazało. Zresztą dziś trudno byłoby dopatrzeć się w nim jakiegokolwiek aluzji do rzeczywistości PRL-u. Ale wtedy jakiś zgred w typie pana Małkowskiego, byłego prezydenta Olsztyna, bo on był cenzorem, uznał, że w tym tekście jest dynamit mogący rozsadzić system. Szybko się dowiedziałem, że zmian dokonano w ostatniej chwili. Po prostu wyciągnięto w tym celu numer z drukarni! Dla kolegów zostałeś bohaterem. No jasne. Byłem wiracha. Mogło się człowiekowi w głowie trochę przewrócić - napisałem takie opowiadanie, że czerwony je zdjął! Co prawda Parowski trochę mi zepsuł tę radość, bo powiedział, że gdybym wysłał je na konkurs "Fantastyki", to mógłbym liczyć na drugie bądź trzecie miejsce - rozumiesz, drugie albo trzecie, zniewaga niesłychana" bo przecież byłem najlepszy ... Ale i tak - sukces niesamowity. Bodaj dwa razy w życiu byłem tak bardzo dumny z siebie. Drugi taki moment, kiedy przeżyłem prawie lewitację, nastąpił, gdy niedługo potem "Młody Technik" wydrukował moje opowiadanie "Historia", generalnie o tym, że jacyś wredni Ziemianie - w domyśle komuniści - zniszczyli cywilizację na obcej planecie - w domyśle: jak Ruskie Polskę. Nic mądrego, jak dzisiaj na to patrzę, ale w słusznym duchu. Ówczesny redaktor odpowiedzialny za fantastykę w "Młodym Techniku" - Jerzy Kławiński, zwany Klawym - opowiadał potem, że pojechał sobie na wakacje w Tatry i tam spacerując pod Regłami, spotkał jakiegoś bardzo miłego staruszka. W schronisku zgadali się o literaturze. Kiedy ten staruszek dowiedział się, gdzie Kławiński pracuje, zaczął go łajać: "To science fiction, co wy tam drukujecie, to jest skandal! A zwłaszcza niejaki Ziemkiewicz!". Był oburzony: "Jak można mącić młodzieży w głowie, jak można takie wrogie treści jej przekazywać! Za moich czasów to kazalibyśmy was zamknąć, a tego autora po prostu rozstrzelać", Dowcip polegał na tym, że ten staruszek rzeczywiście miał swego czasu takie możliwości, bo za Gomułki był człowiekiem numer dwa w PRL-u - nazywał się Zenon Kliszko. Ale na moje szczęście w latach 80. był już tylko wywalonym z partii emerytem ... (65)

Jeszcze o "itd". Piotr Gadzinowski, wtedy publicysta tej gazety, potem wicenaczelnym u Urbana w "NIE", napisał o twoich związkach ze "studenckim" tygodnikiem w ten sposób: "W 1984 r. redaktor Rafał Roykiewicz lansował na łamach komunistycznego »itd« młodego pisarza Rafała Ziemkiewicza. Wschodzącą gwiazdę krajowego science fiction. Odpowiedzialny towarzysz z Wydziału Prasy Komitetu Centralnego tropiący wówczas nieprawomyślność na łamach tamtego tygodnika nagle obsypał nas pochwałami: »Takich Ziemkiewiczów należy lansować. Wszelkie aluzje zrozumiałem, ale socjalizmu wprost nie atakuje« - usłyszałem. Po dwudziestu latach bohaterski Ziemkiewicz poucza Michnika ... ", To jest całkowita bzdura! Nic takiego nie mogło mieć miejsca. W "itd" nigdy nic mojego nie wydrukowano, jedyną próbą był ten zdjęty przez cenzurę "Władca szczurów" i zaniósł go tam Parowski, którego przejściowo zaprosili do redagowania kolumny SF, nie był członkiem redakcji. Nikogo z redakcji zresztą nie znałem, zwłaszcza nikogo o nazwisku Roykiewicz. Gadzinowski albo to zupełnie zmyślił, albo pomylił nazwiska; wzywałem go publicznie do sprostowania, ale nabrał wody w usta, a przecież nie będę się z nim procesował ... Może szkoda, już widzę ten tytuł w "Wyborczej": "Kiedy Michnik siedział w więzieniu, Ziemkiewicz walczył z Marsjanami". Potraktujmy to jako dowód popularności - te różne plotki, jakie są o człowieku rozpuszczane, żeby mu zaszkodzić. Gadzinowski i tak nie jest najbardziej pomysłowy, zdarzało mi się też czytać na przykład, że podczas gdy Michnik siedział w więzieniu, ja byłem (66) przewodniczącym wydziałowego koła Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. A w rzeczywistości za moich czasów nawet w ogóle nie było na polonistyce takiego koła, ZSP też zresztą nie było. Ja za PRL-u poza klubem fantastyki nigdy nie należałem do żadnej organizacji czy związku. W pierwszej klasie liceum dowiedziałem się, że całą naszą klasę, nic nam nie mówiąc, zapisano cichcem do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, żeby poprawić szkolne statystyki, i zorganizowaliśmy wtedy z kolegą Azembskim, dziś ekspertem od bankowości, pierwszy w dziejach szkoły i naszych masowy bunt ... To są zwykłe oszczerstwa i tyle. Ale mówiąc zupełnie poważnie, to komuniści jednak niespecjalnie was prześladowali. Podobno uważali nawet fantastykę za wentyl dla systemu. Komuna uważała nas za mniej szkodliwych niż na przykład jakichś "wyjców" z Jarocina, do których też zresztą podchodziła lekceważąco. W tych różnych tekstach z gatunku SF partia trochę obrywała, ale chyba uważali, że warto na to pozwolić.

To już nie była ta komuna z pierwszych dziesięcioleci po wojnie, która chciała panować nad każdą myślą, to była komuna zdychająca, która chciała tylko spokoju. Poza tym SF jakoś tam się rymowała z propagandą sukcesu wokół lotu Hermaszewskiego. Bo robiono wtedy taką propagandę, że jesteśmy mocarstwem kosmicznym. Mało kto pamięta, że w TVP leciał nawet jakiś czas program o nazwie "Orbita -Telewizja Młodych Kosmonautów". Koledzy z łódzkiego klubu fantastyki nawet od nich, zdaje się, wydoił jakąś kasę, i słusznie. (67)

Istniały zresztą

wskazówki z Komitetu Centralnego dla pisarzy fantastyki, Parowski pisał o tym w swojej książce: miała to być literatura głosząca materialistyczny pogląd na świat, rzeczywistość przedstawiona w powieści musiała być postrzegana jako racjonalnie zrozumiała, główny bohater musiał być nosicielem jedynie słusznego "naukowego światopoglądu" itp. W latach osiemdziesiątych te zalecenia były śmiechu warte, bo już w tym czasie wszelka fantastyka była kompletnie "odjechana", religijna, bardzo irracjonalna. Ale Wydział Kultury KC opracowywał jeszcze i przysyłał do redakcji z rozpedu. Ale trudno powiedzieć, że w latach 80. cenzura nie panowała już nad tym, jakie książki wydawano. Los twojego opowiadania jest tego przykładem. Owszem, to były jednak paskudne czasy i niech nikt dzisiaj nie mówi, że "w PRL-u powstawało mnóstwo arcydzieł". Bo nie mogły powstawać. Nie wystarczyło, że wydawca coś zaakceptował i chciał to wydać, on musiał to zgłosić do Ministerstwa Kultury i Sztuki i na każdy tytuł uzyskać zgodę. Po śmierci Janusza Zajdla, pisarza, od którego imienia nazwano najważniejszą nagrodę w polskim świecie SF, chciano wydać jego dzieła zebrane, ale z ministerstwa przyszła odmowa. Powiedziano po prostu: wystarczy już tego Zajdla. I tyle. System wynagradzania pisarzy też był częścią tego kagańca; stary partyjny grafoman, który miał przyznaną wysoką kategorię zaszczerowania, jako twórca "wybitny", dostawał za książki, których nikt nie chciał czytać, wielokrotnie więcej niż pisarz rozchwytywany, ale zaszczerowany do niskiej (68) "kategorii artystycznej". To był chory świat i dziwię się tym, którzy wspominają go z nostalgią. Zajdeł mógł się wydawać podejrzany aparatczykom PRL-u, ale to zabawne, że fantastyka wydawała się partyjnym ideologom niezwykle postępowym gatunkiem literatury. Być może niektórzy tak myśleli. Jeszcze przed Sierpniem '80. przyzwolono na powstanie ogólnopolskiej organizacji miłośników SF. Krajowa Agencja Wydawnicza, która była przecież partyjnym koncernem, zaczęła wydawać w masowych nakładach książki fantastyczne, zresztą przeraźliwie złe. Krajowych autorów? Tak. Dla nas seria KAW, czyli tak zwana seria z glizdą, (od znaczka na okładce) była przedmiotem głównych kpín, filipik i pamfletów. Doprowadzało nas do furii, że taką grafomanię i takie ściery drukuje się nawet w w stu tysiącach egzemplarzy, a na porządną fantastykę brak papieru, nie wspominając o "cennych dewizach" na zakup praw autorskich do klasyki. Pamiętasz te nazwiska? Ja tak, ale inni już chyba nie pamiętają. Generalnie były to nazwiska, które na szczęście nie zapisały się w dziejach literatury. Chyba najbardziej przysłowiową KAW-owską grafomanię uprawiali Lucyna Pęciak z powieścią "Neurony zbrodni" i Mieczysław Kurpisz z "Bez przerwy wypełniać tę ciszę". W partii istniał snobizm na lansowanie piszących robotników i w SF także wypromowano kilku takich "naturzeczyków literatury". Jednym z nich był (69)

Andrzej Krzpekowski, przedstawiany jako młody robotnik, czy Zbigniew Prostack, z zawodu lakiernik. Zwłaszcza z Krzpekowskim to było strasznie śmieszne, bo facet pisał dyrdymały, a robiono mu klakę, że to drugi Lem. Zresztą on sam wypisywał w jakichś takich partyjnych czy ZSMP-owskich pismach młodoliterackich, że Lem się skończył i przyszedł czas na młodych, jasno wskazując na siebie. Z kolei Prostack uprawiał coś, co w tamtych czasach budziło już tylko salwy śmiechu, to znaczy fantastykę partyjną w stylu lat stalinowskich, gdzie największymi autorytetami są "specjaliści radzieccy", a dzielny bohater, pilot kosmiczny, zdobywa laury, zdejmując z orbity starą satelitarną bombę atomową, umieszczoną tam przed laty przez, jak wynika z opowiadania, od dawna już na szczęście nieistniejący kapitalistyczny reżim amerykański. Domyślasz się, jaki mieliśmy do tego stosunek. Kiedy w 1982 roku powstał miesięcznik "Fantastyka", był on w naszych oczach częścią tej promowanej oficjalnie chałtury. Wicenczelnymi zostali ludzie związani z KAW-em, w pierwszych numerach dział recenzji był wypełniony zupełnie bezwstydną promocją serii z glizdą. PRL-owska nieprzewidywalność drukarni sprawiła zresztą, że najpierw poszły tam

pochwalne recenzje książek, które ukazały się dopiero rok później. Jeszcze śmieszniejsza od recenzji była "lista bestsellerów". Jakie znowu bestsellery, jak nakłady były ustalane ogólnie i wszystko poza "glistą" zniknęło z księgarni, zanim do nich dotarło? A oczywiście największymi "bestsellerami" okazywały się tam właśnie te bzdety ... Wprawiało nas to wszystko w straszną furję. Momentami przesadną. (70) Co dziś uważasz za przesadne? Kpiny, jakich nie oszczędziliśmy szefowi pisma Adamowi Hollankowi. Pisał powieści strasznie młodopolskim, poplątanym stylem, czego zachwyceni prozą amerykańską nienawidziliśmy bardziej niż czelegokolwiek innego w literaturze. Należał do partii, wcześniej pracował w "Trybunie Ludu" -to wystarczało, żebyśmy go skreślali jako czerwonego grafomana. Potem zetknąłem się z nim osobiście, kiedy zacząłem pracować w redakcji "Fantastyki", i to wyszło od niego, po prostu sam z siebie mi pomógł, wcale nieproszony. Bo nie była to taka typowa partyjna menda, jakie głównie robiły wtedy kariery, raczej człowiek, jak to nazywał Kisiel, "bojowy". Lwowiak, widział wejście Ruskich w 1939 i wszystko, co potem; to go naznaczyło na całe życie strachem, i nie było sensu liczyć, że jak mu cokolwiek każą, to się postawi. Ale kiedy mu niczego nie kazali, a jak mówiłem, w ostatniej dekadzie PRL-u ten nacisk coraz bardziej słabł, to sam z siebie starał się być przyzwoity. Ściągnął na przykład do redakcji Leszka Jęczmyka po tym, jak go wylali z Czytelnika za "wrogą postawę". Zważywszy na to, że naczelnym jakiegokolwiek pisma mógł być tylko partyjny, to muszę się zgodzić, że w sumie ten Hollanek się trafił naszemu środowisku bardzo szczęśliwie. A że miał wyskoki na punkcie własnej chwały, zamawiał na przykład pozytywne recenzje ze swoich książek i jeszcze je w druku poprawiał, dodając zachwytów albo pisał pochwalne dla siebie fikcyjne listy od czytelników ... No, pewnie każdy pisarz ma takie pokusy, a ten świat partyjnych hierarchii był jednak strasznie demoralizujący. (71)

Skoro pismo "Fantastyka" i cały ruch wokół niego powstały w stanie wojennym, to komunistom rzeczywiście zależało, żeby młodzież myślni poszybowała na inną planetę. Może i tak, ale wtedy tylko sformalizowano ruch, który kilka lat wcześniej zaczął się tworzyć samoczynnie. Gdzieś w 1977 -78 roku powstały w kilku miejscach, m.in. w Warszawie, kluby, do których przychodzili głównie faceci i rozmawiali o literaturze science fiction. Nie wiem, czy to warte wspomnienia, ale w polskim ruchu SF wielką rolę odegrali na początku homoseksualiści. Nie uwierzę, że istniała gejowska fantastyka ... To nie, przynajmniej nie w tej części świata -wtedy przecież u Sowietów za takie rzeczy skazywano na dziesięć lat łagru, a u nas lądowało się w kartotece "Hiacynt". Ale kluby SF były, zwłaszcza na początku, miejscem, gdzie się zbierali ludzie w jakiś sposób wyobcowani, samotni, mający kłopoty z bliskimi, z nawiązywaniem kontaktów przyjacielskich -klub dla wielu był protezą rodziny. Zresztą to jest chyba światowa tendencja. Lem w "Fantastyce i futurologii" straszne gromy miotał na Fandom, zwłaszcza amerykański, że to banda dziwadeł i odmieńców. Sam fakt pisania science fiction czynił z człowieka odmieńca, a w ruchu aktywistów odnajdywali się jeszcze bardziej "odmieńcowaci odmieńcy". Swój wielki młodzieńczy spór wiodłem z Maciejem Parowskim, ówczesnym szefem działu literatury polskiej w "Fantastyce", a późniejszym naczelnym tego pisma, (72) redaktorem do dziś niezwykle cenionym przez młodych literatów. On uważał po prostu, że macie pisać coś na miarę "Biesów" Dostojewskiego, używając do tego robotów, laserów i statków kosmicznych. Wymagał od nas literackości "głównonurtowej", czyli właśnie takiej, która nas odpychała i właśnie przeciwko której Ignęliśmy do fantastyki. Tonie był facet, który czytał np. Arthura C. Clarke'a, Philipa K. Dicka czy braci Strugackich i fascynował się tą literaturą tak samo jak my, młodzi pisarze SF. On się wychowywał na klasyce i w fantastyce widział formułę literacką, którą trzeba uszlachetnić wedle powszechnie uznawanych wzorców. Nie widział zupełnie tej specyfiki, którą my czuliśmy instynktownie. Z tego powodu między nami iskrzyło, tym bardziej że on próbował być nam ojcem i pouczać, a jego autorytet był, jakby to ująć, jedynie instytucjonalny. Traktowaliśmy więc Parowskiego jako przeszkodę na drodze do upragnionego druku. I to nie tylko w "Fantastyce", bo Maciek dobierał także opowiadania do "Przeglądu Technicznego", a w pewnym momencie także do "Problemów". Z punktu widzenia młodego człowieka to był absolutny monopol i nigdzie nie można było wydrukować niczego, co się nie spodobało Parowskiemu. Ale potem doszliśmy z nim do porozumienia. Nawet do przyjaźni.

\

Ja z nim koty darłem przez tyle lat, a w li-

stopadzie 2010 roku wygłaszałem laudację na cześć Parowskiego, zresztą wręczając mu Nagrodę im. Józefa Mackiewicza jako członek kapituły za powieść (73) pt. "Burza". Widać więc, że nasze wzajemne stosunki przeszły dość liczne fazy. Najszybciej, jak próbuję to sobie zrekonstruować, Parowskiemu udało się nas przekonać, że mylnie go pozycjonowaliśmy jako jeszcze jednego czerwonego; okazało się, że trafił do "Fantastyki" z prasy studenckiej, że był tam wybranym przez zespół "odwilżowym" naczelnym, a po stanie wojennym został negatywnie zweryfikowany i na pracę w miesięczniku literackim, ale z zakazem pełnienia funkcji kierowniczych, pozwolono mu z wielką łaską. Ale awanturowaliśmy się głównie o retorykę. Myśmy wtedy głosili, że fantastyka ma być rozrywkowa, fajna, dobrze napisana, z warsztatu, konstrukcji, fabuły zrobiliśmy jedyny probierz wartości. Parowski z kolei opowiadał o problemach, o wartościach literackich itp. Był w tym spór pozorny, bo to, co my chcieliśmy pisać, nie było wyłącznie rozrywkowe, my chcieliśmy po prostu, żeby wszystko było solidnie zrobione, a on też nie domagał się nudy ani eksperymentów formalnych. Ale spory pozorne bywają właśnie tymi najbardziej gorącymi. Czyli to był bunt przeciw polskiemu rozmemłaniu w literaturze. Właśnie! Zawsze wkurzało mnie do białości to dziadostwo polskiej literatury, lekceważenie warsztatowych rygorów, nieumiejętność budowy i utrzymania konstrukcji. Zrobię dygresję, potrzebną, by rzecz objaśnić: to rozmemłanie widać nie tylko w literaturze. Przestałem jeździć na różne konferencje i seminaria, na które kiedyś byłem zapraszany dość często, bo po prostu się tam musiałem wstydzić za nas, (74) Polaków. To zawsze wyglądało tak samo: na konferencji jest jakiś plan, porządek spotkań, rozmów, są goście zachodni i są jacyś mędrcy z Polski. Kiedy przychodzi zachodni prelegent, to wyciąga laptop i jeśli ma mówić piętnaście minut, to mówi tylko kwadrans. Przedstawia konkretną, bardzo precyzyjną prezentację, w której są wyraźnie zaznaczone tezy i argumenty, dochodzi do puenty. Jeśli są do niego pytania, odpowiada zwięźle i jasno. Jeśli sam komuś zadaje pytanie, to jest to pytanie, a nie ogólna teoria wszystkiego. Potem wychodzi Polak. Nie ma żadnych przygotowanych materiałów i czasem wręcz zaczyna od szczerego wyznania, że nie miał kiedy nad wystąpieniem popracować, ogólnikowo dywaguje wokół zadanego tematu, bez żadnych konkretów i oczywiście przewala strasznie czas. Pałilem się ze wstydu i zżymałem strasznie, jak to widziałem. I myślę, że taka sama irytacja leżała u podstaw naszego podejścia do fantastyki. Gdy czytaliśmy tekst amerykański, to w przeciwieństwie do polskiego miał on zawsze początek, środek i zakończenie, pięknie budowany nastrój, wciągającą narrację. Skupialiśmy się więc na studiowaniu, jak to się robi w Ameryce. Pomagali nam w tym różni ludzie, m.in. tłumacz Piotr Staniewski, wielki erudyta. Zapraszaliśmy też Stefana Ocetena, krytyka literackiego, prywatnie dość dziwnego człowieka ... Może warto o nim tu wspomnieć, bo skończył w sposób równie tajemniczy, jak żył. Po prostu pewnego dnia wyszedł na ulicę i zniknął. Do dzisiaj nie wiadomo, co się z nim stało. W którymś momencie pracował jako szef straży przemysłowej, nam niejasno sugerował, że ma coś wspólnego z jakimiś służbami. Po-

(75)

dobno pilnował jakiegoś dobra, które zniknęło z zakładu i w końcu sam zniknął. Ale był dość dobrze wykształconym krytykiem literackim i razem z nim braliśmy na warsztat teorię literatury Austina Warrena i Rene W. Wellecka, siadaliśmy sobie w klubie i dyskutowaliśmy o niej. Rozbieraliśmy powieści i opowiadania na części, dokładnie analizowaliśmy, jak są zrobione. Do dzisiaj uważasz, że autorzy science fiction w Polsce sprawniej opowiadają historię niż autorzy mainstreamowi? . No jasne. Pokaż mi autora głównego nurtu, który wie, czym się posługuje. Pewnie paru by się znalazło, ale rzeczywiście znaczna część współczesnej prozy to bełkot o niczym. Podobno ta maniera pisania słowotoku bez żadnego planu bierze się z czasów romantyzmu. Wtedy to miało zwyciężyć przekonanie, że pisarz jest sam w sobie kimś tak skomplikowanym i ciekawym, że musi to wylać na papier, zamiast opowiedzieć ciekawą i mądrą historię. Jeśli tak rozumieć romantyzm, to faktycznie

ciągle w nim żyjemy. I widzisz, po tym, gdy ja gdzieś napisałem, że literatura to jest rzemiosło, a rzemieślnik musi mieć opanowany i materiał, i narzędzia, i technologię, że trzeba się tego wszystkiego nauczyć, to Parowski odpisywał, że młodzi autorzy nie rozumieją, iż literatura to jest czynność magiczna! Hokus-

-pokus, sru i się wzięło, i się napisało, bo natchnienie przyszło, tak? To bzdury. (76) Trudno ci będzie przeforsować tezę o wyższości polskiej fantastyki nad resztą literatury, bo pisarze SF byli zawsze lekceważeni i uważani za grafomanów. Ale my się tym nie przejmowaliśmy, bo wydawało się nam, że jesteśmy ważni i wielcy. Na spotkania z uznanymi autorami z gatunku fantastyki przed 1990 rokiem przychodziły tłumy. A opiniami oficjalnej krytyki nie było co zawracać sobie głowy. Wystarczy przypomnieć losy tzw. szkoły Henryka Berezę, do dzisiaj prominentnego krytyka literackiego: nikt z typowanych przez niego autorów nie stał się znanym i cenionym pisarzem. On lansował w schyłkowym PRL-u totalną ściemę i grafomanię, która nie zostawiła po sobie żadnego śladu. Mam zresztą z tym "autorytetem" swoje "porachunki", bo Berezę totalnie wyszydził opowiada-

nia, które ukazały się w jednym z tomów almanachu literackiego wydanego w Iskrach, poświęconego właśnie fantastyce. Znalazło się tam kilka naszych opowiadań, w tym dwa moje. Jedno zresztą rzeczywiście nieudane. Nie było to wydarzenie wielkiej wagi, ale styl krytyki dobrze przypominał ten, który słyszymy dzisiaj przy okazji oceny "niewygodnych politycznie" dzieł. Można go streścić jednym zdaniem: "Nie czytałem, bo to przecież obrzydliwe, więc jestem przeciw". Ten dyskurs był już wtedy na nas ćwiczony. Stworzyliście własną grupę literacką. Nie chcieliście być gorsi od Skamandrytów? Pewnie, że nie. Z ludźmi, których spotykałem w SFAN-ie, klubie fantastyki, do którego należałem, założyliśmy grupę o nazwie Trust, bo wiedzieliśmy, że w grupie jest raźniej i łatwiej się będzie przebić. Jeden (77) z jej założycieli Jarosław Grzędowicz jest dzisiaj szefem działu nauki w "Gazecie Polskiej", ale przede wszystkim autorem, który trzykrotnie otrzymał Nagrodę im. Janusza Zajdla i sprzedaje spore nakłady swoich książek. Jacek Piekara, autor kilkunastu książek i kilkudziesięciu opowiadań, praktycznie z każdym tytułem trafia na listę bestsellerów Empiku. O Robercie Azemb-'skim już wspominałem, ten, niestety odpuścił prozę i został naczelnym jakiegoś pisma od bankowości; trochę mnie zaskoczył, bo kształcił się na ewangelickiego pastora na teologii. A Tomek Kołodziejczyk został ważnym egzekutywem w Wydawnictwie Egmont. I tak bym mógł długo wymieniać. Ale w tamtych czasach dzisiejsi profesorowie, socjolog Edmund Wnuk-Lipiński i ekonomista Dariusz Filar też wydawali science fiction. Widać nic tak nie uczy zdrowego myślenia jak fantastyka! Mówię to całkiem serio. Ona rozwija wyobraźnię, a przez to inteligencję. Jeśli piszesz kryminał albo zwykłą powieść współczesną, to opisujesz świat takim, jaki jest. A tu musisz go wymyślić, musisz się wysilić i stworzyć zupełnie całkiem nową rzeczywistość. A żeby to zrobić, siłą rzeczy musisz przemyśleć, jakie są rządzące światem prawa, co z czego wynika, rozważyć wszystkie "jak" i "dlaczego" ... No cóż, fakt, że po 1989 roku fantastyka nie okazała się taką potęgą, za jaką się wtedy uważaliśmy. Chociaż kilku autorów przetrwało na rynku i znaleźli się nowi. I to tacy, którzy naprawdę wiele znaczą. Przecież bez takiego Jacka Dukaja polska proza byłaby strasznie zubożona. W polskiej młodej prozie, tam prawdę mówiąc, najciekawsze rzeczy robi dziś trzech ludzi: Wit Szostak, Łukasz Orbitowski i Szczepan Twardoch. Wszyscy trzej wyrosli w tym środowisku. (78) Skoro polska fantastyka jest taka dobra, to dlaczego zachodni wydawcy jej nie biorą? Były takie próby. Wraz z Wydawnictwem Supernova wybraliśmy się silną ekipą autorów na targi do Frankfurtu. Trochę tekstów było przetłumaczonych na angielski i rozdawaliśmy je, ale nic z tego nie wyszło. Mainstreamowi wydawcy o fantastyce nie chcieli słyszeć, a z kolei wydawcy fantastyki uważali, że to, co w Polsce się pisze, to w ogóle nie jest fantastyka. Na Zachodzie ten gatunek to tylko światy fantasy i space opery. Dla nas "Nowy wspaniały świat" Aldousa Huxleya to dzieło z gatunku SF, a dla nich nie. Wymieniając tych wybitnych twórców, pomijasz Andrzeja

Sapkowskiego. A to przecież najbardziej kasowy polski autor z tego gatunku. Bo Sapkowski jest zjawiskiem osobnym. On nic nam nie zawdzięczał ani myśmy mu nic nie zawdzięczali. Pojawił się nagle, poza naszym środowiskiem. Po prostu usiadł i bez pytania o zgodę zaczął pisać o Wiedźminie, a potem przeszedł do powieści historycznych. Ale to właśnie jego Parowski widział jako takiego Dostojewskiego science fiction. Chyba trochę przesadził z tym Dostojewskim. Sapkowski ma wielką zręczność w układaniu słów, jest wspaniałym gawędziarzem, ale to, co on pisze, jest puste jak bęben. Zresztą, co za ironia ... Przecież akurat to, co zrobił Sapkowski i czym się Parowski zachwycał, jest właśnie fantastyką rozrywkową. W jego prozie jest (79) Sienkiewiczowska fraza, ale u autora "Ogniem i mieczem" niosła ona pewną wizję człowieka i świata, prostą, zgodną, ale wyrazistą. A tu służy tylko samej sobie. Wiedźmin, fachowiec do zabijania strzyg i kikimor, po prostu ma przygody, z których wynikają kolejne przygody; skłaniają go one do pewnych refleksji, tyle że generalnie wtórnych wobec Chandlera, a nawet jeszcze starszych facetów. Jedyny przekaz, który znalazłem w Sapkowskim, to jego obsesyjna nienawiść do religii; też chyba mało oryginalna i niezbyt ciekawa. Nie chcę, żeby to zabrzmiało jako zawiść, ale nazwałem kiedyś Sapkowera "Sienkiewiczem wydrażonym". Sienkiewiczowska fraza, ale bez sienkiewiczowskiego ducha. Jak każdy w tej branży możesz mieć powody do zawiści wobec Sapkowskiego. Sprzedał już ponad milion wszystkich swoich książek. Owszem, mogą być uprzedzony. To on zabierał mi sprzed nosa przez ileś lat co roku Nagrodę Zajdla, o której ja bardzo marzyłem. Musiałem czekać na nią chyba z pięć lat. Dopiero gdy nadszedł taki rok, kiedy Sapkowski niczego nie napisał, ten Zajdel w końcu mi się dostał. Wcześniej zawsze stawałem na tym pudle drugi albo trzeci. W 1989 roku polska literatura znalazła się w czyścicu. Co to oznaczało dla fantastyki? Ludzie rzucili się czytać masowo wreszcie obecnych w Polsce zagranicznych autorów, pojawiły się takie wydawnictwa jak Amber, na rynek trafiły masowe nakłady Alistaira MacLeana, Roberta Ludluma i innych mistrzów prozy sensacyjnej. Nadrabiano' (80) zaległości z całego półwiecza, które nam wojna i komuna zabrały. Bukiniści, często zresztą wywodzący się z klubów fantastyki, sprzedawali zachodnie hity na stolikach wystawianych na ulicy, a cały po-PRL-owski system księgarń, hurtowni i dystrybucji zaczął padać. I uznano, pewnie nie bez podstaw, że nikt nie chce kupować polskich książek. Oczywiście, nie dziwiło mnie, że zdechła z dnia na dzień ta cała licencjonowana grafomania a la "szkoła Berezy", ale nawet ludzie z nazwiskami nie mogli znaleźć wydawcy. Wydawnictwo, które jako pierwsze wydało sześć opowiadań o Wiedźminie Sapkowskiego, niedługo potem zbankrutowało, a jego książkowy debiut wyprzedawany był potem długo na taniej książce, po złotówce. A przecież autor w tym samym czasie święcił środowiskowe triumfy, już w latach osiemdziesiątych osiągnął rangę mistrza. Pewną schadenfreude dał mi wtedy fakt, że wielu literatów "głównego nurtu" z czasów PRL-u chwyciło w tej sytuacji za pióra, by pisać powieści SF, uznawszy, że to akurat się sprzedaje, a przecież oni, prawdziwi pisarze, poradzą sobie z taką literacką konfekcją bez wysiłku. Żłudne oczywiście były to nadzieje; okazało się, że ta pogardzana proza popularna zupełnie ich przerasta. Było to swego rodzaju pośmiertne zwycięstwo fantastyki nad tymi "mainstreamowcami PRL-u", którzy nas wyszydzały. Czasem nawet oni sami wstydzili się swych chałtur i sygnowali je pseudonimami. Czy ty także byłeś rozczarowany spiskiem narodu przeciw polskim pisarzom? (81)

Może bym był przeżywał rozczarowanie, gdybym miał kiedy. Ale naprawdę nie miałem już wtedy wolnej chwili. Rzuciłem się w życie publiczne, zostałem felietonistą "Najwyższego Czasu", a potem rzecznikiem i członkiem władz UPR-u. Zaczęła się wojna z postkomuną, UD-ecją i michnikowszczyzną. Próbowaliśmy jeszcze z kolegami wydawać pismo "Fenix", w którym ukazywały się opowiadania z gatunku fantastyki, ale nie wychodziło nam to najlepiej. Nazwa pisma była w jakimś sensie prorocza, bo ono ciągle się odradzało z popiołów i ciągle kończyło w tych popiołach. Zaczęło się w latach osiemdziesiątych, wychodziło ono wtedy jako biuletyn miłośników Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki pod nazwą "Feniks"; zresztą strasznie trudno było uzyskać na nie zgodę, cenzura po prostu nie chciała zezwolić na pismo literackie o tej tematyce, ze cztery czy pięć razy przychodziła odmowa, zawsze z tym samym argumentem, że jedno takie pismo już jest i Główny Urząd Kontroli Publikacji, Prasy i Widowisk, jak oficjalnie się ta instytucja nazywała, "nie widzi celowości". Udało się dopiero, kiedy z wniosku usunięto w ogóle

literaturę i obiecano, że będzie to po prostu biuletyn organizacyjny. Oczywiście nie był, nawet nie udawał, że był i właściwie teoretycznie powinni nas za to zamknąć i ukarać, gdyby się komukolwiek chciało, ale w tym czasie mieli już naprawdę większe zmartwienia. W wolnej Polsce część dawnego zespołu postanowiła wznowić kwartalnik jako konkurencyjny wobec "Fantastyki" miesięcznik. Zmieniliśmy tylko .ks" na .x", w poprzek ortografii, ale z konkretnego powodu - w czasach PRL-u publikowało się w tym ma-

(82) gazynie opowiadania zachodnich autorów, nawet ich o tym nie informując, nie mówiąc już o płaceniu, bo niby jak i czym; i obawialiśmy się, że gdy już rynek się otworzył, agenci tych autorów zgłoszą się do nas po zaległe honoraria. Ktoś musiał występować jako redaktor naczelny, takie było prawo, no i oczywiście padło na frajera, czyli na mnie. Ja też odpowiadałem finansowo za spółkę cywilną, która wydawała pismo, do czego kompletnie nie miałem głowy. To wypełnianie ksiąg przychodów i rozchodów, dostarczanie co miesiąc do urzędu jakichś kwitów, to wszystko wspominam jak jakiś koszmar. Przez pięć lat żyłem w lęku, że jeśli jakiś wścibski urzędnik ze skarbowki przyjrzy się temu uważniej, to mnie wsadzą do pierdła i zlicytują. No ale szczęśliwie nikt na Spółkę Cywilną Fenix nie zwrócił uwagi, aż wszystko się przedawniło. Przyznaję też, że nie sprawdziłem się jako redaktor naczelny -nie umiałem zorganizować sprawnie działającej redakcji, zresztą od początku wdałem się w jakiś chory i głupi układ, że no niby wiecie, kogoś trzeba podać w urzędzie i to mogą być ja, ale przecież jesteśmy kumplami i będziemy o wszystkim decydować wspólnie. Nie miałem za grosz posłuchu, nic nikomu nie mogłem kazać -a pismo wymaga dyktatora, inaczej się nie da. Dlatego w 1993 roku zrezygnowałem, oddając cały interes Jarkowi Grzędowiczowi. Ale nadszedł rok 1995 i Supernowa wydała twój "Pieprzony los kataryniarza". Powróciłeś wtedy jako pisarz sr. Od czasu do czasu pisywałem opowiadania, niektóre, zwłaszcza "Jawnogrzesznicą" z września 1990 roku, narobiły w środowisku sporo huku, ale to (83) były dosłownie jeden, góra dwa teksty rocznie. Ale powieść "Pieprzony los kataryniarza" nie powstałaby, gdyby nie zamówił jej Mirek Kowalski. Kowal zasługuje tu na parę ciepłych słów. Był w 1980 roku pracownikiem "Tygodnika Solidarność", a potem ciągnął podziemną Nową, oficjalnie pracując w Iskrach jako koordynator ich serii SF. Przykrywką okazała się znakomita, bo całe wydawnictwo uznawało za rzecz normalną, że w gabinecie faceta zajmującego się czymś takim bez przerwy przesiadują tabuny jakichś dziwnych ludzi, a tam właśnie przez lata działała faktyczna redakcja najbardziej znanej podziemnej oficyny. Po 1989 roku Nowa ze względów zasadniczych zwlekała z wyjściem z podziemia, dopóki nie została zlikwidowana cenzura, i to ją zabiło - półroczna przewaga, jaką uzyskali konkurenci, okazała się już nie do odrobienia. Kowal od razu chciał, żeby w profilu wydawnictwa znalazła się polska fantastyka i to się spotkało ze wścibłym oporem podziemnych gerontów -jak to, w takiej firmie jakieś głupoty o UFO czy robotach?! Więc w końcu musiał stworzyć nowy sygnet, "Supernowa", z innym logo. Jestem Kowalowi wdzięczny za to, co zrobił, bo wydawanie polskiej fantastyki, jak już mówiłem, wydawało się w 1995 roku misją samobójczą. A on przygotował akcję bardzo starannie. Lokomotywą całego przedsięwzięcia uczynił oczywiście Sapkowskiego, ale w przeciwieństwie do tego pierwszego, nieudanego wydania z 1992 roku, o którym mówiłem, zmusił go do napisania zupełnie nowych tekstów, nieznanych wcześniej z "Fantastyki". I do tej edycji doczepił mojego "Kataryniarza", "Święto śmiechu" Marka Oramusa i "Królewską rozsadę" Eugeniusza Dębskiego. Na plaka-

(84) cie -wtedy to była nowość, plakat promujący książki -wyglądało to w ten sposób: duża okładka -Sapkowski, a niżej trzy małe nasze i informacje, że tak rusza pierwsza od dawna seria z polską science fiction. Sapkowski okazał się szybko wielkim sukcesem, ale i pozostałe książki doczekały się wielu dodruków; "Kataryniarz", który do dziś jest do znalezienia w księgarniach, z okładką Polcha, to wciąż tamto wydanie. Sam Mirek Kowalski wyznał potem, że był tym pozytywnie zaskoczony. Zakładał, że na Sapkowskim uda mu się zarobić, że nie straci na Oramusie, który miał w latach osiemdziesiątych duże nazwisko, i na Dębskim, bo to fantasy, natomiast do

mnie gotów był dołożyć. "Pieprzony los ..." podniósł twoją pozycję jako pisarza. Można nawet powiedzieć, że jako pisarz właściwie od niego się zaczynam. No bo książki wydane w latach osiemdziesiątych to juvenilia, a "Wybrańcy bogów" byłiby zauważeni, gdyby zdążyli się ukazać jeszcze w 1988, ale po 1989 roku przepadli. Uniesiony sukcesem "Katarzyniarza" piszę następną książkę, która zawiera dwa opowiadania starsze i dwa nowe - "Śpiącą królową" i "Czerwone dywany, odmierzony krok". Wytęsknioną przeze mnie Nagrodę im. Janusza Zajdla dostałem za to pierwsze, ale ważniejsze było to drugie. Fabuła mówiła o tym, w jaką stronę zmierza demokracja w czasach dyktatury sondaży. Patrząc na PR-owe rządy PO, mam wrażenie, że to był tekst proroczy. W 1998 roku piszę "Walc stulecia". Ciągle uważam go za swoją najlepszą powieść, choć z tych trzech książek ona akurat sprzedawała się naj słabiej. Być może w swojej treści powieść była nazbyt nowoczesna, opisy (85)

pracy kreatora wirtualnych światów dla ludzi nieskomputeryzowanych były wtedy jeszcze zbyt ciężkie, a z kolei dla ludzi skomputeryzowanych szybko zaczęły trącić myszką. Dzisiaj lepiej się to czyta, ponieważ nikt nie ma pokusy porównywania techniki opisaną w "Walcu ..." z aktualnymi komputerowymi nowościami. Ostatnio pracowałem nad jej wznowieniem dla Wydawnictwa Fabryka Słów i dostrzegłem właściwie tylko jeden poważny błąd techniczny. To bardzo ciekawa książka o ucieczce od rzeczywistości. To interesujące, ale prorokowano właśnie, że młodzi ludzie będą zatapiać się w tych hiperrealnych grach i będą tworzyli sobie inne światy. Na całym świecie pisano, że owe "cybemarkotyki" w niedługiej przyszłości będą po prostu pewnym społecznym problemem. Jeżeli ktoś oczekuje po fantastyce prorokowania, to zawsze będzie rozczarowany, bo nie tylko ona, ale i futurologi, którzy się uważali za naukowców, niczego tak naprawdę nie przewidzieli. Wszyscy wiedzieli, że będą komputery, ale nikt nie przewidział, że gdy się je zepnie w sieć, to powstanie Internet. Tak samo nikt nie przewidział powstania Facebooka ani żadnych innych portali społecznościowych, na których ludzie będą kontynuowali swoje rzeczywiste spotkania. Nikt nie przewidział nawet powstania telefonów komórkowych. W "Czerwonych dywanach ..." przewidywałeś jakąś ogromną emigrację z Bałkanów do Europy Zachodniej. (86) To akurat się nie sprawdziło, ale w momencie gdy to pisałem, Bałkany wrzały i spodziewałem się, że ludzie stamtąd będą po prostu masowo uciekać . do Europy. Myślałem, że ten konflikt w Bośni i Hercegowinie rozleje się na Macedonię i Kosowo ... To ostatnie się spełniło. Generalnie nie boli mnie, że rzeczywistość potoczyła się inaczej, bo ja nie stawiałem sobie nigdy zadań jak dla proroka. Jako pisarz mam cel stworzenia jakiegoś świata, który jest wewnętrznie wiarygodny. Mam wrażenie, że zwłaszcza w "Walcu ..." mi się udało. To twoja ostatnia książka z tego gatunku. Znudziła ci się fantastyka? Nie, po prostu zacząłem mieć wrażenie, że fantastyka

nie jest już literaturą, jakby to ująć, zdolną tak wiele osiągnąć, ile bym chciał. Kiedy towarzysz Kliszko chciał mnie rozstrzeliwać i cenzura mnie zdejmowała, miałem wrażenie, że zajmowałem się czymś ważnym. W nowych czasach, gdy można pisać wprost, co się myśli, większość powieści z tego gatunku to świat czystej rozrywki, w którym latają wampiry i strzygi, a baby w stalowych staniakach naparzają się mieczami. Po "Walcu stulecia" nadałem się jeszcze, by napisać następną książkę. Miała ona być wielką, bardzo ważną powieścią. Pomysł na nią był nie zły, ambitny, wchodzący w metafizykę. Akcja toczyła się na takim zbalkanizowanym Wschodzie, czyli gdzieś tam na terenach dzisiejszej Ukrainy i Rosji. Na ten obszar wlało się dużo ludności azjatyckiej, bo do Europy Zachodniej nie można się już było dostać, Zachód odgrodził się od imigrantów swoistym kordo-

(87)

"nem sanitarnym. Pojawiają się tam Polacy, których Zachód wynajmuje do robienia porządków za kordonem, i w związku z tym czują się oni cywilizacyjnie lepsi, a miejscowi ich nienawidzą niczym sienkiewiczowska "czerń". A generalnie chodzi o to, że stary pisarz, mający około stu lat, możliwościami medycyny przyszłościowej trzymany w całkiem niezłej kondycji, jedzie w podróż z wszczepionym tak zwanym ziarnem, aparaturą zapisującą pracę jego mózgu. W tym świecie zamiast filmów czy gier ulubioną rozrywką stało się już bowiem przeżywanie cudzych przeżyć w

sposób zupełnie dosłowny. Tak jak dziś DVD, tam sprzedawane są dyski z czyimiś autentycznymi przeżyciami zgranymi z mózgu dowolnego człowieka -kaskadera, mordercy, donżuana, żołnierza na froncie, itp. Ów starzejący się pisarz dostaje to ziarno, by "nagrać" jego podróż na Wschód. Okazuje się jednak, że zostaje wplątany w wybuch wojny, która w dużym stopniu została sprowokowana jako krwawe widowisko przez światowe media. Bo te po prostu potrzebują nieustającego reality show, w którym między innymi ów pisarz gra i jednocześnie jest nagrywany. Sytuacja wymyka się jednak spod kontroli autorom przedstawienia. Pisałem tę książkę bardzo długo, szykowałem się cegła na 400 -500 stron, ale w końcu jej nie dokończyłem, to znaczy, zmieniłem założenia i zapiałem uproszczoną fabulkę na standardowe dziesięć arkuszy. Ale uznałem, że nie ma sensu tego wydawać, bo zepsułbym sobie markę jako pisarz. To była moja największa literacka porażka. Nie wykluczam, że będę jeszcze kiedyś pisał fantastykę, ale na zupełnie innej zasadzie. (88) Zwłaszcza "Walc stulecia" miał dobre recenzje. Krytycy chyba w ogóle zaczęli łaskawszym okiem patrzeć na powieści SF? Myślę, że po prostu o literaturze zaczęli pisać inni ludzie. Doszło do głosu nowe pokolenie, nieobciążone myśleniem rodem z PRL-u. Po "Walcu stulecia" Paweł Dunin-Wąsowicz, wydawca Lampy i Iskry Bożej oraz m.in. książek Masłowskiej, wpisał nasze biografie do swojego "Parnasu Bis", spisu młodych pisarzy. Fantastyka przestała być gettem, jakim była jeszcze do późnych lat osiemdziesiątych, zresztą zmiana jest po obu stronach -trudno powiedzieć, czy to, co opiszą choćby wspomniani tu Twardoch i Szostak, jest jeszcze fantastyką, czy już prozą głównego nurtu. Sam w tej chwili fantastyki nie uprawiam, ale wciąż bywam zapraszany na różne zloty fanów SF. To ciągle mój świat, gdzie wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Może i jesteśmy trochę dziwakami, ale twórczymi i bystrzymi. Kiedy odkryto, że na Marsie istnieje życie, napisałem taki szyderczy felieton o tym, że my, fani fantastyki - .obciachowcy", "antysportowcy" i w ogóle outsiderzy -wiedzieliśmy o tym dawno, dawno temu. No i kto tak naprawdę jest tu obciachowcem? () (89)

Rozdział V.

Smuga cienia, czyli dojrzałość / norwidowski fatalizm/ syndrom Piotrusia Pana, czyli zanik ojcostwa / autorytet Wojewódzkiego / Thsk -dowód na upadek wszystkiego / błazenada i oszustwo PO / amerykańska pewność siebie / dupkowatość współczesnego Polaka / machyzm to idiotyzm (92) Twoja książka "Żywina" z 2008 roku po trochu jest o układzie polityczno-korupcyjnym, ale głównym bohaterem jest dziennikarz Radek. Człowiek niedojrzały, który dorasta, robiąc materiał o pośle Żywinie. Tak, to opowieść o facecie, który żył sobie beztrosko i nagle kolejne zdarzenia uświadomiły mu, że nie można być wiecznie beztroskim, że trzeba wziąć odpowiedzialność za swoje życie, a nawet i za cudze. Często mam wrażenie, że kolejne rzeczy, do których w mozole dochodzę, napisał już kiedyś Joseph Conrad. I tym razem też, gdy już kończyłem pracę nad "Żywina", uświadomiłem sobie, że to jest mniej więcej o Conradowskiej "Smudze cienia" -we właściwym sensie. Bo w potocznym języku -to jeden z wielu przykładów powszechnego kulturowego otępienia, pewnie jeszcze się zgada powiedzieć o innych -przyjęło się mówić, że kiedy ktoś "wkroczył w smugę cienia", to znaczy "zestarzał się". Tymczasem jeśli ktoś tę powieść przeczyta, zobaczy, że mówi ona o wejściu nie w starość, ale właśnie w dorosłość. Bohater zostaje kapitanem statku i musi go uratować i nie ulec przy tym pokusie irracjonalnej wiary, że nad statkiem ciąży klątwa po poprzednim kapitanie. (93)

Jako pisarza najbardziej mnie interesuje, co to znaczy być mężczyzną i jak można nim być w świecie, w którym męskość generalnie zanika, być może nieuchronnie. O tym jest "Żywina" przede wszystkim, bardziej niż o Stanisławie Żywinie i jego politycznej karierze. Interesuje o tym też jest moja najnowsza powieść "Zgred". Męskość zamienia się w metroseksualizm? Kretyńskie słówko, wymyślone na użytek reklam. Nie wiem, co ma oznaczać, chyba pewien styl wydawania pieniędzy na wzór bogatych homoseksualistów z wyższych sfer mieszczańskich. Współczesny problem z męskością polega na, że tak to ujmę, zgówniarzeniu. Na upowszechnianiu się syndromu Piotrusia Pana. "Żywina" jest powieścią o takim współczesnym Piotrusiu Panie, który nigdy nie wyrósł z chłopięctwa, bo został upupiony przez mamusię, a wzorca męskiego nie miał skąd wziąć. W niewielu rzeczach zgadzam się z Agatą Bielik-Robson, ale sądzę, że miała rację, mówiąc, że w

Polsce brakuje prawdziwych mężczyzn, bo u nas od pokoleń chłopca wychowywała matka, jeśli już przez kogoś wspierana, to przez inne kobiety albo przez księdza, podczas gdy ojciec był nieobecny. Kiedyś go nie było, bo mężczyźni ginęli w powstaniach i na wojnach. Teraz go nie ma, bo wyjechał na saksy albo się upił, albo siedzi w pracy po godzinach. A kiedy pojawia się w domu, najczęściej mówi: czego wy ode mnie chcecie! Ja tutaj dwadzieścia lat po całych dniach pod tym zegarem zapieprzam, żeby wszystkim dać jeść, dajcie mi święty spokój, muszę wreszcie odespać. Albo jeśli jest tatu-

(94) siem nowoczesnym, zabiera dzieci na mecz, organizuje zabawę, wolny czas. W najlepszym razie podtrzymuje więź emocjonalną, ale nie uczy męskiej postawy wobec świata, nie uczy podejmowania decyzji, przyjmowania odpowiedzialności, no bo skąd ma to wiedzieć, kiedy i jego nikt tego nie nauczył? To jest nasza polska "fatalność" -w norwidowskim sensie -która przekłada się na brak męskich zachowań. Nawet nasza religijność jest tym skażona, bo zamiast Boga Ojca -jak to słusznie w sumie zauważył Korwin-Mikke, ściągając na siebie gromy -czcimy przede wszystkim Opiekuńczą Boginię z Jasnej Góry. Dla chłopca wzorzec męskości w postaci ojca jest nieoceniony i niczym się go nie da zastąpić, dla dziewczynki również ten wzorzec w osobie ojca jest niezbędny, by mogła stworzyć sobie stabilne życie emocjonalne. Współczesna psychologia niby to już dzisiaj uznaje, ale przekaz z mediów jest krańcowo odmienny. Ów syndrom Piotrusia Pana jest dobrze opisany przez psychologów. I to nie jest tylko polskie zmartwienie. We Włoszech istnieje cała armia mammonich, trzydziestolatków, którzy nie mają ochoty się wyprowadzić z domu, bo u mamy jest najlepiej. W Polsce też jest ich sporo, choć u nas mogą się wykreślić trudną dostępnością własnego lokum. Ciekawi mnie, na czym, twoim zdaniem, polega ten brak męskości w przestrzeni publicznej? Wyraża się choćby popularnością takiego Kuby Wojewódzkiego, który jest przecież ode mnie kilka miesięcy starszy, a odstawia pajacującego gów-

(95)

niarza, którego największym życiowym problemem jest przecierająca się powoli przez łoki łysina. To może i zabawne, kiedy mówi, że imponuje mu Jan Nowicki, który debiut małżeński przeniósł pod siedemdziesiątkę, albo że wyczynami erotycznymi chciałby dorównać Gruzie czy Żuławskiemu. Ale gdy tak człowiek popatrzy, że dzisiaj, by być na topie, trzeba odstawiać dwudziestolatka, to jednak żal dupę ścisła. Stare zgredy ciągną zza uszu siwe kucyki, ubierają się w dzinsy i za wszelką cenę szpanują przed młodymi opowieściami, jak to przez okno włązili do Sali Kongresowej, by zobaczyć koncert Rolling Stonesów. Jakby nie rozumieli, że dla młodszego pokolenia ci Rolling Stonesi to tak sama prehistoria jak koncerty Miecia Fogga. To podlizywanie się młodym i puszczenie oka, że niby my, starzy, też jesteśmy młodzi, obserwuję na każdym kroku. Może bardziej wyostrożonym wzrokiem, bo ja też dorosłem z dużym opóźnieniem. Zastrzegam, że mówiąc o Wojewódzkim, mówię oczywiście o postaci, którą on stworzył i gra. On sam prywatnie nie jest takim przygłupem, jakiego tam za pieniądze odstawia. To zwyczajny, inteligentny facet, podobno dowcipny, choć mi ten rodzaj humoru nie odpowiada. Poznałem go trochę bliżej, kiedy zaprosił mnie do swojego show, by porozmawiać o fantastyce. I nagle zapytał o twoje życie erotyczne? Nie, zresztą nie podjąłbym tematu. Nie pamiętam, o czym była rozmowa, chyba nic ciekawego; wspominam o niej tylko dlatego, żeby podkreślić, co zawsze warto pamiętać, że ludzie występujący w tej (96) telenoweli życia publicznego, czy to jako celebryci, politycy, czy inne "autorytety" kogoś grają, czasem kogoś z grubsza podobnego do siebie, ale to zawsze "wizerunek publiczny", kreacja. W tym konkretnym wypadku kreacja 46-letniego chłopczyka w krótkich majtkach, który jest w naszym świecie tak ważny, że w sondażu uznany zostaje przez młodych za drugi po Owsiaku największy autorytet i nawet pan premier przychodzi do niego jak swój. Przychodzi, nie będzie marnować czasu na nudę rządu, woli latać po boisku, piłkę kopie i strasznie jest z tego dumny. I tak doszliśmy do Donalda Tuska, dobitnego dowodu zdziecinnienia sfery publicznej. To, co on odstawia, to jest przecież kompletny cyrk. W "Dzienniku. Polska,

Europa, Świat" ukazał się kiedyś reportaż Pawła Reszki i Michała Majewskiego, w którym opisali oni dokładnie, jak wygląda ceremonia gry z Tuskiem w piłkę. Przyczaili się tam po prostu i z ukrycia obserwowali, jak nasz pozał się Boże premier lata po boisku i dyryguje tymi wszystkimi swoimi lizusami, a oni mu posłusznie podają piłki, grzecznie pozwalają się okiwać i strzelać bramki. Biją premierowi brawo, a ten jak głupi cieszy się, że jest takim świetnym piłkarzem. Tym bardziej dawałbym wiarę temu opisowi, że autorzy nie uchodzą za "dziennikarzy prawicowych". Będąc u władzy, trudno nie otrzeć się o lizusów. Gdybyś został dyrektorem czegośkolwiek, też byś zauważył, że ludzie śmieją się w połowie opowiadanego przez ciebie dowcipu. No pewnie, ale chyba wiedziałbym, że to wcale nie dowodzi, jaki jestem szarmancko dowcipny. (97)

A ten piłkarski rytuał czwartkowych meczów to przecież znakomity symbol. Mieliśmy króla, który znajdował rozrywkę, urządzając obiady czwartkowe dla najwybitniejszych intelektualistów swoich czasów, a dziś mamy panującego, który urządza czwartkowe mecze i chłonie na nich zachwyty podwładnych, że zachowuje taką fantastyczną kondycję i bosko drybluje. Najbardziej u Tuska irytuje mnie jego brak odpowiedzialności. To jest największa przywara dyskwalifikująca mężczyznę -uciekanie przed problemami. Cały jego troskliwie budowany wizerunek publiczny to wizerunek pięćdziesięcioletniego chłopca. Ten przerośnięty małolat buduje pozycję na kontraście wobec rywala, prezentowanego jako zgred i właśnie na tym wygrywa. Ludzie nie są przecież idiotami i widzą to uciekanie przed reformami, przed jakimikolwiek poważnymi decyzjami. Że wszystko jest odkładane na jutro, w kółko słyszymy "tak, zajmiemy się tym", potem jest jakaś jednodniowa błazenada, "rewolucja legislacyjna", przeprowadzka do Sejmu, i nic, następnego dnia to wszystko nie ma żadnego skutku, wszystko jest jak było -właśnie dlatego nazywam to telenowelą, bo tak się buduje scenariusze telenowel, możesz z jakiegoś powodu odpuścić kilkadziesiąt odcinków albo nagle zacząć oglądać od połowy poprzedniego sezonu i nadal jesteś na bieżąco, całe fabularne "dzianie się" niczego nie zmienia i wszystko wciąż jest w tym samym stanie. I tak właśnie działa ta władza, wszystko unieważniając, wszystko czyniąc pozorem, ważny pozostaje tylko aktualnie emitowany odcinek, tylko tu i teraz. Problem z Tuskiem nie polega na tym, jak (98) twierdzą zajadli PiS-owcy, że on jest oszustem, który skutecznie ludzi oszukał. Problem jest w tym, że ludzie go akceptują właśnie jako Piotrusia Pana, jako faceta przyziemnego, który mówi i myśli wyłącznie o dniu dzisiejszym, nie próbuje nawet wyznaczyć jakiegokolwiek wizji sięgającej dalej niż mecze Euro 2012. To jest problem! Że to się właśnie ludziom podoba! To pokazuje, że jesteśmy w jakimś takim ciężkim popierdzieleniu psychicznym jako naród. Bo jednak w Ameryce prezydent może być głupkiem, ale wciąż jeszcze nie może się tym szczycić. Tusk jest po prostu taki jak większość polityków na świecie. Teflonowość i prymat sondaży to nie jest nasz wynalazek. Twoi bohaterowie z "Pieprzonego losu kataryniarza" byli uzależnieni od badań opinii publicznej. Ten rodzaj polityki od dawna obecny jest na Zachodzie. Zdziecinnienie i degradacja męskości postępuje także na Zachodzie, tak, ale w naszej części świata jest z tym jeszcze gorzej: komunizm rozwalcował męskość, bo mężczyźni zupełnie nie mieli pola do popisu. Zniszczenie prywatnej inicjatywy było zarazem zniszczeniem kreatywności. Odebranie wolności -odebraniem odpowiedzialności. To właśnie uderzało przede wszystkim w mężczyzn. Maciej Parowski powiedział mi fajną rzecz, że gdy w czasach Gierka puszczano amerykańskie filmy, on rozmawiał z kobietami i pytał, co im się najbardziej w nich podoba. A one zwykle odpowiadały: "Ci mężczyźni! Tacy pewni siebie, dominujący, panujący nad swoim życiem". (99)

To zabawne, bo tak samo o Polakach mówią dziś kobiety ze Wschodu. Fakt. Z rozmów z naszą nianią, Ukrainką, która mieszkała u nas parę lat, wychodziło, że na tle tych ich facetów, totalnie zgnojonych, zachlanych, nieodpowiedzialnych i zwykle młodo umierających, my jawimy się jako niewyobrażalne wzory męskości. Chociaż kiedy ja patrzę na Polskę, wydaje mi się, że nie mamy z czego być dumni ... Nic tak nie niszczy męskości jak socjalizm, ponieważ istotą socjalizmu jest odbieranie ludziom odpowiedzialności za samych siebie. A odpowiedzialność to najbardziej męska dziedzina. W normalnym społeczeństwie promuje się tę przysłowiową pracowitą mrówkę z bajki La Fontaine'a, a nie konika polnego, lenia i lekkoducha. W społeczeństwie socjalistycznym jest

odwrotnie: to mrówka jest głupia, bo mrówka haruje, gromadzi zasoby, a potem państwo zabiera jej to wszystko, żeby utrzymać konika polnego. Czyli przykładnych ojców rodziny się karze, a debili, którzy dla dobra społeczeństwa powinni ponieść surowe konsekwencje swojego debilizmu, się nagradza. Efekt jest taki, że dzisiaj w Polsce rodzina wielodzietna jest prawie z zasady skazana na nędzę. Bo utrzymanie więcej niż czworga dzieci to w tym systemie podatkowym koszmar. Ponieważ mówisz o odpowiedzialności wyłącznie faceta, feministki zarzuciłyby ci, że jesteś zwolennikiem machyzmu. Dziś często kobiety zarabiają więcej od mężczyzn i obie strony mają z tym problem. (100) Zarzut byłby zupełnie pozbawiony podstaw, machyzm to idiotyzm, poza, za którą nic nie stoi. Ja mówię, że każdy rodzaj ucieczki od problemów jest niemęski. Nie tylko picie czy odurzanie się narkotykami. Można też uciekać w mistykę, poezję albo w kult zachowań straceńczych - "Na stos, rzuciliśmy ..." i tak dalej. Odpowiedzialność za rodzinę nie ma nic wspólnego z rządem w domu. Często jestem wprowadzany w taką kretyńską rozmowę pt. "a kto rządzi u pana w domu -pan czy żona?". No i wiadomo, powiem, że ja, to będzie, że nadęty macho, powiem, że żona, to pantoflarz, który tylko nadrabia miną i szpanuje przed obcymi. A tu nie o to chodzi, kto decyduje, chodzi o to, że inny jest zakres odpowiedzialności mężczyzny, inny jest zakres odpowiedzialności kobiety; samo podejmowanie decyzji to kwestia techniczna, w mojej rodzinie akurat większość z nich podejmujemy wspólnie. Ale nie chodzi o to, czy mężczyzna rządzi w domu, chodzi o to, czy panuje nad samym sobą i, na ile to oczywiście możliwe, nad swoim życiem. Zajrzyjmy do współczesnej polskiej literatury. Jeśli pojawia się w niej ojciec, to przeważnie jako zastrachany nieudacznik, rzadziej tępy opresor. A męski bohater? Taki Pilch na przykład konsekwentnie opiewa pijacynę, łacha, którym kobieta musi się opiekować, poświęcać się dla niego, a on ją potem z wdzięczności zdradza natychmiast z jakąś inną. Ten model "męskości" a la Pilch to figura kopiowana na różne sposoby, kwintesencja dupkowatości współczesnego Polaka. Wręcz archetypiczny wydaje się tu bohater "Dnia świra" Koterskiego, Adaś Miauczyński, (101) nieudacznik wzorcowy i notoryczny maminsynek, który nawet jak trafi na wymarzoną kobietę, gdzie już wszystko mu pasuje i ona sama mu się chce oddać, to powie sobie: może jeszcze trafi mi się coś lepszego, nie angażujemy się w to. Taki model męskości dominujący we współczesnej polskiej kulturze, trudno wyważyć, na ile go ona lansuje, a na ile oddaje on w ten sposób rzeczywistość. Swoją drogą dziwię się kobietom, które lubią ten rodzaj filmu i literatury. Kiedy się z nimi rozmawia, zwykle są pełne pretensji i narzekań, że ciężko dziś znaleźć chłopca, zawsze okazuje się, że albo jakiś głupek, albo Piotruś Pan czy związkofob -taki syndrom Bridget Iones, bardzo silny. Mają wielkie pretensje, ale jakby zupełnie nie wiedziały, dlaczego i skąd. Ktoś przecież takich Piotrusiów Panów wychowuje. I ten ktoś to właśnie chorobliwie opiekuńcze mamusie. To jest rzeczywiście polski problem. W Stanach Zjednoczonych ludzie zajmujący się różnicami etnicznymi mówili mi, że wychowanie w polskich rodzinach było zawsze niezwykle surowe. Dzieci włoskie miały dużo więcej swobody niż polskie dzieci, które były z miejsca "usadzane". W Izraelu istnieje nawet pojęcie "polskiej matki" -kobiety nadopiekuńczej i opresywnej dla swoich dzieci. To podobno ma wpływ na późniejsze sukcesy życiowe, tak twierdzi np. prof. Zbigniew Lew-Starowicz. Raczej na ich brak. A media próbują stworzyć wrażenie, bo tak jest ideologicznie, że to mężczyzna jest zagrożeniem dla dziecka, bo może je bić i mo-

(102) lestować seksualnie. Nigdy nie mówią, że większym zagrożeniem dla dziecka jest mamusia albo nadopiekuńcza, albo rozchwiana emocjonalnie; raz obsypuje dzieciaka pieszczotami i pozwala mu na wszystko, a raz bez widocznej przyczyny rozpruwa na niego bez sensu mordę. Tatusiowy klaps na pewno szkodzi dziecku sto razy mniej niż matczyne wrzaski. A wystarczy wyjść do sklepu, przejść się przez hipermarket, by zobaczyć, jak przeciętna polska mamusia traktuje swoje dzieci: wrzeszczy, szarpie, popycha ... Mam doświadczenie z piaskownicy, dokąd chodzę czasem z córkami. Przy Oli matki się zachowują poprawnie, bo dla nich jest gwiazdą z dziecięcego programu "Budzik", a programów publicystycznych widocznie nie oglądają, więc ja dla nich jestem osobnikiem zupełnie anonimowym, przy którym się nie muszą kłepować. Rozmawiam pewnego razu z taką mamusią, która się żali, że nie rozumie swojego dziecka. Państwo macie takie fajne te

dziewczynki, one są takie miłe, a to moje jest ciągle na »nie«, cokolwiek powiem, od razu »nie« i »niev", I w tym momencie dziecko podchodzi i pyta: "Mamusi, mogę na huśtawkę?". A ona z wrzaskiem: .Niel!! Na żadną huśtawkę, siedź tutaj!!!". Ludzie nie rozumieją, że jak mamusia bez przerwy na dziecko drze mordę i wszystkiego mu zakazuje, to w pewnym momencie dziecko też się drze i reaguje na wszystko negatywnie. Wprowadzacie jakąś cenzurę, jeśli chodzi o to, co oglądają i czytają wasze dziewczynki? Bajki im trochę przebieram, niektóre staram się dyskretnie przytąjniać gdzieś za szafą. Bo ja w ogóle nie jestem zachwycony współczesną kultu-

(103)

ra popularną, jej przekazem. "Seks w wielkim mieście" ogląda się z dużą przyjemnością, trudno się nie śmiać, ale jeśli się zastanowić nad przesłaniem tego serialu, jest ono koszmarnie. Jeśli się zastanowić nad przekazem nawet bajek dla dzieci w wieku moich córeczek, także jest on strasznie ogłupiający. Jakiś przykład? "Mała Syrenka". Tatuś Małej Syrenki, księżniczki jest domowym tyranem, cymbałem, który to dziecko prześladowa i nie chce rozumieć jego potrzeb. W prawie wszystkich bajkach dla dzieci, zwłaszcza adresowanych do dziewczynek, największym koszmarem jest ojciec. Matka jest ta dobra, a ojciec to zawsze siła negatywna, wcielenie zła. Dlatego wcale się nie dziwię, że gdy ludzie o ponad normalnej skłonności do wiary w spiski obejrzą kilka takich bajek, to dochodzą do wniosku, że gdzieś tam siedzi w podziemnej świątyni dwunastu masonów, którzy to wszystko uknuli świadomie i wysyłają instrukcje do swoich pomagierów z Hollywood, żeby zniszczyć tradycyjną chrześcijańską kulturę. Ja osobiście specjalnie tej indoktrynacji się nie boję, ponieważ uważam, że na dziecko wcale nie ma takiego znowu wielkiego wpływu to, co ogląda w telewizji. Ono przede wszystkim patrzy na mnie i moją żonę. Patrzy, jak tatuś i mamusia odnoszą się do siebie nawzajem i do niego, i to jest decydujące. Ale popkultura Zachodu od dawna pokazuje, że coś się tam dzieje złego. Lalka Barbie to wręcz objaw jakiejś kulturowej choroby - słodka, wypindrzona, całkowicie nienaturalna lala do kupowania jej coraz to nowych, drogich gadżetów. W Ameryce się bardzo dużo mówi o wartościach rodzinnych, (104) ale w praktyce chyba mało kto znajduje czas na ich kultywowanie. Ale tam właśnie rośnie w siłę taki "męski ruch odnowy". Polega on m.in. na tym, że ojcowie wyjeżdżają z synami na obozy w góry. Tam wspólnie z nimi ćwiczą, wędrują i rywalizują z innymi w różnych grach zespołowych. Kobiety nie mają tam wstępu. To tylko jeden z przykładów. U nas słychać tylko jeden wielki jęk, że faceci psieją i nie dzieje się nic pozytywnego. Po jakimś czasie ta moda na ową .zrewita-

lizowaną męskość" przyjdzie i do nas, bo do Polski wszystkie mody docierają z opóźnieniem. Ja mam inne zajęcia niż bycie heroldem takiego ruchu, zresztą prawdę mówiąc, nie czuję się wcale idealnym wzorcem męskości. Ja się martwię tym, choć to na razie tylko teoretyczny problem, za kogo wydam swoje córki. Już teraz się boję, czy uda im się znaleźć jakiegoś odpowiedzialnego mężczyznę. W moim pokoleniu jeszcze takich znajduję, ale już w pokoleniu mojej żony jest kiepsko. Znajdziesz kogoś w tych klubach miłośników fantastyki, do których sam należałeś. Weźmie się któregoś z bystrzejszych, otrzepie, zaprowadzi do stylisty i będzie jak znalazł. Rozglądam się już, kto tam z poważnych znajomych ma synów w odpowiednim wieku. Ale z dziewczynami nigdy nic nie wiadomo, znajdują sobie coś swojego ... Mówię to wszystko oczywiście półzartem, zaznacz to proszę jakoś, bo w druku przecież nie (105) słychać intonacji głosu. Nie zamierzam być strasznym ojcem z popkultury i narzucać córkom partnerów. W związku z tym, że humanistyka zawsze była przewartościowana, a w tej chwili jest zdewaluowana, jakich zawodów byś sobie życzył dla córek? Myślałeś o tym kiedyś? Hm, szczerze mówiąc, nie za bardzo ... Właściwie nie znam nikogo, kto by był zadowolony z zawodu wymyślonego mu przez rodziców. Dobrym przykładem jest Parowski, któremu ojciec wymyślił zawód inżyniera i widać, że to zupełnie nie było dla niego, w końcu i tak szybko zajął się pisarstwem i dziennikarzeniem. W mojej nowej powieści cytuję takie zdanie, że naprawdę wolimy z

Olą wychować szczęśliwą fryzjerkę niż nie spełnioną, zakompleksioną noblistkę. Jeżeli któraś sobie wymyśli, że chce być tą fryzjerką, to będzie fryzjerką i już. Nie chcę kontrolować ich życia. Chcę im umieć pomóc zawsze, kiedy będą takiej pomocy chcieli, chociaż wychowujemy je z Olą tak, żeby nas w przyszłości o pomoc nie prosiły. Mieczysław Rakowski, ostatni PZPR-owski premier, powiedział, że gdyby nie Polska Ludowa, to on by pasał krowy. Ty mu odpowiedziałeś, że owszem, kapitalizm to jest taki system, w którym każdy robi to, do czego się najlepiej nadaje "to, do czego go Pan Bóg stworzył". Gwoli ścisłości, to odpowiedziałem w ten sposób Edwardowi Redlińskiemu, autorowi "Konopielki", a po-

(106) tem, niestety, piewcy „prylu” i generała Jaruzelskiego. Wracając do moich córek: one już mają pierwsze pomysły na swoją przyszłość. Starsza twierdzi, że pójdzie na mechatronikę. Od niej się dowiedziałem, że jest coś takiego; to nauka o budowie robotów i innych skomplikowanych maszyn. Młodsza poinformowała nas z kolei, że będzie chirurgiem miękkim, czyli takim, który operuje na tkankach, a nie kościach. Skąd ona to wzięła? Ojczym chłopca, z którym moje córki się bawią, jest chirurgiem miękkim, więc pewnie od niego. A propos chirurgii miękkiej, jest taka cudowna anegdota, którą mi żona opowiadała, z czasów, gdy grała w teatrze w Częstochowie. Na jakimś balu, na którym bawiła się lokalna elita, do aktorki, trochę od Oli starszej, miejscowej diwy z tego teatru, podchodzi jakiś jegomość. Przedstawia się imieniem i nazwiskiem oraz wykonywanym zawodem: „Jan Kowalski, chirurg miękki”. A ona, mocno już na rauszu: „Miękki? Z miękkimi nie tańczę ...”, Kończąc temat przyszłości córek: nie upieram się, że muszą być inteligentkami, niech robią, co chcą. Oby tylko, to jedyny mój skromny dezyderat, nie zostały artystkami. Artystów już w tej rodzinie naprawdę wystarczy. Wiemy z Olą oboje, że to jest dość niewdzięczny kawałek chleba. Na spotkaniach również rozmawiasz z ludźmi na takie tematy? Czasem. Zdziwiło mnie, jak trafnie niektórzy czytelnicy zinterpretowali postać Radka (107) z „Żywiny”. Dla mnie, kiedy pisałem, najważniejsze było zwrócenie uwagi na to, że jednak Piotruś Pan w niektórych sytuacjach jest w stanie dorosnąć. „Zgred”, bohater twojej najnowszej powieści, jest człowiekiem dojrzałym i dobrym małżonkiem. Już się boję, czy aby nie nudnym. Nie mnie to oceniać. Uważam, że napisałem swoją najlepszą powieść, ale zawsze uważam, że najnowszą jest tą najlepszą -gdybym nie uważał, dalej bym nad nią pracował, a nie oddawał do druku. „Zgred” to taki mój, że się odwołam do staropolskiej klasyki, „Żywot człowieka poczciwego”. Chciałem odwrócić trochę stereotyp, który zawsze każe ciekawych rzeczy dla literatury szukać w czymś, co jest jakiegoś patologiczne czy aberracyjne. To znaczy, że powieść o facecie, który zdradza żonę, jest z założenia ciekawsza niż powieść o facecie, który jest w małżeństwie szczęśliwy, bo w tym ciekawego nic nie ma. A mnie się wydaje, że może świat dzisiejszy jest na tyle zwariowany, że na kontraście pomiędzy normalnością a zwariowaniem jakąś ciekawą opowieść da się stworzyć. Myślałeś o swoim ojcu, pisząc tę powieść? O tak, oczywiście. Miałem wspaniałego ojca i dopiero teraz doceniam naprawdę, że to było największym szczęściem, jakie można sobie było wyobrazić. Z punktu widzenia dwunasto- czy nawet dwudziestolatka tego się nie da ocenić. Facet jak facet, myślałem sobie kiedyś o nim. Zawsze miałem dobre stosunki z ojcem, zawsze go podziwiałem, ale dopiero kiedy sam zacząłem dorosłe życie i uświadomiłem (108) sobie, z czym się musiał borykać, zacząłem podziwiać go jeszcze bardziej. Jest taka myśl w tej książce, do której się bar-

dzo przywiązałem: kiedy już jesteś dorosły? Kiedy sobie uświadamiasz, że w tych wszystkich gorących sporach, które za młodu toczyłeś ze swym ojcem, to on miał rację, a nie ty. () (109

Rozdział VI.

Poczucie winy łagodzi literatura / proces tworzenia bohatera / rozwód dla katolika / prawdziwe emocje pisarza / ograniczona prywatność osoby publicznej / odraza podwójnego życia / pożywka dla beletrystyki / nawiedzony antyklerykalizm / kobieca intuicja / Polska wielu kościołów / depozyt wiary (112) Twoja książka „Ciało obce” jest niezwykle śmiała jak na konserwatystę. Kiedyś

powiedziałeś, że w bohaterach z różnych twoich powieści jest jakaś część ciebie. Czy ten katolik seksoholik z poczuciem winy, który spowiada się ze swojej deprawacji, jadąc pociągiem, to też w jakiejś mierze ty? Trudno mi w to uwierzyć. Kwestie zbieżności i współzależności pomiędzy twórcą a tworzywem zawsze budzą zainteresowanie, niekiedy niezdrowe. Zresztą wielu pisarzy dla autoreklamy pozuje na swoich bohaterów, udaje ich, zapewnia, że to właściwie niemalże autobiografia ... Ja powtarzam: bohater jest fikcyjny, choć wyposażony w moje przemyślenia, rozterki i obawy, a wydarzenia są prawdziwe, choć niektóre przydarzały się zupełnie komu innemu, a niektóre w ogóle się nie przydarzyły nikomu i nigdy. Pójdę dalej, oby nie za daleko. Czy "Ciało obce" nie wzięło się z twojego poczucia winy za jakiś okres w życiu prywatnym? Jak to się mówiło w czasach rzecznikowania prasowego, "nie potwierdzam i nie zaprzeczam ...", Jestem przecież katolickim fundamentalistą po rozwodzie, a to, co tu gadać, taka dziewczyna po wulkaniza-

(113)

cji -i jakoś sobie muszę radzić z tym, że chciałem jak najlepiej, a wyszło mi, jak wyszło. Jasne, że poczucie winy za to, co w życiu speprzyłem, nie jest mi obce. Inna sprawa, że wolałbym o tym mówić w kontekście którejkolwiek innej powieści, bo obsceny "Ciała obcego" zostały odebrane w sposób, hm, jakiś taki dziwny jakby ... Prawdę mówiąc, zaskoczyły mnie te komentarze. Byłem przekonany, że żyjemy w świecie, w którym to wszystko zostało już przerobione i odarte z jakiegokolwiek uroku owocu zakazanego, każdy kiosk jest przecież zawalony płytami i prasą z kopulującymi ludźmi w różnych konfiguracjach i nikt już nie oferuje ani nie szuka pornografii w powieści, bo kto jej z jakichś względów potrzebuje, łatwiej ją i skuteczniej przyswoi z filmu. Wydawało mi się, że można pisać w książce o seksie tak jak o każdej innej fizjologii bez wywoływania podniecenia, bo przecież wszystkie możliwe tabu obyczajowe zostały już obalone. Naprawdę w najmniejszym stopniu nie chodziło mi o to, aby epatować czytelnika perwersyjnym seksem ... Tymczasem okazuje się, że ton większości recenzji zdominowało zgorszenie, przy czym najzabawniejsze było to, że im bardziej postępowe pismo recenzowało, tym większe zgorszenie demonstrowało. Jedyne, jak sądzę, co mogło tak podhecować recenzentów i recenzentki, to podstawianie sobie przy lekturze konkretnej postaci, że ten nieudaczny frustrat, sfiksowany na punkcie wiązania i chłostania kobiet to właśnie znany prawicowyosołom. A wiesz, gdzie się ukazała najlepsza recenzja tej powieści? Najlepsza nie w sensie "najbardziej pochwalna", tylko najbardziej rzeczowa i wnikliwa? W "Christianitas" ... (114) Piśmie katolickich fundamentalistów. I oni jakoś nie czytali tego z wypiekami na twarzy. Recenzent zrozumiał, o co chodzi i postawił interpretacyjną hipotezę, słuszną czy nie, ale spójną, żeby to czytać jako opowieść o zdemonizowaniu, jak określa się w Kościele stan ducha i ciała oczko niżej niż pełne opętanie przez szatana -czyli jakby o procesie stopniowego wchodzenia-zła w człowieka. Wykazał zresztą sporo zbieżności z tym, jak ten proces opisują egzorcyści, co uważam za pochwałę dla swojej roboty, bo w ogóle przy pisaniu tak na to nie patrzyłem i z wiedzą fachową egzorcyistów się nie stykałem. Był jeszcze jeden model recenzji: artykułowanie przez krytyczkę oburzenia, że bohater, a czasem wręcz wprost, że autor jest taki wstrętny, samolubny i nie dobry dla kobiet. Chyba najlepiej to wszystko podsumowała Manuela Gretkowska, mogę się chyba bezpiecznie jej zdaniem zasłonić, bo przynajmniej na razie nikt z niej jeszcze nie zrobił "PiS-ówy". Napisała, nie dosłownie takimi słowami, ale w tym sensie, że gdyby taką powieść napisał ktoś "z towarzystwa", toby się wszystkie te ciotki femini-

stycznej rewolucji nie posiadały z zachwyty, że tak zdemaskował obmierźłego samca i patriarchy, ale ponieważ autor politycznie z przeciwnej strony, zatem się poczuwają do obowiązku zjechać, choćby i bez sensu. Mniejsza o mnie, ale obserwacja jest celna, opinie "salonu" w takich sprawach zależą od tego właśnie, czy artysta jest nasz czy od tamtych. Chyba żaden pisarz nie jest zadowolony z tego, co o nim piszą recenzenci. (115)

I jest, niestety wobec nich bezbronny, bo przecież wyklócanie się z recenzentem, nawet jeśli się

może łatwo dowieść, że nie zrozumiał, nie przeczytał albo celowo nagina do z góry założonej tezy, naraża na śmieszność. No ale co zrobić z takim na przykład gościem z "Wyborczej", który z "Żywny", gdzie akurat erotyki jest bardzo niewiele, wyrwał jeden jedyny trzydziestokrotny "moment" i fakt, że bohater depiluje sobie narządy płciowe -co w ogóle zdawało się wprawiać recenzenta w głęboki szok, jakby nie był to zabieg higieniczny uważany w cywilizowanych krajach za równie normalny jak golenie brody -i wyszył z tego epistołę, jak to moja najnowsza powieść pokazuje, że prawnicy mają obsesje seksualne i o niczym innym pisać nie potrafią. Nie wytrzymałem wtedy i na blogu skomentowałem te jego brednie, no i oczywiście wyszedłem na idiotę, który dał się sprowokować ... Ale wróćmy jeszcze do "Ciała obcego" i tego, skąd się wziął jego bohater. Porównuję ten proces -tworzenie bohatera -z tym, co w aktorstwie nazywa się metodą Stanisławskiego. Konstanty Stanisławski, wielki rosyjski reformator teatru, zerwał z dawnym aktorstwem, które przypominało nadawanie alfabetem semaforowym, z tym mechanicznym powtarzaniem gestów i min przypisanych stanom uczuciowym i kazał aktorom szukać emocji w sobie. Jeśli twoja postać ma okazać gniew, to musisz sobie przypomnieć, jak sam byłeś w gniewie, co wtedy czułeś, jak się zachowywałeś, poniekąd znowu w sobie ten gniew wywołać w kontrolowany sposób. A jeśli czegoś nie możesz w sobie (116) znaleźć, musisz to poznać. Dlatego w Ameryce, gdzie Stanisławski jest nadal podstawą aktorskiej edukacji, a gwiazdorskie gązdy pozwalają pracować nad jedną rolą nawet rok, aktor, który ma zagrać na przykład alkoholika, zamyka się na parę miesięcy na odwyku z autentycznymi tremensami ... Dokładnie o to samo chodzi. Amator, debiutant pisze po prostu o sobie, ale zawodowy pisarz musi tworzyć różne postaci; i żeby one były autentyczne, zawsze musi to być jakiś rodzaj "ja możliwego". Takie rozhuśtywanie w sobie emocji bywa niebezpieczne, podobnie zresztą jak aktorstwo; u Jerzego Grotowskiego przecież ludzie autentycznie wariowali od tych transów, jakie im aplikował. Otarłem się o te niebezpieczeństwa, nie przy "Ciele obcym", ale wcześniej, przy "Walcu stulecia", więc wiem. Są zresztą artyści tak walnięci na punkcie tego, co robią, że gdy mają opisać, jak ktoś wpada do studni, gotowi do niej naprawdę wskoczyć. Dopiero pewne profesjonalne wyrobienie uświadamia ci, że wystarczy tam zajrzeć, może ostrożnie zejść, pogadać z patologiem czy kimś takim ... Rozumiem, że chciałeś wyposażyć bohatera w takie zboczenie, że wszystkim spadną majtki ... Wiedziałem, że aby "Ciało obce" miało odpowiedni wydźwięk, bohater musi mieć ze swoją seksualnością nierozwiązywalny problem, coś, czego ani nie potrafi zaakceptować, ani nie może nad tym zapanować. Pierwszy pomysł, banalny, był taki, żeby go wyposażyć w skłonności homoseksualne. Ale szybko sobie zdałem sprawę, że tego nie napiszę, to zbyt obce, równie beznadziejne byłyby próby wyobrażenia 50-

(117)

bie, jakby to było być owadem. Skrzywienie w stronę sadyzmu -to bardziej, to już się napisać dawało. TYM bardziej że ustawiało mi szeroki plan powieści, gdzie przecież wszystko, polityka, życie rodzinne, biznes, nawet religia okazuje się relacjami sadomasochistycznymi, walką o dominację i prawo upokorzenia. Powieść zaczęła się kleić, tym bardziej że przecież Hrabia to nawet nie żaden sadysta, tylko taki, jak sam mówi, .markizek ze Zadek", nieudacznik, który się onanizuje, marząc o sile i dominacji, a kiedy wreszcie ma okazję swe fantazje spełnić, tak go to przeraża, że staje się impotentem. Dużą satysfakcją zawodową była dla mnie opinia prof. Zbigniewa Lwa-Starowicza, który zaproszony przez wydawnictwo na promocję, podziwował mojego bohatera swą fachową wiedzą, mówiąc, że czytał książkę tak jak historię choroby prawdziwego pacjenta, z jakimi ma do czynienia. Zafrapował mnie opis figli z Groszkiem. Finezja seksualna mnie jako czytelnika naprawdę poraziła. Od razu zacząłem się zastanawiać, -skąd ty to wzięłeś ... Dziennikarz ma święte prawo do ochrony źródeł informacji, przynajmniej pisarzowi analogiczny przywilej milczenia o źródłach natchnienia. w tej książce widać też poczucie winy. Tak samo jak bohater mówisz o sobie, że jesteś fundamentalistą katolickim, a ktoś taki musi cierpieć z powodu bycia rozwodnikiem. Oczywiście, była ona w pewnym sensie odreagowaniem, powstała po moim rozwodzie i gdzieś tam w głębokim planie ta wściekła nienawiść, jaką (118) czuje do siebie Hrabia i chęć ukarania siebie

samego współgrały z moimi emocjami tego czasu. Ale to naprawdę nie moja historia, nie mój rozwód i nie moje kochanki, tylko wysnuta z przeróżnych doświadczeń, obserwacji i zmyśleń fikcja literacka. "Prawdziwe zmyślenie", lubię to stare określenie. Literatura to właśnie prawdziwe zmyślenie. Taki Hłasko na przykład napisał dobrą powieść o bazie samochodowej w Bieszczadach, "Następny do raj". Sam pracował w takiej firmie zwożącej drewno z gór i półgębkiem wypuszczał tę wiadomość, nie dodając już, że owszem, pracował tydzień i żadnych ciężarówek po górskich serpentynach tam nie prowadził, tylko przekładał papiery w kantorku na dole. Pisarze, jak mówiłem, pozuja na swoich bohaterów, czasem dlatego że mają kompleksy i je w ten sposób leczą, a czasem po prostu wiedząc, że czytelnik chętniej kupi historię, jeśli wierzy, że autentyczna. A w istocie pisarz ma patrzeć, słuchać, rozumieć i w odpowiedniej chwili uruchamiać wyobraźnię. Gdyby Hłasko był autentycznym szoferem z Bieszczad, to by tam jeździł do emerytury i żadnej powieści nie napisał, a jeśli, to kiepską. Jerzy Kosiński także sugerował, że tak naprawdę on był owym tytułowym "Malowanym ptakiem" ze swojej powieści. W światowej literaturze to pewnie stara tradycja. O, Kosiński to nieco inny przykład. Hłaskę można porównać do takiego bajeranta, co zmyśla różne swoje przygody dla zabawienia towarzystwa, żeby brylować i skupiać na sobie uwagę. Może wzbudzić uśmiech politowania, ale w sumie jest sympatyczny. (119)

A Kosiński to oszust cyniczny, beztalencie żerujące bezlitośnie na Holocauście i politycznej poprawności, która pozwalała mu jako Żydowi i rzekomemu ocalonemu na więcej. Pisarz może kłamać co do faktów, ale emocje muszą być prawdziwe. Nie "słuszne", nie "modne", nie z jakichkolwiek innych względów w danej chwili pokupne, tylko prawdziwe. Ludzie czasami przychodzą i mówią: to jest książka, która coś we mnie zmieniła, pomogła mi się pozbierać albo wprost przeciwnie. I to jest w tej robocie najwyższy dowód uznania. Niekiedy bywa mi dany; parę dni temu dostałem maila, który mnie dowartościował do tego stopnia, że zaraz go pokazałem żonie. Od pewnej kobiety, mężatki, której się kroił fajny romans z żonatym mężczyzną, ale facet w to nie wszedł i tytułem wyjaśnienia albo usprawiedliwienia przesłał jej moją powieść przepasaną wstążeczką. Pisała, że najpierw była wściekła, ale przeczytała i doszła do wniosku, że faktycznie, źle się takie sprawy kończą. Ale oczywiście bywają zupełnie inne, hm, odczytania. Mamy na przykład pewien kłopot z kolegą, który przy każdej okazji czyni mnie i mojej żonie aluzje do jakiegoś stowarzyszenia czy klubu sado-maso, do którego należy i wyraźnie oczekuje, że wyrazimy chęć, aby nas tam wprowadził ... Trzeba się pocieszać, że powieść mu się podobała. Miał pewne zastrzeżenia techniczne, jak to -fachowiec ... Daj spokój, naprawdę niezręczna sytuacja, ale jako pisarz już się do różnych sytuacji przyzwyczaiłem. (120) Niedobrze prowadzić życie pozamałżeńskie, ale zmiana partnera, a w konsekwencji rozwód to jeszcze nie zbrodnia. Dlatego dziwiło mnie przed laty, że sytuacja osobista Cezarego Michalskiego mogła się stać przedmiotem publicystycznej debaty. Nie dlatego, że uważam, iż drogowskaz nie musi podążać w kierunku, który wskazuje, ale po prostu osobistych spraw nie rozwleka się po gazetach. Zmiany partnera można dokonać w stylu lepszym albo gorszym. Ja to zrobiłem zdecydowanie w złym. W tak zwanym środowisku sprawa była zresztą powszechnie znana i pewnie jakoś tam komentowana, ale na szczęście nikt nie wyciągał jej publicznie. Może dlatego że moja była żona nie należała do osób łatwo sobie zyskujących ludzką sympatię, a kochanka wręcz przeciwnie, więc znajomi traktowali mnie z dużą wyrozumiałością. W Polsce grzebie się w życiu prywatnym znanych ludzi z show-biznesu. Innych się nie rusza. Zgadza się na to, że skoro jestem publicystą, osobą publiczną, moja prywatność musi być ograniczona. To kwestia wiarygodności: Szczegóły zachowuję dla siebie, ale nie mogę ukrywać tego, że jestem po rozwodzie i że moje małżeństwo rozpadło się przeze mnie. Nie w sensie sądowym, bo moja była żona potraktowała mnie bardzo łagodnie i nie domagała się orzeczenia o winie, ale było, jak było, i nie będę z siebie robił pajaca i kłamał czy się na siłę wybielał. (121)

A czy jako konserwatysta moralizowałeś na temat miłości małżeńskiej, pisałeś o trwałości związku ... No, boję się, że coś tam pisałem. Jako młody małżonek, dumny z małżeństwa, z entuzjazmem wygłosiłem tu i ówdzie parę uwag, które w kontekście późniejszych zdarzeń pewnie brzmiałyby dziś w moich ustach bardzo źle. Ale zasadniczo nie mam powodów wyrzucać sobie obłudy. Udało mi się w zawodowej działalności uniknąć pozy moralisty i nigdy nie kreowałem się na jakiś wzór

do naśladowania. Zawsze mówiłem, że coś uważam za słuszne, bo to, to i to, a nie, że to jest słuszne, bo ja tak mówię. Dla mnie problemem jest co innego niż sam rozpad związku. On, dzisiaj to rozumiem, nie miał szans powodzenia, po prostu dlatego że coś takiego jak "niezgodność charakterów" naprawdę istnieje. To nie jest tylko taka adwokacka formułka. Po prostu zdarza się, że kiedy zauroczenie minie, okazuje się, że macie z tą drugą osobą zupełnie inne oczekiwania, upodobania, potrzeby, aspiracje. Czasami rzeczywiście nie można wytrzymać ze sobą w związku. Nie chcę na ten temat mówić za dużo, bo moja była żona zachowała się wobec mnie, jak wspominałem, bardzo elegancko ... Miałeś dwadzieścia dwa lata, kiedy się pobraliście. Nie za wcześniej? Nie, bo wzięliśmy ślub na trzecim roku studiów - poznaliśmy się jeszcze przed maturą na imprezie u mojej koleżanki i potem okazało się, że jesteśmy na tym samym roku na polonistyce. Byliśmy (122) małżeństwem czternaście lat. Ale jak mówię, nie o to mam do siebie pretensje, że ono się rozpadło, tylko że się zachowywałem jak skończony dupek. Mężczyzna, kiedy już sobie zdał sprawę, że jest, jak jest, po prostu zdobyłby się na odwagę powiedzieć żonie: pomyliliśmy się oboje, powinniśmy jak najszybciej z tego wyjść, dać sobie nawzajem szansę, dopóki jesteśmy jeszcze młodzi i możemy sobie jakoś ułożyć resztę życia. A ja zabrnąłem w podwójne życie i myślę o tym dzisiaj z odrazą do siebie. To nie tak łatwo przeciąć wieloletni związek. Człowiek przyzwyczaja się do życia z drugą osobą. To nie była kwestia przyzwyczajenia. To wszystko ... to było popierdzielone jak w jakiejś iberoamerykańskiej sztuce. Ja źle znoszę skomplikowaną psychologię i poplątanie, bo jestem raczej dość prostym człowiekiem i dziś po prostu przeraża mnie, że byłem w stanie tworzyć sobie tak pokrętne samousprawiedliwienia. Co sobie wmawiałeś? Właściwie doszedłem do wniosku, że prowadząc podwójne życie, ratuję nasze małżeństwo. Na boku wypuszczam energię i w ten sposób ocalam sakramentalny związek, który jest przecież dobrem nadrzędnym; poza tym żona mnie potrzebuje, a ja dzięki zaspokojeniu moich potrzeb gdzie indziej mogę się nią opiekować ... Pocieszę cię, że pewien były redaktor naczelny nieistniejącego już prawnicowego pisma otwarcie (123)

głosił, że domy publiczne są podporą tradycyjnej rodziny. Z tym że ja nie chodziłem do domów publicznych, tylko po prostu miałem równoległe inną kobietę, zresztą to była bardzo wielka miłość, jeszcze dodatkowo ubarwiona takim straceńczym, romantycznym fatalizmem ... Dodatkowo obciąża mnie fakt, że rozwaląłem drugie małżeństwo. Pozostaje mi się tylko pocieszać, że ono i tak by pewnie się rozpadło bez mojej pomocy. Potrzebowałem sporo czasu, żeby otrzeźwieć, uświadomić sobie, w co ja właściwie zabrnąłem. Ale wiesz, z tym doświadczeniem zupełnie inaczej patrzę na różnych byłych współpracowników, na te labirynty samo oszustwa, te żałosne "nikogo nie krzywdziłem, nikomu nie szkodziłem" ... Ja po prostu wiem, że oni w to naprawdę święcie wierzą i czują się czyści albo nawet zasłużeni, albo w najlepszym wypadku, a na taki mi paradoksalnie wygląda Maleszka, na pytanie "dlaczego" potrafią odpowiedzieć tylko "no właśnie, dlaczego? -to doskonałe pytanie". Bogu dzięki nigdy nie miałem problemu lustracyjnego, po prostu nie byłem kuszony ani straszony, ale gdybym był i bym pękł? Teoretycznie to przecież zupełnie możliwe, wystarczyłoby przełożyć jedną czy dwie zwrotnice w moim życiorysie i .. skóra cierpnie. Więc tak, tym, co mnie najbardziej przerażało we mnie samym, był fakt, że uważałem, iż wszystko jest w sumie w porządku i nie mam się nawet z czego spowiadać. Mam pracowitą, oddaną żonę, piękną, namiętą kochankę, duże mieszkanie, mam (124) sukcesy, dostaję nagrody -na co tu narzekać. "Wszyscy mnie lubili i ja sam siebie lubiłem", jak to mówi w sławnym 'drarnacie Salieri. Kiedy potem o tym rozmyślałem, przypomniał mi się Conradowski agent Kurtz z "Jądra ciemności", którego wszyscy podziwiają, stawiają za wzór, a on stopniowo zmienia się w bydlę, bo po prostu nie musi się przed nikim wstydzić. Tyle że dzisiaj, aby doznać tego uczucia totalnego przyzwolenia, nie trzeba wcale zaszywać się gdzieś w dzikim buszu -busz w pewnym sensie wdarł się do serca cywilizacji. I powoli zaczęła się we mnie rodzić potrzeba, aby wyrzucić z siebie to wszystko, napisać powieść współczesną, pierwszą w życiu; wcześniej się od takiej literatury dość jednoznacznie odżegnywałem. I to napisać powieść drastyczną, bezlitosną, nawet ryzykując, że zrujnuję swój wizerunek konserwatywnego lidera opinii. Wydaje mi się, że to naprawdę było pewne ryzyko, że moi czytelnicy mogli zareagować znacznie gorzej, niż się to stało ,w istocie. Ci, którzy dawali mi Zajdle za fantastykę, rozczarują się, bo poszedłem w mainstreamowe nudziarstwa. Tych,

którzy kibicowali mojej publicystyce, zniesmaczy obscena, a na literackie salony przecież i tak nie wejdę, bo wiadomo, głupek od science fiction i "PiS-owiec", wtedy oczywiście tego słowa jeszcze nie używano, ale pogarda "salonów" była chyba nawet jeszcze większa ... Fani fantastyki generalnie pisali o powieści dobrze albo przynajmniej z wyrozumiałością. Choć pewnie woleliby coś o robotach i grach komputerowych. (125)

Fani mojej publicystyki też jakoś litościwie zamknęli na tę powieść oczy, ale nie mogłem być pewien, że tak będzie. W ogóle trudno mi było się skapować, dokąd jadę, czułem tylko, że po bandzie. Mam rozwalone małżeństwo, dogorywający romans, ogólny zamęt w życiu prywatnym, skończyłem z największym trudem "Worożychę", swoją ostatnią powieść SF, i widzę, że to kompletne drewno, klęska, nadaje się tylko do wywalenia i faktycznie ją wywalam. Potem następuje cud, pojawia się w moim życiu Ola. Jesteśmy chwilę ze sobą, potem przed nią uciekam, bo widzę, że tu się szykuje wielkie uczucie, a ja już nie mam siły ani odwagi na wielkie uczucia. Potem do mnie dociera, że jestem skończonym idiotą i wracam z oświadczynami, pobieramy się i natychmiast pojawia się dziecko, więc strach, że znowu wszystko spieprzę, sięga zenitu, rozumiesz. I na dodatek fantastyka we mnie kompletnie wyschła, po prostu twórcza impotencja, nic nie mam do powiedzenia i w ogóle już mnie takie pisanie nie bawi. I tu się nagle pojawia Paweł Szwed ze Świata Książki z propozycją, że zapłaci mi z góry za powieść, ale pod warunkiem, że nie będzie to SF, bo jego wydawnictwa nie interesuje fantastyka. Trudno było nie uznać, że trzeba odłożyć wszystkie wątpliwości na bok i napisać taką powieść, jaka się w głowie rodzi, bez kombinowania. Tak jest z pisaniem: czasem piszesz, bo musisz napisać, bez względu na konsekwencje. Wiem, że mało kto mi uwierzy, wielu uważa, że po prostu napisałem powieść erotyczną, bo "momenty" się sprzedają. Niektórzy mówią, że książka jest zbyt precyzyjnie skonstruowana, żeby mi wierzyć, że musiała być (126) wystudiowana na zimno ... Ale ja naprawdę w ogóle nie zastanawiałem się przy pisaniu, jak nigdy chyba, czy to ktoś kupi i czy mu się spodoba. Ale opłacało się, bo żadna twoja książka fantastyczna tak dobrze się nie sprzedała ... To prawda. "Ciała obcego" zeszło co najmniej 25 tys. egzemplarzy, więc jak na polską powieść współczesną, dużo. Nawet jeżeli uznamy zalety tej książki, to trzeba przyznać, że bohater nie jest sympatyczny. No pewnie. Dlatego kompletną głupotą są usiłowania krytyków, żeby przypisać "Ciała" do literatury popularnej, bo akurat co jak co, ale właśnie sympatyczny bohater, z którym czytelnik może się utożsamić, jest dla literatury popularnej tym, czym dla Murzyna czarna skóra. Zła powieść, płaska, nudna, wtórna -proszę bardzo, to możliwe. Ale na pewno nie męska odmiana Grocholi czy Kalicińskiej, to już nie tylko bezzasadna złośliwość, ale dowód ignorancji. Z tym bohaterem to w ogóle jest tak, jak patrzę na swoją dotychczasową twórczość

z pewnego dystansu, że gdzieś dwanaście lat temu pojawił się w moich powieściach bohater dupek. I to jest fatum, z którym przez wiele lat nie mogłem sobie poradzić. Mój idol literacki, czyli oczywiście Joseph Conrad, raz w życiu udzielił wywiadu, w którym znalazł się genialny passus: pyta go dziennikarz, dlaczego pisze stale na ten sam temat -o zdradzie, o małości, o podłości -a Conrad odpowiada mniej więcej tak: szcze-

(127)

rze mówiąc, całe życie chciałem napisać powieść o wierności, wielkości, bohaterstwie i za każdym razem taką powieść wymyślam, i za każdym razem taką powieść zaczynam pisać, i za każdym razem na trzydziestej stronie orientuję się, że znowu piszę o podłości, zdradzie, małości, nikczemności... Ja także za każdym razem chciałem napisać powieść, gdzie pierwsze skrzypce będzie grał jakiś fajny facet, ale zawsze mi wychodził okropny dupek jako główny bohater. Jeszcze w moich młodzieńczych utworach bohaterowie byli fajni. A potem się pojawił Orin Bethlen z "Walca stulecia", autor gier historycznych, który jest strasznie rozlazłym egoistą i nieudacznikiem. Bohater "Żywiny" też jest mało sympatyczny. Ja chciałem wtedy napisać książkę, w której znalazłby się jakiś pozytywny wzorzec, dobry dziennikarz w kontrapunkcie do politycznego kameleona, ale zaraz, po paru stronach, zobaczyłem, że znów opisuję, wiesz kogo. Byłoby naiwnością sądzić, że nie ma to związku z moimi problemami z samym sobą. Tworząc te wszystkie postacie, tych

dupków, tropiłem takiego dupka w samym sobie. I dopiero teraz, kiedy ukończyłem "Zgreda", mogę powiedzieć, że wreszcie napisałem o jakimś fajnym facecie. O kimś, kto mi się podoba. W tej chwili przyszły wreszcie inne emocje, związane z ojcostwem i udanym małżeństwem. Zaczynamy więc wątek bardziej optymistyczny. Jak poznałeś się z Olą, obecną żoną? Poznaliśmy się w telewizji, w porannym programie "Kawa czy herbata", jakieś pół roku przedtem, jak mnie stamtąd wysiadali. Ola robiła wtedy taką sztukę "Zazdrość na trzy faksy" Esther Villar, (128) z Grażyną Barszczewską i Katarzyną Figurą w Teatrze Nowym w Warszawie, a ja prowadziłem poniedziałkowe wydanie telewizji śniadaniowej. Złapał mnie kolega z wtorkowego, że mieli umówionych gości na rozmowę o jakiejś premierze teatralnej, ale komuś tam się coś zmieniło i wtorek odpada, więc może my weźmiemy na poniedziałek -dobra, mówię, no i tak pierwszy raz zobaczyłem Olę. Od razu wpadła mi w oko i troszkę tam przed nią się popisywałem, co dzisiaj wspominamy z dużym rozrzewaniem. Ona zrewanżowała się wejściówką na swoją sztukę i jakoś tak wyszło ... I w ten sposób w końcu młoda, obiecująca aktorka przestała występować w teatrze, bo ją kompletnie, jak to mówią moje córki, "umamiłem", A zanim się poznaliśmy, grała we Wrocławiu, w Częstochowie i w warszawskiej Komedii. Strasznie nas rozbawiło, gdy wyczytałem w Internecie, że ja to taki cwaniaczek jestem, bo ożeniłem się z jakąś bogatą businesswoman, która mnie utrzymuje, i w związku z tym nie muszę zarabiać na życie, więc wypisuję te różne pierdoły ... To pewnie się wzięło stąd, że poszedłem z Olą na letnią galę Business Centre Club na Służewcu i ktoś nas tam widocznie widział. Byłeś już wolny, kiedy się poznaliście? Oboje byliśmy już wtedy rozwiedzeni i oboje cokolwiek poturbowani przez los. Woody Allen w "Zagraj to jeszcze raz, Sam" ładnie ogrywał, jak się popisuje przed samym sobą mężczyzna po rozstaniu z żoną: "Teraz będę brał, jakie tylko zechcę, wariatki, nimfomanki, pielęgniarce!". Ale tak poważnie, to przez dłuższy czas po prostu cierpię ci skóra na myśl o jakimkolwiek nowym związku, wątpisz, czy (129)

w ogóle się do tego nadajesz i czy wszystko z tobą tak jak trzeba. Absolutnie nie miałem zamiaru się drugi raz żenić, Ola też chyba ... Zbliżaliśmy się do siebie ostrożnie, ale w sumie się pobraliśmy stosunkowo szybko. Od razu miałem takie jakieś dziwne, mistyczne przeczucie, że to jest coś ważnego i że chcę mieć z tą właśnie kobietą dzieci. Czyli że widziałeś w niej dobry materiał genetyczny. Być może rację ma socjobiologia, że kierujemy się w gruncie rzeczy takimi samymi instynktami jak zwierzęta, którym chodzi wyłącznie o przekazanie genów, tylko dorabiamy do tego ideologię ... Jeśli tak, to instynkt mnie nie zawiodł, bo nasze dziewczynki wydają mi się przykładem bardzo udanej kombinacji genetycznej. Ale wolałbym myśleć o tym, że to przeznaczenie, że byliśmy sobie pisani. Czy Ola przeczytała "Ciało obce"? Oczywiście, jako pierwsza. Wyglądała na solidnie przestraszona, ale jakoś wytrzymała -w tym momencie już wiedzieliśmy, że nic naszemu związkowi nie jest w stanie zagrozić. Sama jest artystką, więc ma więcej tolerancji jeśli chodzi o to, co można napisać. Światopoglądowo też byliście zawsze dopasowani? Świat artystów programowo zawsze był związany z lewicą i owym "salonem", z którym walczysz. Na początku znajomości nie za bardzo orientowaliśmy się w swoich poglądach; to też fajne, (130) rozumiesz. Ola twierdzi, że w ogóle nie wiedziała, że ja jestem jakimś tam prawicowcem, dopiero znajomi ją w tej kwestii oświecili. Ale w sumie mamy dość podobne podejście do świata. No, może poza jednym, że żona ma zdecydowanie bardziej krytyczny stosunek do kleru niż ja. Może przez złe doświadczenia z dzieciństwa. A w moim domu była zasada, że księdza, się nie krytykuje, nawet jeśli jest w oczywisty sposób głupi albo robi coś niewłaściwego, to się po prostu zbywa to milczeniem. Dziś już może niejest to dla mnie tabu, ale coś z tego zostało, nie lubię, kiedy ktoś przy mnie wygaduje na Kościół i księży. Dlatego czasami żona potrafi mnie oburzyć, choć daleko jej na szczęście do nawiedzonego antyklerykalizmu a la Środa czy Palikot. Generalnie mam wrażenie, że jest bardziej radykalna ode mnie w sprawach politycznych. Ja przy niej czasami jestem mięczak, nie strzelałbym od razu ani nie wieszał, tylko próbował negocjować ... W ogóle to prawidłowość, mam wrażenie, że kobiety zwykle są bardziej zdecydowane, mniej mają wahań i wątpliwości. Kobieta po prostu spojrzy na coś i ma w ułamku sekundy wyrobione zdanie. Potem już tylko kolekcjonuje argumenty, które to zdanie potwierdzają i nie przyjmuje do wiadomości tych, które przeczą. Ale tak to wygląda z punktu widzenia umysłu męskiego ... Kobiety dezawuuują bezlitośnie kogoś, kto im się nie

podoba. Facet rzadko mówi "to jest nikt, to jest zero". Kobiecie to się ciśnie na usta od razu. Też mi się tak wydaje. Ale najdziwniejsze jest, kiedy taka niczym niepoparta intuicja się spraw-

(131)

dza. Wielokrotnie było tak, że spieraliśmy się z żoną o jakąś tam osobę, ona mówiła: to jest mętniak, nie podoba mi się ten typ, trzymaj się od niego z daleka. A ja odpowiadałem: ależ kochanie, jesteś niepotrzebnie uprzedzona, to ciekawy człowiek. A potem się okazywało, że miała rację. Nie wiem, czy to szczególna przenikliwość Oli czy w ogóle cecha kobieca. Znacznie więcej mówi się o tych rozwodach ludzi kojarzonych z prawicą, być może dlatego że oni sporo mówią o wartościach, więc od nich się więcej wymaga. A może dlatego że oni to bardziej przeżywają i sami robią z tego problem. Od jakiegoś czasu na lewicy modne jest lansowanie układów zrywających z, jak oni to nazywają, patrialehalnym modelem związków. Chodzi o kombinacje typu trzy plus cztery, jednoczesne utrzymywanie kontaktów z wieloma partnerami, wychowywanie tych wszystkich dzieci wkupie. To się nazywa patchwork family. Ja uważam, że tego rodzaju zdegenerowana tolerancja jest sprzeczna z ludzką naturą. Człowiek ma pewne naturalne instynkty posiadania. Przypomina mi się historia kolegi pisarza, przez litość nie wymienię nazwiska, dość znanego, który zawsze odstawiał straszego libertyna. To znaczy razem z żoną odstawiali, że są tacy, rozumiesz, wyzwoleni z wszelkich przesądów obyczajowych jak ze Szwecji co najmniej. Byliśmy na imprezie, gdzie chętni mogli wykapać się w basenie, ale pod jednym warunkiem, że na waleta. Ale kąpiel nie była obowiązkowa, więc (132) w porządku. Oni oczywiście skorzystali. No i w tym basenie zaczęła się do kolegi dobierać jakaś lafirynda. I wtedy jego wyzwolona, nowoczesna żona wskoczyła do wody, złapała tę drugą za pióra i strzeliła ją w pysk jak taka mieszczańska żona z anegdoty. Mało nie pękłem ze śmiechu i teraz nikt mnie już na takie pozerstwo nie nabierze. Będąc w związku, chcemy mieć siebie na własność. Geny domagają się ochrony, chcemy mieć pewność, że wspólne potomstwo to na pewno nasza krew. Tacy jesteśmy, to oczywiste. Obojętnie, czy bronisz tradycyjnego modelu wychowania czy nie, jako rozwodnik jesteś poza Kościołem. Ale w twoim życiu codziennym nie nastąpiła żadna zmiana po rozwodzie. Chodzisz normalnie do kościoła, tyle że nie przystępujesz do komunii. Teraz głównie chodzę na msze dla dzieci, w związku z czym kazania, których wysłuchuję, może niekoniecznie mnie rozwijają ... Żartuję, że praktyki religijne odprawiam na łamach. Bo jednak staram się pisać o rzeczach istotnych. Co do Kościoła, z dzisiejszej perspektywy widzę jednak, że ta instytucja nie może sobie trochę poradzić z rzeczywistością, że przeżywa poważny kryzys. Ktoś słusznie napisał, że w Polsce jest tak naprawdę tyle kościołów, ilu jest proboszczów. Bo jeden proboszcz ci ochrzczi dziecko, a drugi tego nie robi. Jeden pochowa w poświęconej ziemi, a drugi odmówi. Trzeci zaś powie, że możesz chodzić do komunii, ale w innej parafii, gdzie cię nie znają, bo tutaj byś się zgorszenie. Każdy proboszcz z tymi problemami jest właściwie pozostawiony sam na sam ze sobą. (133)

Episkopat coś tam próbuje robić; powołano na przykład duszpasterstwo związków niesakramentalnych, bo Kościół się pogodził z tym, że ma ponad dwa miliony wyznawców, którzy formalnie nie są wiernymi. Wciąż nie może jednak wobec tej grupy wypracować jakiejś jasnej linii. A szkoda. Trudno tu oczekiwać jakiegokolwiek zmiany doktrynalnej. Poza tym przeciwko progresizmowi w Kościele przemawia fakt, że kościoły, które afirmują każdy przejaw nowoczesności, jeszcze

szybciej tracą wyznawców niż kościoły tradycyjne. Tak dzieje się m.in. w Holandii. To fakt nie wątpliwy. Kościół kanadyjski gonił za nowoczesnym światem i w konsekwencji praktycznie zanikł. W Ameryce dość surowy Kościół luterkański rośnie, natomiast w Europie ten miękki Kościół luterkański rozpada się równie szybko jak holenderski katolicyzm. Tu moje osobiste interesy rozchodzą się z tym, co uważam za dobro wspólne. Wolałbym zwyczajnie iść do komunii i móc uczestniczyć w pełni sakramentów, ale z drugiej strony wolę mieć przerąbane w prawdziwym Kościele, niż być chwalonym przez jakichś ekumenicznych pajaców, którym chodzi głównie o moje składki. Nie zapiszę się do jakiegoś fanklubu Jezusa, który niewiele się różni od fanklubu Jurka Owsiaaka; to już wolę być ekskomunikowany, ale przez Kościół z prawdziwego zdarzenia. Bo Jego

człowiek potrzebuje tak jak żeglarz latarni morskiej. Ona musi być i świecić, choćby z daleka, żeby się można było według tego światła orientować. Ja wierzę, że Jezus dał Kościołowi, jak to się teolo-

(134) gicz nie nazywa -depozyt wiary -i ów skarb ma być przechowany właśnie w tej nie zmienionej postaci, bo stanowi on stały punkt odniesienia dla wszystkiego. A jaki sens ma latarnia morska na kółkach? Że będzie ktoś ją za mną popychał, bo sobie ubzdurał, że musi z tym światłem być jak najbliżej mnie? A na cholerę mi coś takiego? () (135)

. u

Rozdział VII.

Obciachowa partia / redaktor Janusz Korwin-Mikke / przypadek Radia WAWA / niesprawiedliwy start polskich mediów / prawda o transformacji ustrojowej / wariacki imidż UPR-u / Piłsudski gorszy niż Hitler / Biblia i amerykański katolicyzm / ekonomiczna ignorancja / prawdziwa kultura inteligenta Zaraz po przełomie 1989 roku rzucasz się w wir polityki. Dlaczego wybrałeś akurat UPR? Bo była wystarczająco radykalna jak dla ciebie? Skoro zajmowałem się taką "obciachową" dziedziną literatury jak fantastyka, to pomyślałem sobie, że przystanę do obciachowej partii... A mówiąc serio: jej proste, zdroworoządkowe postulaty i argumenty po prostu przemówiły do mojego chłopskiego rozumu. Zaczęło się od pisania felietonów do "Najwyższego Czasu!", ale szybko utożsamiałem się z działalnością UPR-u i wciągałem w nią coraz bardziej. W końcu, po wyborach, które nie wypadły dobrze choć i tak okazały się największym sukcesem w dziejach partii, uznałem, że muszę się w promowanie tych idei zaangażować bardziej. No i się zapisałem. Korwin-Mikke od razu zaferował mi funkcję rzecznika prasowego, zacząłem jako działacz partii dużo jeździć po Polsce, przekonywać ludzi do wolnego rynku i organizować struktury partyjne. Wtedy jeszcze na takie spotkania przychodzili ludzie pytać mnie o fantastykę. Dzisiaj się to już nie zdarza: fani SF już na moje spotkania nie przychodzą, pytania o prozę nie padają, nawet jeśli spotkanie jest w księgarni albo bibliotece, szybko rozmowa schodzi na sprawy publiczne. (139) Na początku nie zamierzałem wcale iść do polityki, do redakcji "Najwyższego Czasu!" trafiłem, bo po prostu szukałem pracy. Ówczesna żona pracowała w wydawnictwie, więc nie było z tego dużych pieniędzy, a z pisania fantastyki utrzymać się nie mogłem. Dla pisarzy w ogóle ten przełom lat 1980/90 był szokiem. Wcześniej żyło się ze spotkań autorskich po bibliotekach i domach kultury, z pisania recenzji wewnętrznych, różnych chałtur, to wszystko nagle zniknęło, poupadały pisma, które zamawiały rozległe eseje, a "Fantastyka" płaciła jakieś śmiechu warte pieniądze. "Najwyższy Czas!" też zresztą oferował grosze, ale, myślałem sobie, że z czasem się pewnie rozwinie w wielki, wysokonakładowy tygodnik, a poza tym nawet za nieduże pieniądze robię tu coś zbożnego i mogę się pokazać, wyrobić sobie jakąś markę. Bo cokolwiek kto powie o Korwinie, jako naczelny i wydawca nigdy nie ingerował w teksty ani niczego nie narzucał. A pieniądze ... Kombinowałem, jak Rafał Aleksandrowicz z moich opowiadań, pisałem do przeróżnych gazet lokalnych i branżowych, miałem nawet felieton w jakimś lokalnym tygodniku w Suwałkach. Niektóre z tych prac trudno mi sobie dziś przypomnieć, widać podświadomie wyrzuciłem je z pamięci, widocznie uznałem to wszystko za dość upokarzające, chociaż było przecież nie złą szkołą. Pisałem na każdy temat; o polityce, o kosmosie, o ochronie środowiska, więc ciągle się musiałem w czymś doksztalać, nie było jeszcze Google'a ani powszechnie dostępnego Internetu; siedziałem całymi dniami w czytelniach, a wieczorami przepisywałem urobek na maszynie; potem sobie kupiłem (140) pierwszego w życiu laptopa, sześciokilową walizę z wyświetlaczem z malutkich fioletowych albo białych kwadracików i takimi śmiesznymi gumowymi rękawkami w zestawie, które się zakładało na oba końce słuchawki telefonu i to był modem. Rzecz była już wtedy muzealna, choć fabrycznie nowa, ale ktoś to sprowadził do Polski i sprzedawał po cenie, na którą było mnie wtedy stać. Żałuję, że kiedy już zdobyłem się na lepszy sprzęt, uległem pokusie i sprzedałem to cudo, bo miałbym w domu nie zły eksponat. Oprócz pisania było jeszcze radio. Napisałem parę artykułów też do chadeckiego pisma "Polska Dzisiaj", które próbował bez powodzenia rozkręcić nieżyjący już pan Jerzy Mikke i potem właśnie on podrzucił kontakt do mnie Wojciechowi Reszczyńskiemu, kiedy szukał on ludzi, którzy za nieduże wynagrodzenie i w

warunkach skrajnej niepewności jutra zajęliby się serwisami informacyjnymi, przeglądami prasy i tym podobnymi sprawami w nowo tworzonym przez niego Radiu Wawa. To była, od pierwszej chwili wiedziałem, impreza w sam raz dla mnie. Rozgłośnia była nie spokrewniona, więc odmówiono jej koncesji, chociaż Reszczyński spełnił wszystkie wymogi prawa, w przeciwieństwie na przykład do Radia Zet, które nie miało nawet homologacji nadajnika i nadawało na krzywy ryj na jakimś starym sprzęcie podarowanym "Gazecie Wyborczej" przez Francuzów na festyn ... No ale pan Andrzej Woyciechowski był skumpłowany z Michnikiem i jak to sam opisywał, poszedł z nim do ministra łączności, a ten mu wydał "eksperymentalne zezwolenie na nadawanie". (141)

Rozumiesz, na logikę to coś takiego, jakby szef MSW dał komuś eksperymentalne zezwolenie na dokonanie gwałtu. Ten "myk", jak to mówią sfery polskiego .small biznesu", był genialnie prosty: Radio Zet i RMF dostały takie "'eksperymentalne zezwolenia" i miały wolną rękę, a całej reszcie kazano czekać, aż Sejm przyjmie nowe prawo, w którym będzie przewidziane, w jakim trybie można się w ogóle ubiegać o koncesje. No i Sejm w pocie czoła pracował, pracował nad tym prawem i nie mógł go urodzić; lata, rozumiesz, mijały, a "spokrewnieni" z michnikowszczyzną "komercyjni" nadawcy zgarniali cały rynek reklamowy jak szuflą i budowali duopol, którego nie udało się przełamać do dziś. W tym samym czasie Agora na podobnej zasadzie opanowała rynek prasowy. Tak się wykuwał, dzięki politycznej "kryszy", ład medialny, który trwa do dziś ... Ale Wawa też istniała tylko dzięki politycznej "kryszy" Wałęsy. Nic w tamtych czasach nie istniało bez takiej "kryszy", to jest właśnie ta zakazana prawda o "transformacji ustrojowej", o której się dzisiaj młodym ludziom bajki opowiada. Reszczyński, który miał jeszcze wtedy sporą popularkę dzięki .Teleekspresowi", zainwestował ją w Wałęsę, prowadził jego programy wyborcze i Belweder zrewanżował mu się niepisany glejtem na to nadawanie, zanim prawo zaczęło przewidywać koncesje. Ale Wałęsa z UD-ecją prowadzili wtedy wojnę na śmierć i życie, w której "pirackie radio" Reszczyńskiego było wygodnym celem do ataku. Wyglądało to tak, że "Wyborcza" co chwila zamieszczała elaboraty, że to skan-

dal, jawne łamanie prawa, czas wreszcie położyć kres radiowemu piractwu i tak dalej, wpadała do nas mili ... nie, wtedy to już chyba była policja, zamykała interes, Reszczu dzwonił gdzie trzeba, stamtąd dzwonili do przełożonych tej policji, a oni dzwonili do tych, którzy siedzieli w stacji i kazali im spadać w radosnych podskokach. I włączaliśmy nadajnik ponownie ... I za jakiś czas znowu. Ale i to było możliwe tylko dlatego że Resz-, czyński miał skromne, bardzo skromne ambicje zrobienia radia muzycznego, rockowego. Serwisy, które robiłem z kilkoma osobami to było kilka minut na godzinę, poza tym radio praktycznie nie miało publicystyki, nie było żadną przeciwwagą dla mediów Agory i całej tej wielkiej propagandowej maszyny do prania mózgów Polactwu i przerabiania go na postępowych Europejczyków, jaką wtedy zbudowała UD-ecja ... Radio ich strasznie uwierało przez sam fakt, że w ogóle było w sferze mediów coś, czego nie kontrolowali. Media to było coś, co UD-ecja uważała za swoją wyłączną domenę, tak jak Wałęsa specsłużby. Z mojej ówczesnej pozycji młodego dziennikarza próbującego uczciwie zarobić na życie od razu było widać, jakie są naprawdę te nowe porządki i jaki jest rozziw między całą oficjalną gadaniną a polityczną rzeczywistością. No ale poza tym, że szybko traciłem złudzenia co do tych "naszych" bohaterów ze "strony społecznej" Okrągłego Stołu, w sumie było fajnie, że nigdy człowiek nie wiedział, czy ma jeszcze pracę, czy zaraz cały interes zwiną ... Pieniądze, jako się rzekło, niewielkie, ale ileż, jak to London nazywał, "niedźwiedziego mięsa" w bród. Pracowaliśmy na ośmiogo-

(143)

dzinne zmiany i takich zmian kiwałem w miesiącu dwadzieścia ... A do tego jeszcze pisanie, czytelnia, żeby mieć co napisać, potem w nocy stukanie w maszynę ... No i jeszcze "Fenix", bo wciąż chciałem być przede wszystkim pisarzem. I od pewnego momentu coraz intensywniejsza działalność w UPR-ze. To wróćmy jeszcze do UPR-u, a dalszym ciągiem twojej działalności

dziennikarskiej zajmimy . się później. Trzeba to na użytek rozmowy dzielić, ale w istocie wszystko robiłem naraz i wszystko się ząbęniało. Do UPR-u trafiłem, bo zacząłem pisać do "Najwyższego Czasu!", ale też dzięki tej partii wszedłem do mediów, bo zapraszano mnie do różnych programów jako rzecznika i potem się już znalazłem w notesach, że jak trzeba

dla zabezpieczenia pluralizmu znaleźć jakiegoś gościa, żeby był pravicowy, ale choć trochę wygadany, to jest tu taki jeden ... W ten sposób mój wizerunek wariata od science fiction niepostrzeżenie zmienił się w wizerunek wariata od Korwina-Mikkego ... Wiem, że poprawnie powinno się mówić .Korwin-Mikkego", ale wszyscy odmieniają właśnie tak. Może po prostu chciałeś zrobić karierę partyjną? Pomyślałeś sobie: taka mała partia, wszyscy idą gdzieś indziej, a jeśli UPR urośnie, to ja wraz z nią ... He, he, sam chyba w to nie wierzysz. Kariera polityczna przez UPR? To nie groziło. To był rzeczywiście czas przyspieszonych karier, ale kto je chciał robić, krążył w zależności od swoich przekonań mię-

(144) dzy PC a ZCHN-em z jednej strony, a Unią Demokratyczną i SdRP z drugiej. Akurat UPR, gdy do niej dołączyłem, wstrząsana była sporem wewnętrznym. Spór spowodował fakt, że jeden z jej polityków, prof. Andrzej Zawisłak, wszedł do rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego, więc przyjęto w którymś z ciał partii taką zasadę, że członkom UPR-u nie wolno przyjmować żadnych stanowisk w administracji państwowej. To dawało zupełną jasność, że zaangażowanie w UPR-ze to praca czysto misyjna i zrobieniem kariery nie grozi. Czy Janusz Korwin-Mikke uwiódł cię intelektualnie, czy jakoś ci imponował? Zawsze uważałem, że on jest świrem w formie, ale bardzo poważnym człowiekiem w treści. Ten facet tłumaczył rzeczy elementarne, których wówczas przeciętny Polak kompletnie nie jarzył. O tym na przykład, że pieniądze się nie biorą znikąd, że to nasze podatki, a nie jakiś łaskawy dar od władzy. Jak wielu Polaków chciałem, żeby Polska stała się wreszcie zachodnim, bogatym krajem, w którym nie czeka się na mieszkanie kilkanaście lat i tak dalej. No to jaka jest droga do tego? No tylko kapitalizm, na litość boską. Ale jaki kapitalizm? No taki, jak panował w krajach bogatych, zanim zostały bogate -o tym przypominał słynny ekonomista, guru liberałów prof. Milton Friedman podczas wizyty w Polsce w 1989 roku. Nie obchodziło mnie wtedy, czy to idea konserwatywna, czy liberalna, choć, oczywiście, wrażliwość raczej konserwatywną i patriotyczną zawdzięczam tacie. Z czasem jak zacząłem zajmować się polityką, musiałem sobie wiedzę uzupełnić (145)

i nabrać samoświadomości politycznej, ale przede wszystkim widziałem w UPR-owcach ludzi, którzy mówią coś bardzo ważnego i mądrego. Oczywiście oni byli uważani za wariatów, a za poważnych polityków uchodzili Wałęsa z Mazowieckim i ci różni geronci z podziemia, którzy od razu zaczęli się licytować, kto z nich jest bardziej zasłużony. TYlko że "-

ci "poważni" wrywając sobie władzę, licytowali się w populizmie gospodarczym i rozdawnictwie, pletli bzdury dla myślącego człowieka odrażające i popisywali się kompletną ignorancją. A "wariaci" okazywali się jedynymi, którzy nie obiecywali gruszek na wierzbie. To gdzie się indziej mogłem zapisać? Owszem, JKM uczciwie na ten swój wariacki "imidż" pracował, nie odpuścił żadnej okazji, żeby palnąć coś prowokacyjnego, ale wynikało to z kalkulacji, bo tylko w ten sposób przebijał się do ogółu. Ale wokół niego zgromadzili się ludzie, którzy chcieli zrobić coś bardzo dobrego dla Polski. Opowiedziałeś się za radykalną wersją wolnorynkowego kapitalizmu, sam sobie z tym wolnym rynkiem nie dając rady. Pismo "Fenix" było efemerydą, a w końcu padło. Dość nietypowa postawajak na inteligenta humanistycznego. Muszę przyznać, że uczciwa. To wypełnianie opasłych ksiąg rozliczeniowych, podliczanie rachunków itd. ogólnie mnie przerastało, ale nie chcę zwać mojego niepowodzenia na biurokratyczne bariery, jakie III RP od samego zarania stawiała niespokrewnionej, oddolnej przedsiębiorczości. Ja się po prostu nie nadaję do biznesu, nawet takiego najbardziej "small". Zawsze chciałem być pisarzem i nie interesowało mnie zarabianie pieniędzy. No, wiedziałem, że jak się żenię, chcę mieć rodzinę, to muszę, ale zupełnie mnie pieniądź nie kręci. I to jest w sumie przedziwne, bo jednak się w życiu dorobiłem, ani o tym

myśląc, na honorariach autorskich, choć nigdy bym nie uwierzył, że to możliwe. I jak się wziętem za politykę, to też naprawdę bez żadnej myśli o ustawieniu się, to była wyłącznie, powtórzę, działalność misjonarska. Byłem młody i uważałem, że trzeba iść w Polskę i krzyczeć, że ten "wilczy kapitalizm", którym "poważni politycy" straszą ludzi, jest właśnie tym, czego nam trzeba. Jakich ludzi spotykałeś na tych mityngach partyjnych w Polsce lokalnej? _ Spotykałem przede wszystkim ludzi, którzy kompletnie nie rozumieli, o co nam chodzi i co to w ogóle te jakieś podatki, o których my ciągle gadamy. Siadał ci facet i mówił, że on żąda, by mleko było tańsze i pytał, czy jak my dojdziemy do władzy, to obniżymy cenę mleka. Ja cierpliwie tłumaczyłem, że gdy my dojdziemy do władzy, będzie benzyna tańsza, ponieważ dwie trzecie ceny benzyny stanowi podatek. Natomiast ceny mleka nie wyznacza rząd, tylko rynek, ale ponieważ zależy ona od kosztów, to obniżka podatków, zwłaszcza akcyzy na benzynę, obniży wszystkie inne ceny, tę także. A on, że jego nie interesuje benzyna, bo on nie ma samochodu, on się domaga, żeby rząd obniżył cenę mleka już. I tak mniej więcej wyglądały te rozmowy z ludźmi, którzy nauczyli się myśleć w PRL-u czy też raczej nauczyli się nie myśleć. A my waliliśmy głową w beton, bo nikt nie chciał zrozumieć, że szkoła może (147)

być płatna, że to, co on uważa za bezpłatne, za to się płaci. Kiedy mówiłem o podatkach, ludzie zagadywali, żebym to przewinał, bo "nas to nie dotyczy, my nie płacimy podatków". Gdy ja spytałem, jak to jest możliwe, w odpowiedzi usłyszałem "bo za nas zakład płaci". Po prostu ręce opadały, ale twardo waliłem łbem w ten mur; wtedy jeszcze było takie zainteresowanie, że jak gdzieś się robiło spotkanie, nawet z takim zupełnie nieznanym misiem jak ja, ludzie byli ciekawi i przychodzili. Im mniejsza miejscowość, tym bardziej przychodzili. Więc w szczytowym momencie miałem takich spotkań po pięć, sześć w tygodniu, czyli pół tygodnia tłułem się po Polsce. Ale jednocześnie przychodziło do nas sporo młodych ludzi i to dawało satysfakcję i nadzieję. Młodzi łapali, o co chodzi, rzucali się w działalność całym sercem, wokół UPR-u tworzył się taki ruch młodych entuzjastów. Gdyby dziś stworzyć partię byłych członków UPR-u, którzy się w różnych momentach, zwłaszcza w tych pierwszych latach w nią angażowali, to byłby to fantastyczny ruch społeczny. Czy owa ultrakapitalistyczna partia przyciągała kapitalistów? Kapitalistą się w III RP zostawało z układu, więc takich gości nie interesowaliśmy, rzecz jasna. Sporo było drobnych przedsiębiorców, ale takich naprawdę startujących od niczego, więc i przeważnie niczego nie osiągniętych, bo tak został ten ustrój ustawiony. Natomiast, i to jest ciekawostka, bardzo dużo było w naszych szeregach lekarzy. Widocznie czuli, że tylko wolny rynek może uzdrowić służbę zdrowia, a im będzie się żyło lepiej. (148) Czy w którymś momencie UPR była partią masową? Nie. Była to partia z bardzo dużą rotacją kadr. Ludzie przychodzili, robili coś przez rok, i a potem zniechęcali się bądź po prostu nie mieli już więcej czasu na taką działalność, z której nic praktycznego nie wynikało. Później zwykle kończyli studia, żenili się i w końcu musieli się zająć szukaniem jakiejś roboty. Nie dziwię się zresztą, że się zniechęcali, bo Korwin prowadził, jak wszyscy nasi prezesi, rabunkową gospodarkę zasobami ludzkimi. Jego nie interesowało, by ludzie w tym ruchu spełnili swoje aspiracje; jego interesowało, żeby miał mu kto kleić plakaty, organizować spotkania po Polsce i robić całą techniczną pracę. A jak się komuś nie podobała linia partii albo jej władze, to droga wolna. Każdy może sobie założyć własną partię, a ta jest jego i każdy ma zaszuwać na lidera. Ja bym się z tym nie spierał, gdyby lider rzeczywiście na poważnie walczył o zwycięstwo. Ale Korwin, jaki jest, to wszyscy wiedzą, więc co gadać -zawsze musi szokować, zaskakiwać, zawsze być o krok przed tym, co szersza publiczność zdolna jest traktować poważnie. Kiedy już powoli ludzie się oswoili ,z podatkiem liniowym, że to wcale nie jakieś wariactwo, że to promują Amerykanie, poważni ekonomiści, no to Korwin natychmiast rzucił podatek pogłówny; i nie "osobisty podatek zryczałtowany", bo to zbyt normalnie brzmi, tylko właśnie "pogłówny". A jak i to zaczęli ludzie kupować, że Margaret Thatcher, pol-tax, słuszne czy nie, ale nie jakieś kompletne wariactwo, to on znowu o krok dalej -żąda przywrócenia liberum veto albo wprowadzenia do kodeksu karnego kary chło-

sty ... Gdy w wyborach 1993 roku podeszliśmy w sondażach pod 5 proc. i naprawdę realne stało się przekroczenie progu, a to by prawdopodobnie zupełnie zmieniło przyszłość partii, wówczas Korwin-Mikke zaczął ogłaszać w mediach, że trzeba przestać czcić Matkę Boską Częstochowską, bo to jest pogaństwo i wypaczenie wiary chrześcijańskiej, a Piłsudski był faszystą dwa razy gorszym od Hitlera, bo Hitler zabierał trzydzieści proc. podatku, a Piłsudski sześćdziesiąt proc ... A jednocześnie na każdym kroku podkreślał, że prawica, prawicowość, że UPR jest najbardziej prawicową partią, właściwie jedyną prawicową, bo wszystkie inne to łże-prawica, diabli wiedzą zresztą, po co to, skoro słowa "prawica", "lewica" nic właściwie dla ludzi konkretnego nie znaczą i nadal nie znaczą, tak że praktycznie mogliśmy się ubiegać o głosy wyłącznie tej wąskiej części elektoratu, która się chciała identyfikować jako zwolennicy prawicy. No a dla nich akurat Matka Boska czy Piłsudski ... No mówiąc krótko, parę jego odzywek wystarczyło, żeby cała ciężka praca poszła na marne. I tak było właściwie za każdym razem: ilekroć UPR była bliska wyjścia z niszy, Korwin walił coś takiego jak ostatnio o tych dzieciach niepełnosprawnych ... Jako wydawca programu chętnie bym go zapraszał, bo ktoś taki podnosi oglądalność. No ja też, wiadomo. Ale jako lider powinien myśleć o sprawie, o sukcesie partii, a nie robić kosztem tego show. Więc w końcu przyjęła się w partii spiskowa teoria, że on to robi zupełnie celowo, że po prostu boi się jakiegoś poważnego sukcesu, bo to by go przerosło, dobrze mu tak jak jest: być rozpozna-

(150) walnym ekscentrykiem na skraju sceny politycznej, brylować, nic nie musieć i za nic nie odpowiadać. Też tak w pewnym momencie uznałeś? No nie do końca. To znaczy, faktycznie nie zależało mu na tym, aby UPR rozrosła się do dużych rozmiarów, żeby się stała poważną partią, masową, z frakcjami i wieloma liderami. Wolał być jedyną dużą rybą w stawie, nawet mniejszym. Ale myślę, że Korwin naprawdę wierzył w swój przyszły sukces. Zawsze bardzo mocno przeceniał swoją popularność. To zabawne, ale moim zdaniem, zwiodła go logika, matematyka, bo po prostu wyliczał sobie, ilu ludzi na niego zagłosuje. Że skoro codziennie miał dwa spotkania, na spotkaniu było średnio po sto osób, i skoro wszyscy bili brawo, to znaczy, że ich wszystkich przekonał. A każda z tych osób ma co najmniej dwie osoby w rodzinie, je także przekona, to już nam daje tyle a tyle głosów ... A ponieważ JKM jest człowiekiem zabójczo pracowitym, bardzo dużo jeździł po Polsce i faktycznie zawsze czekała na niego pełna sala i panował na niej entuzjazm, więc mogło mu się wydawać, że cała Polska stoi za nim. Nie rozumiał, że ludzie przychodzili na "człowieka z telewizji", bo to była dla nich atrakcja, trochę jak kabaret; a nawet jeśli uznawali po takim występie, że miał facet w sumie rację, to od tego jeszcze szmat drogi do decyzji, żeby na niego zagłosować. Ale naprawdę siadał z ołówkiem w dłoni i mówił, że tyle i tyle będzie głosów? Z ołówkiem to nie wiem, ale z pełną powagą nam tak kiedyś udowadniał, że możemy liczyć na (151) dwucyfrowy wynik w wyborach. W momencie gdy byłem członkiem rady głównej, błagaliśmy Korwina, żeby przestał nas ośmieszać fanfaronadą i wygadywać w telewizji, że phi, dwadzieścia pięć procent głosów to dostajemy w ciemno, a jak się postaramy, to może i trzydzieści pięć ... To też był jeden z koszmarów bycia w UPR-ze. Pamiętam, jak w wyborach 1993 roku w studiu wyborczym TVP puszczono setkę z jego wypowiedzią o tych dwadzieścia pięć procent głosów, a potem . pierwszy exit poll, w którym do głosowania na UPR nikt się w ogóle nie przyznał. Stanisław Michalkiewicz z, który był wtedy w studiu telewizyjnym, powiedział mi, że nigdy nie czuł się tak upokorzony jak wówczas. Oczywiście Korwin łatwo sobie z tym dysonansem poznawczym poradził: tak naprawdę to właśnie takie poparcie mamy, tylko załatwił nas spisek mediów i sondażownie, bo zdołali ludziom wmówić, że UPR nie ma szans i ci nasi zwolennicy ostatecznie zagłosowali na innych, bojąc się zmarnowania głosu ... Widać jest niereformowalny, bo krótko przed ostatnimi wyborami na prezydenta Warszawy ogłosił, że wejdzie do drugiej tury. Ale z tego, co mówisz, to całkiem prawdopodobne, że chciał być po prostu takim szefem małej firmy, w której on jest jedynym i dożywotnim prezesem. Taki pomysł na życie. Bo ja wiem ... Ja myślę, że wiele można wytłumaczyć jego specyficznym sposobem myślenia. To facet z komputerem w głowie, a przy tym klasyczna osobowość narcystyczna, zupełnie nie rozumie ludzkich emocji i uczuć, tego,

że ludzie kierują się właśnie nimi, a nie zimną kalkulacją. Te jego medialne szaleń-

(152) stwa też można wyjaśnić dość prosto - kieruje się po prostu doświadczeniem ze spotkań na żywo, powtarza do mediów te same grepsy, które sprawdzają się na sali, nie rozumiejąc, że to są zupełnie inne sytuacje i to, co na żywo wychodzi świetnie, w telewizji zostaje obcięte do jednego zdania, które brzmi kompletnie od czapy i przykleja mu etykietę wariata. Że zawsze jakieś takie zdanie wskakiwało do mediów, kiedy akurat byliśmy o włos od sukcesu, to też nie musi być żadnym spiskiem, logiczne, że kiedy UPR szła w sondażach w górę, to media się nią zaczynały bardziej interesować ... Wyliczasz tyle wad Korwina, że trudno zrozumieć, jak u niego przez tyle czasu wytrwał. Przede wszystkim przy tych wszystkich wadach to jest człowiek uczciwy i UPR też nie była w nic umoczona, no i jak mówiłem, głosiła rzeczy słuszne i ważne ... A zresztą jaka była alternatywa? Wszyscy ci pravicowi kieszonkowi wodzowie, jacy się nam trafili, to było kompletne nieszczęście, ich kłótniowość, megalomania, wyobrażenie o polityce ... Jako działacz UPR-u zostałem kiedyś zaproszony na szkolenie z brytyjskimi politykami przez grupę Windsor. To był, może nadal jest, taki think tank brytyjskiej partii konserwatywnej, który starał się pomóc intelektualnie polskiej prawicy. I na tym szkoleniu, gdzie oni naszych orłów chcieli uczyć, jak się organizuje szerokie masy do politycznego sukcesu, zabrał głos Ludwik Dorn, wtedy trzeci bliźniak i prawa ręka Jarosława, i opowiada o Porozumieniu Centrum: "Jak byliśmy u władzy, to ludzie zaczęli się do nas masowo zapisywać i to był problem, mieliśmy w pewnym (153) momencie trzydzieści tysięcy kandydatów, partia nam zaczęła w nie kontrolowany sposób rosnąć, na szczęście w porę wprowadziliśmy bardziej skomplikowane procedury przyjęcia i weryfikacji, no i udało nam się większości tych ludzi szybko pozbyć". Patrzę, a Anglicy jak jeden odwracają się z rozdziawionymi minami do kabiny, do tłumacza, że chyba coś pochrzanił, a ten im pokazuje rękami, że nie, jaśnie pana własne słowo ... Jak im wytłumaczyć, że w optyce tutejszego pravicowego wodza nadmiar członków w partii jest tylko kłopotem, bo jeszcze mogliby przegłosować jego pretorianów i wybrać prezesem kogo innego! Jeśli więc ktoś pyta, dlaczego w polskim społeczeństwie, które jest generalnie pravicowe, polska prawica w ostatnim dwudziestolecu jest jedną wielką kłapą, odpowiedź jest właśnie taka. I, niestety, jest to też odpowiedź na pytanie, dlaczego także UPR okazała się jako partia polityczną klęską. Ale w następnych wyborach, w 1997 roku, zaczynasz już funkcjonować jako publicysta i komentator. Odkleiłeś się od UPR-u. Jak mówiłem, jako rzecznika prasowego UPR-u zaczęto mnie dość chętnie zapraszać do telewizji, bo nie chwając się, radziłem sobie z tym i nie miałem tego przysłowiowego u pravicowców łupieżu na marynarce. Zacząłem wykorzystywać tę pozycję, by czasami odkręcać niektóre wysoki Korwina. Co zresztą, jak zawsze mówię, niesamowicie wyrabiało inteligencję: twój szef właśnie powiedział, że kobiety nie powinny mieć praw wyborczych, bo są za głupie, nawet żeby grać w bilard, no i masz trzy sekury na stworzenie egzegezy, że wcale nie tak, źle (154) zrozumieliście, chodziło mu o to, że nasz program mówi. .. Z czasem sobie z tym radziłem coraz lepiej. I im lepiej, tym bardziej Korwin był ze mnie niezadowolony. On po to puszczał takie kawałki, żeby szokować, a nie żeby mu je rzecznik rozbierał i tłumaczył na jakieś standardowe, bezpieczne zdanka ... Zatem gdy w 1995 roku wyjeżdżałem na stypendium do Stanów i złożyłem funkcję, bo wypadało, wówczas Korwin natychmiast wyznaczył na rzecznika, nie na p.o., tylko właśnie na nowego rzecznika takiego młodego człowieka, zupełnego no name'a, którego nazwiskiem podpisywał swoje własne artykuły, na co ja bym nie pozwolił. Zresztą nie starałem się potem odzyskać funkcji po powrocie ze Stanów właściwie już straciłem serce do partyjnej działalności. Ale po latach ani trochę swojego zaangażowania w UPR-ze nie żałuję. Choć politycznie nic nie zwojowała, to jako taki zakon misjonarski, ruch edukacyjny odniosła ogromny sukces. Kiedy się dzisiaj z młodymi ludźmi rozmawia, oni nawet nie rozumieją, do jakiego stopnia całe społeczeństwo było zaczące socjalizmem, jak myślało o sobie w kategoriach ludu pracującego: o kapitale jako o czymś wrednym, co wyzyskiwało, a o państwie jako o kochającej matce, która musi nakarmić, podetrzeć i jeszcze wsunąć w kieszonkę parę złotych Jla piwo. UPR była strasznie popularna wśród ludzi młodych, w liceach i na wyższych uczelniach. Ci ludzie te

podstawowe prawdy, jakie głosiliśmy, przyjęli jako swoje i poszli z nimi dalej. Do dzisiaj poparcie dla UPR-u na uniwersytetach i politechnikach jest stosunkowo wysokie, choć wtedy uderzało swoją skalą. Nie chce mi się (155)

wierzyć, że wypowiedzi Korwina były jedynym powodem niepowodzeń politycznych tej formacji. Pewnie by się znalazło więcej ... Zastanawialiśmy się na przykład swego czasu w gronie dawnych UPR-owców, czy nam nie zaszkodziła fala wściekłego antyklerykalizmu na początku lat dziewięćdziesiątych. A raczej, czy sami sobie w jej kontekście nie zaszkodziliśmy. Ten antyklerykalizm był zwłaszcza wśród ludzi młodych równie powszechny jak dziś nienawiść do PiS-u, zresztą tak samo był bardzo umiejętnie kreowany przez media. Zjawiska paskudne, ale w sumie łatwe do zrozumienia - społeczeństwo musiało odreagować ból transformacji i kogoś nienawidzić, a michnikowszczyzna zadekretowała, że komuniści nie byli wrogiem, zagrożeniem według tego środowiska miał być nacjonalizm, narodowy katolicyzm i w tę stronę wściekłość kierowano, tym łatwiej że to był pierwszy, najbardziej rozpoznawalny obraz zmiany ustrojowej, że wszędzie pojawili się kapelani, biskupi, krzyże, żadna celebryta się nie mogła obejść bez kościelnej oprawy, totalna wizerunkowa zmiana po latach „prylu” i bez trudu wyrabiało się odruch psa Pawłowa: wszędzie ci księża, a jednocześnie poczucie utraty bezpieczeństwa, niepewność jutra. Ponieważ my się deklarowaliśmy jako partia prawicowa, a więc pobożna, i zresztą tak po ludzku mnie na przykład i innych działaczy ta antyklerykalna propaganda bardzo gniewała jako jeszcze jedno draństwo magdalenkowego establishmentu, wojowaliśmy z nią i to nam bardzo obcinało pasmo przekazu. Młodzi ludzie nieobciążeni PRL-em rozumieli, co to są podatki i że nie ma rzeczy bezpłatnych. Ale (156) nie do pojęcia było dla nich, dlaczego aborcja ma być zakazana i dlaczego ci śmieszni księża nie pozwalają się bzykać i nie pozwalają używać kondomów. I najtrudniejszą część naszego przekazu stanowiło wytłumaczenie im, że nie

ma kapitalizmu, nie ma wolnego rynku bez wartości, niemożność mówiąc. Że kapitalizm amerykański był zbudowany przez ludzi, którzy trzymali w ręku Biblię, do dziś przecież w tym najbardziej wolnorynkowym kraju masz ją w każdym pokoju hotelowym. Na pewno gdybyśmy wtedy chcieli połączyć nasz przekaz ekonomiczny z pewną dozą antyklerykalizmu, sprzedalibyśmy się lepiej. Tym bardziej że i tak wojowaliśmy o dobre imię Kościoła za bezdurno, bo bynajmniej nas księża, a już biskupi zwłaszcza, za swoich nie uważali. Zapewne po części z uwagi na rozwody lidera ... Kościół się do was nie przyznawał, bo nasi księża uwielbiają kazania afirmujące biednych. O tym, że łatwiej przejść wielbłądowi przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do Królestwa Niebieskiego, słyszałem dziesiątki razy na kazaniach i to w różnych częściach kraju. To też, oczywiście. Księży nie uczą ekonomii, a Kościół ugrzązł w tamtych czasach w naiwnym socjalizmie. "Solidarność" jako związek zawodowy ciążyła do Kościoła i znalazła sobie taką namiastkę ideologii w katolickiej nauce społecznej, tam są terminy, które dawały się zinterpretować w duchu "sprawiedliwości społecznej". Na przykład postulat "powszechnego przeznaczenia dóbr" interpretowano tak, iż wszystko się należy wszystkim, a postulat "państwa pomocniczego", iż państwo ma pomagać, czyli (157)

dawać pieniądze na górnictwo, na rolnictwo, szkoły itd. To wtedy było w modzie. Bardzo nas wtedy atakował biskup Piotr Jarecki, który już dzisiaj może nie jest takim socjałem, ale ja go zapamiętałem jako bardziej lewicowego niż dziś Sławomir Sierakowski. Cała prawica postsolidarnościowa, tzw. centroprawica, zwana sekretariatem ugrupowań centroprawicowych, z okolic Olszewskiego i Parysa, znajdowała się pod tym wpływem.

_ Niestety, nadal pozostało w świadomości społecznej przekonanie wtłoczone przez komunistów, że kapitalizm jest ustrojem niemoralnym, więc socjał się należy każdemu. Co do tego byli zgodni i KOR-owcy, i prawie wszyscy ludzie "Solidarności". W gruncie rzeczy chcieli socjalizmu, tylko lepszego, w wersji zachodniej, a nie wschodniej. Nie radzili sobie z rzeczywistością. Pamiętam taki wywiad, jak dziennikarz - oczywiście zagraniczny, nasi by się bali mu zadać tak trudne pytanie - zagadnął: pan, panie profesorze, mówi, że jest socjaldemokratą, to jak pan może wspierać neoliberalne reformy Balcerowicza? A Geremek na to mniej więcej tak: ja jestem socjaldemokratą, bo chcę równo dzielić, ale najpierw trzeba mieć co dzielić, więc najpierw musimy przejść przez etap dzikiego kapitalizmu tak jak Zachód przeszedł dawno temu, a potem się zajmujemy

wyrównywaniem nierówności, które muszą przy tym powstać. Pamiętam, jak o społecznej gospodarce rynkowej mówił także Tadeusz Mazowiecki. Owszem, i używał tego pojęcia w sposób sprzeczny z tym, jak je definiował jego twórca Lu-

Ludwig Erhardt. Bo to, co Erhard tak nazywał, u nas nazywano wtedy właśnie "dzikim kapitalizmem". Ale cała propagandowa maszyna miażdżyła wszelkie wątpliwości historyczną koniecznością, zupełnie tak jak u zarania robiła propaganda komunistów. Po prostu dla nowego systemu nie ma żadnej alternatywy, wszystko musi być dokładnie tak, i już. Ale to właśnie to środowisko wypromowało Balcerowicza i na niego postawiło. Przyjęłoby na tej samej zasadzie każdego innego. Ale liberalizm był wtedy modny, więc przyjęto go jako taką nuworyszowską nowinkę. I w sumie chwała Bogu, mogło być gorzej. Nic w tym złego, że Balcerowicz wdrożył tę "terapię szokową", choć skutki od razu się zaczęły rozmijać z tym, co obiecywano, tylko że nie poszły za nią dalsze reformy. Skoro na reformie walutowej przeciętny Kowalski ogromnie stracił, bo wszystkie oszczędności w dolarach stopniały o kilkaset proc., to powinno się coś dać ludziom w zamian. Trzeba było ich uwłaszczyć, rozdać własność państwową jak naj szerzej. Miliony najemników zamienić w miliony właścicieli. Stworzylibyśmy wtedy społeczeństwo prawdziwie obywatelskie, bo człowiek, który coś posiada, zachowuje się inaczej niż gołodupiec. Problem na początku transformacji był taki, że w ogóle opozycjoniści z czasów PRL-u nie mieli zielonego pojęcia o ekonomii. O zasadach rządzących gospodarką w podziemiu coś tam pisał Kisiel, którego uważano trochę za błazna, i Stefan Kurowski, który na początku III RP był już na pozycjach bardziej socjalnych, keynesistowskich. Wiedzę o ekonomii (159) upowszechniał jeszcze śp. Mirosław Dzielski, filozof liberalny, który zmarł w październiku 1989 roku. Byli jeszcze Trzeciakowski czy Bugaj, Beksiak, ale to byli ekonomiści uniwersyteccy, nieoferujący żadnej prostej, przebojowej wizji, tylko nudne i niezrozumiałe dla polityka szczegóły z mnóstwem "ale" i "z drugiej strony". Cała reszta się wyżywała w problematyce praw człowieka, upodmiotowienia społeczeństwa, w definicji, czym jest społeczeństwo obywatelskie. Taki już los polskiego inteligenta, że jego gospodarka nie interesuje. Nic dziwnego. Nasza kultura jest postszlachecka, a lepiej urodzonym o pieniądzach nie wypada rozmawiać. Nasza kultura jest kulturą inteligentów, czyli brutalnie mówiąc, budżetowych pasożytów. Przecież w polskiej literaturze archetypem przedsiębiorcy jest Wokulski -niezrealizowany naukowiec, dla którego zarabianie pieniędzy było życiową kapitulacją. Zresztą jakie tam zarabianie? On te pieniądze tylko dziedziczy, żeni się dla nich ze starą i brzydką, ale bogatą wdową po niemieckim kupcu, potem myk-

-myk robi parę jakichś niejasnych spekulacji na dostawach dla wojska, a potem już tylko trwoni zasoby na uwodzenie Izabeli Łęckiej i wkupowanie się w łaski skretyniałych arystokratycznych salonów. To jest dla polskiego inteligenta typ przedsiębiorcy od biedy możliwy do zaakceptowania. No bo już Borowiecki z "Ziemi obiecanej" to zdrajca szlacheckiego etosu. Zarabianie pieniędzy? Można to wybaczyć wielkiemu oligarsze, choć uczciwie do milionów nie doszedł, bo jak ten Wokulski może zasponsorować i stara się na-

(160) śladować elitę -ale taki drobny handlarz pracujący własnymi rękami i głową to postać po prostu odrażająca, godna najwyższej pogardy. Tacy ludzie noszą przecież białe skarpety do czarnych mokasynów! () (161

Rozdział VIII.

Ciężki los publicysty / pisanie po katastrofie smoleńskiej / argumentacja "Wyborczej" / medialni mędrcy / listy otwarte intelektualistów / toasty w Magdalence / dziennikarskie procesy / żeromszczyzna, bohaterszczyzna ... / strach przed Rydzykiem / prorok wydaje wyroki / dyskurs

wykluczenia (164) Zawsze chciałeś być pisarzem, ale prawdziwy sukces odniosłeś jako publicysta. Trudno ci się z tym pogodzić? Trochę tak, trochę nie. Z jednej strony, rzeczywiście miało być inaczej. Z drugiej, na sukces w publicystyce naprawdę ciężko pracowałem. W 1991 roku wziąłem się za pisanie felietonów zupełnie z marszu, jako kompletny "prawdziwek" niemający do zaoferowania wiele poza dość już wyrobionym dzięki fantastyce piórem, wdziękiem chłopka-roztropka i pewną świeżością spojrzenia człowieka, który ani się wcześniej nie uwikłał w jakiegokolwiek instytucje oficjalne, ani nie zaznał styropianu. Pisałem te felietony, zamówień przybywało, groszowych, ale coraz więcej; w którymś momencie zrobiło się tego z pięć, nawet siedem tekstów tygodniowo, do tego newsowe dyżury w radiu i wyjazdy. Jednocześnie douczałem się z klasyków felietonu, z polityki, właściwie ze wszystkiego, bo jedyne, co miałem na blachę, to SF i kanon literatury polskiej, może jeszcze historia, na ile dostępne były porządne opracowania. Zacząłem się pojawiać w telewizji, więc nazwisko pomalutku, ale stopniowo się popularyzowało, aż w 2001 roku dostałem Nagrodę Kisielea. To ona ostatecznie wydobyla mnie z niszy "Gazety Polskiej" i "Najwyż-

(165)

szego Czasu" -zaraz przyszło zamówienie z "Wprost", potem poszedłem do "Newsweeka", mogłem zacząć pisać w "Rzeczpospolitej" ... Jeszcze w połowie lat 90. wydałem zbiór felietonów z "Najwyższego Czasu" pod tytułem "Zero zdziwień"; sprzedało się kilka tysięcy zupełnie poza oficjalnym obiegiem, przez koła UPR-u, różne prawicowe przedsięwzięcia i kioski parafialne. Sporą część honorarium, może całe, już nie pamiętam, wydawca mi wypłacił w egzemplarzach, które sam sprzedawałem podczas spotkań; takie to było życie młodego prawicowego dziennikarza. Po raz drugi pomyślałem o książce, chcąc zdyskontować Kisielea. Nie miałem jeszcze pewności, czy mogę sobie pozwolić na pisanie publicystycznej książki, ale też nie poszedłem, jak to zwykle robią prasowi felietoniści, po najmniejszej linii oporu i nie zebrałem do kupy tekstów z jakiegoś tam czasu. Nie lubię takiego postępowania i uważam je za lekceważenie czytelnika. Przejrzałem -a było tego już wtedy spokojnie ponad dwa tysiące stron -swoją dotychczasowy urobek, wybrałem jakieś trzysta stron, starannie je zredagowałem, usuwając to, co nieaktualne i trochę podrasowując, żeby styl był jednolity, a układ tematów logiczny; dopisałem jeszcze ze sto stron nowego tekstu ... To dlatego nie ma w tej książce dat pod felietonami, co mi wytykali recenzencjako błąd. Data jest jedna, stworzenia całego zbioru. No i z taką książką zatytułowaną .Viagra Mać" ruszyłem szukać wydawcy. I nic. Nikt nie chciał tego nawet wziąć do przeczytania. Nie było w tym chyba niechęci wobec mojej osoby; po prostu redaktorzy zafiksowali się w przekonaniu, że zbiory tekstów publikowanych wcześniej w prasie się nie sprzedają, i nie chcieli sły-

(166) szyć, że to nie do końca taki zbiór. Na szczęście akurat wtedy zgłosiło się do mnie nowo powstałe lubelskie wydawnictwo Fabryka Słów, które chciało wydawać fantastykę. Powiedziałem, że tego gatunku to nie mam i w najbliższym czasie nie planuję, ale mam takie coś -pokombinowali i zaryzykowali. I ku ogólnemu zdziwieniu w szybkim czasie zeszło tej .Viagry Mać" dziesięć tysięcy egzemplarzy, świetny wynik. Może pomógł ten Kisiel, może tytuł -choć akurat z niego wynikały śmieszne nieporozumienia: sam widziałem w warszawskim Empiku mój zbiór na półce "poradniki medyczne"

obok książki o prozacu ... Sukces, jak wiadomo, uskrzydla, więc postanowiłem zaryzykować kilka miesięcy pracy i zaproponować książkę publicystyczną pisaną od początku do końca jako osobna, zamknięta całość. I tak powstała jedna z ważniejszych do dziś rzeczy w moim dorobku, czyli .Polactwo" I okazało się, że twoja publicystyka jest bestsellerowa. Z "Michnikowszczyzną" powtórzyłeś sukces "Polactwa". Tak, .Polactwo" cały czas jest na rynku, a to w wypadku tego typu książek rzadkość. "Michnikowszczyzna" też w zasadzie mogłaby wciąż być w księgarniach, gdyby nie pewne problemy, nazwijmy to, pozamerytoryczne ... Ale niebawem tam wróci, nowe wydanie już jest gotowe. Prócz poprawek paru kiksów z pierwszej edycji wprowadziłem ostatecznie

niewiele aktualizacji. Uznałem, że po katastrofie smoleńskiej nie ma już sensu tej książki zmieniać. Ona po prostu dokumentuje pewien moment historyczny i sędzę, że jako taka zachowa wartość jeszcze długo. (167)

Wielu uważa cię za specjalistę od Adama Michnika, choć takie określenie działa na ciebie jak płachta na byka. Ale w końcu procesowałeś się z naczelnym "Gazety Wyborczej" i napisałeś bestseller o nim i jego środowisku. To jest taki debilny dyskurs ludzi z "GW"; gdy nie mają argumentów, a przeważnie nie mają, usiłują wszystko zdyskredytować kpinkami: ach, a oni ciągle o "Wyborczej", ha, ha, znowu o Michniku, no patrzcie, czy to nie obsesja? Zabawny argument w gazecie, która w ciągu jednego roku, jak policzono, opublikowała 453 teksty o Radiu Maryja, czyli prawie dwa w każdym numerze, a o Kaczyńskich czy PiS-ie daje codziennie z pięć materiałów. Kto się nudzi, niech sobie policzy w ich archiwum internetowym ... TYlko uprzedzam przy okazji, że w tym elektronicznym zbiorze, jeśli potrzebujesz na przykład materiałów do procesu, teksty okazują się jakieś takie grzeczniejsze, niżje zapamiętałeś, bez tych najbardziej kompromitujących fragmentów, a tych szczególnie wrednych w ogóle nie można znaleźć, trzeba iść na mozolną kwerendę w papierze do biblioteki. To taki ich rys orwellowski, skoro wspomniałeś o procesach. Potem pan mecenas twierdzi, przy życzliwości sądu, że ksero biblioteczne nie jest dowodem i musisz je jeszcze poświadczać notarialnie, a jakie to upierdliwe, wie tylko ten, kto nie dał za wygraną ... Tacy to "ludzie honoru" zapierają się przed sądem w żywe oczy, nie odbierają pozwów, ukrywają prywatne adresy i kłamią w żywe oczy, że redakcja ich nie zna -choć jest oczywiste, że jeśli komuś wypłacają honoraria, to muszą mieć jego dane do PIT-u ... Proces z "Rzeczpospolitą" przeciągnęli o prawie rok, bo, uważasz, redakcja nie była w stanie sprecyzować (168) miejsca pobytu Adama Michnika, i to w czasach kiedy naprawdę nią kierował, a nie, jak teraz, był już tylko malowanym naczelnym. Albo przysyłali do sądu zaświadczenie, że pan redaktor nie może się stawić, bo jest za granicą -ale jakoś tego samego dnia został sfotografowany przez reportera pod własnym domem w Alei Przyjaciół... Oczywiście nie byłoby to możliwe, gdyby sądy nie stosowały u nas zupełnie otwarcie wykładni, że są zwykli obywatele i "wybitni obywatele", którzy są wobec prawa równiejsi. Nie chcę się na ten temat rozwodzić, ale to coś mówi, z jakimi ludźmi mamy do czynienia, kim są tak naprawdę i jaki jest ich tytuł do przemawiania z wyżyn autorytetów w sprawach moralności. A ty ich naprawdę nienawidzisz. Był taki tekst w "Rzeczpospolitej", gdzie napisałeś: "Czy na Czerskiej mają zamiast mózgow beton i tłuczone szkło?". Był też taki tekst w "Rzeczpospolitej", w magazynie .Plus Minus" -zapraszam do archiwum, nasze jest rzetelne -gdzie na dwóch kolumnach wyliczałem tylko te najgrubsze manipulacje i najbardziej bezczelne kłamstwa "Gazety Wyborczej". I, uważasz, Agora, która z całą powagą zaangażowała się w sądowe gnębienie człowieka, który w ferworze przepychanek pod krzyżem rzucił o nich parę radykalnych opinii, rzeczywiście trudnych procesowo do utrzymania, na ten mój artykuł jakoś nie zareagowała. Woli próbować unieważniać fakty w oczach swoich wyznawców głupekowatym "ha, ha, obsesja". Proszę bardzo, jeśli to ma jakieś znaczenie, czy piszę o Michniku często czy rzadko -niech ktoś policzy, ile razy się on poja-

(169)

wia w mojej publicystyce. W co dziesiątym tekście? Co dwudziestym? Myślę, że jeszcze rzadziej. Ale "Gazeta Wyborcza", jeśli chcesz liczyć, na pewno pojawia się częściej. Bo jest, niestety, znaczącą instytucją, urabiającą opinię inteligencji i wyrazistym punktem orientacyjnym w polskiej debacie publicznej. Nie wypieram się negatywnych emocji. Obłuda, kłamstwa, manipulacje, propagandowe odzieranie ludzi z godności i ich opluwanie, zwłaszcza jeśli towarzyszy temu ogromna buta, budzą mój gniew -bo raczej nazwałbym to właśnie gniewem niż nienawiścią -i on często kieruje moim piórem. Kolejny przyczynek, jak patologiczna jest twoja nienawiść do "Wyborczej": zahaczyć Bartosza Węglarczyka, że się odchudzał, szło mu dobrze, a potem znowu przytył ... Teraz wyglądasz jak szczypiorek, ale kiedyś ważyłeś 30 kg więcej. No dobra, może rzeczywiście przesadziłem, odpłacając złośliwością za jego złośliwości. W końcu piszę tych felietonów kilka w tygodniu: w "Rzeczpospolitej" i w jej tygodniku "Uważam Rze", na .Jnterii", w

"Gazecie Polskiej" ... Mogę mieć słabszy dzień, mogę też czasem nie mieć już ważkich tematów i pośmiać się trochę z tej akcji odchudzania, którą Węglarczyk reklamował jako żywy dowód jej skuteczności ... Efekt jo-jo, u Węglarczyka miał być metaforą obłudy "Gazety Wyborczej"? Coś takiego. Przypominam, że to było jeszcze, zanim facet się zrobił zupełnie żalony jako gwiazdor .Pudelka" i programu "Tap Madl". (170) Za występ w tym programie zdjęto go z funkcji szefa działu ... Ale nadal robi tam za komentatora. Sorry, ale trudno mi się powstrzymać od chichotu, gdy go sobie przypomnę z tym wąsikiem II la Atylla, w przyciasnawym garniturku -kto go tak ubrał, jak rany? Można było się bać, że ten guzik jak zaraz wystrzeli, to wybije komuś oko ... Rafale, doprawdy ... Doprawdy, ja nigdy nie udawałem dobrze wychowanego. Śmiejmy się, póki ktoś pamięta. Pan Jarosław Kuźniar, mędrak TVN24, występuje jako prowadzący podobnego programu, a potem nadal będzie nam z wyżyn tłumaczył, dlaczego jedynie słuszna partia jest wspianała, a jej oponenti to obciach. Zresztą podobnie jak Szymon Hołownia prowadzi nas po zawłościach posoborowej duchowości. Przyznasz, że ten pęd do łączenia dziennikarstwa z celebryctwem zasługuje na wykpienie. A co do tuszy, to pierwszy kpił sobie z mojej pan Piotr Pacewicz, jeden z wicemichników, i nikomu to nie przeszkadzało ... Dotykamy zresztą istotnej cechy michnikowszczyzny, jaką są podwójne standardy dobrego smaku. Exemplum z nieco innej beczki: zesklezoriały UD-ek plotący, iż Kaczyńscy wyrosli tacy, jak wyrosli, bo w szkole ich bito, iż opowiadał mi jakiś znajomy znajomego, który miał znajomego na planie "O dwóch takich, co ukradli księżyc", że płakali, kiedy mieli wracać do szkoły ... To często przez nich stosowana metoda poniżania i ośmieszania przeciwników. Ale gdyby ktoś rozpoznawalny, z nazwiskiem porównywalnym do Daniela Olbrychskiego, pozwolił sobie na dywagowanie, że (171) może marszałek Stefan Niesiołowski tak sfiksował, bo w więzieniu gwałcili go całą całą, to nazajutrz "Wyborcza" drukowałaby list otwarty oburzonych krakowskich intelektualistów. "Michnikowszczyzna" stała się bestsellerem, bo sprzedano jej ponad pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Podobno nie miałeś zamiaru napisać, ale zmusił cię do tego proces, który wytoczył ci Adam Michnik. Napisałbym ją prędzej czy później i naprawdę nie z żadnej osobistej nienawiści do Michnika, którą mi się przypisuje. Pewnie, że daleki jestem od czolobitności wobec tego człowieka, w którym pewna szlachetność miesza się z najgorszym makiawelizmem i zaślepiającą pychą, ale też bez wątpienia jest to postać, która może zafascynować. A najbardziej fascynuje jego przemiana. Przecież ten człowiek jeszcze w latach osiemdziesiątych przelicytowywał wszystkich w nieprzejednanej pogardzie i nienawiści do funkcjonariuszy reżimu. Szarpał się z ubekami, ubliżał, pisał kiedyś z więzienia dumny i budzący zachwyty moich rówieśników list do Kiszczaka ... Zachowała się anegdota, jak na rok przed Okrągłym Stołem wyrzucił z urodzin Jacka Kuronia, Tomasza Jastruna za to, że ten próbował bronić przed jego pryncypialną krytyką Marcina Króla, którego wtedy Michnik odsądził od czci i wiary, bo poszedł na ugodę z komunistami i zaczął wydawać legalnie .Res Publicę". A po paru toastach w Magdalence -taka wolta! I jakże symboliczna dla całego tego środowiska, które się zblatowało i podziałkowało z nomenklaturą. Czy można było o tym nie napisać książki? (172) A to, że Michnik zaszczyił mnie procesem, tylko przyspieszyło pracę. Zresztą już wcześniej próbował mnie bodaj ze dwa razy jego prawnik zaczepić, ale dopiero za trzecim znalazł pretekst, zresztą słaby. Michnik twierdził, że zrobiłeś z niego obrońcę ubeków .. Cała sprawa wzięła się od skrótu. W "New-

sweeku" pisałem komentarz na tysiąc sześćset znaków i w ostatniej chwili trzeba było go skrócić do tysiąc czterysta znaków, bo coś. No i skubiąc słowo tu, słowo tam, zdanie "Adam Michnik przez wiele lat robił, co mógł, żebyśmy nigdy nie poznali prawdy o komunistycznych zbrodniach" zmieniłem na "Adam Michnik zrobił wszystko, żebyśmy ... ". Zaoszczędziłem kilkadziesiąt znaków, ale w ten sposób mecenas miał wreszcie długo poszukiwanego haka, bo "zrobił wszystko" mogłoby też oznaczać, że zrobił coś niezgodnego z prawem, na przykład, ja wiem? Podgrandził albo ukrył jakieś archiwalia, do których miał dostęp. W każdym razie na użytek procesu musiałem się przekopać po raz kolejny przez całą publicystykę Michnika. I jako człowiek praktyczny nie chciałem, żeby ta praca się zmarnowała. Zresztą nawet nie to było najważniejsze. Niby już to

wszystko znałem, ale czytałem te jego teksty na przestrzeni wielu lat. A gdy tak sobie wszystko zarepetowałem za jednym zamachem, zobaczyłem jasno, jak widać w jego publicystyce całą jego ewolucję i jednocześnie stałość zachowań. A czy ugoda, która zakończyła proces, oznaczała jakieś finansowe zadośćuczynienie dla szefa "Gazety"? (173)

Nie, tylko oświadczenie w tym duchu, że pisząc, iż pan Michnik "zrobił wszystko", nie zamierzałem sugerować, że zrobił wszystko. Moim zdaniem ta ugoda była równie idiotyczna jak cały ten proces, i w ogóle tego rodzaju procesy. TYlko ktoś kompletnie tych spraw nieznający -i zresztą dla takich właśnie urząda się ten teatr -może sądzić, że w takim procesie sąd ustala jakąś obiektywną prawdę. A tu się tak naprawdę roztrząsa tylko, czy jest "że", czy "iż" i czy ktoś mógł tak powiedzieć, czy powinien był to ująć delikatniej. Idiotyczna gra w słówka. Można dostać wyrok za powiedzenie najświętszej prawdy, mieć w rękę niezbite dowody i przez kilka instancji nawet nie zostać o nie zapytany, jak było choćby z Krzysztofem Wyszowskim. I można zniesławiać człowieka do woli, jeśli się to czyni z odpowiednią ostrożnością procesową. Akurat ludzie Michnika mają to dobrze opanowane. Piszą na przykład o kimś zawsze z adnotacją "profesor Nowak, oskarżany o antysemityzm" ... albo "faszyzujący" ... Do sądu nie masz z tym co chodzić, a oszczerstwo jest skutecznie wdrukowywane w ludzką świadomość. Orzecznictwo w procesach o naruszanie dóbr osobistych to dziedzina czystej groteski i trzeba się umieć w tym poruszać. Gdyby Zbigniew Ziobro powiedział o doktorze G., że "nikt już przez tego pana nie straci życia", to doktor G. mógłby go pocałować w nos. Ale ponieważ powiedział: "Już nikt nigdy przez tego pana pozbawiony życia nie będzie", to go sądownie dopadli na pół balona ... Nie ma w tym żadnego wymierzania sprawiedliwości, tylko skomplikowane rozgrywki między kancelariami prawnymi, których koszt może prostego obywatela doszczętnie zrujnować, i jego racja nie ma tu nic do rzeczy. (174) Ale fakt, ten proces był brzemienny w skutki życiowe -popchnął mnie do napisania kolejnego po "Polactwie" bestselleru i spowodował rozstanie z radiem TOKFM. Znając twoją publicystykę na temat "Wyborczej" i jej naczelnego, należy się dziwić, że tak późno doszło do procesu. Owszem, to było pisane po piętnastoletnich bojach publicystycznych. Zaczynałem przecież w "Najwyższym Czasie" w styczniu 1991 roku, równiutko od pierwszego numeru styczniowego co tydzień pojawiał się tam mój felieton, przekonania miałem od początku wyraziste, "zoologicznie antykomunistyczne", więc się z "GW" zderzyłem niemal natychmiast. Stopniowo dojrzewając, kibicowałem wojnie na górze, sporom o lustrację i tak dalej, więc w zasadzie, gdy pisałem tę książkę, już większość spraw miałem przemyślanych. Natomiast może ciekawe jest, że ta publikacja miała takie swoje życie po życiu. Kiedy wyszła w listopadzie 2006 roku po zakończeniu procesu z Michnikiem, samo pytanie o tytuł powodowało, że ludzie zachowywali się dziwnie. Bo to dość osobliwa nazwa, na początku nie wiadomo, czy kryje się za nią dobra czy negatywna konotacja. Samo to słowo odbierano jako przejaw niedopuszczalnego braku szacunku dla wielkiego autorytetu. A słowo jak słowo, skoro mówi się np. o żeromszczyźnie, mówi się o bohaterzszczyźnie, zatem można też mówić o michnikowszczyźnie. Ja zresztą nie twierdzę, że pierwszy tego pojęcia użyłem. (175)

Miał o to do ciebie pretensje Waldemar Łysiak. I Jerzy Robert Nowak -że nie oddałeś im pierwszeństwa, w ogóle nie wspominasz, że oni pisali o Michniku i michnikowszczyźnie wcześniej.

Nieporozumienie wynikłe z mojego świadomego założenia, żeby nie cytować w tej książce żadnego spośród zdeklarowanych wrogów Adama Michnika. To by ułatwiło zdyskredytowanie mojej osoby, jej unieważnienie, a ja nie chciałem przekonywać przekonanych, ale być może otworzyć komuś oczy, jeśli tylko ten ktoś z tamtej strony mimo całej propagandy "takich paskudztw człowiek na poziomie nie czyta" odważy się wziąć książkę do ręki i samemu pomyśleć. I dlatego ważne było pokazanie takiemu czytelnikowi, że można to wszystko, co opisuję, udowodnić, cytując tylko przyjaciół Michnika, względnie ludzi, których "salon" nigdy nie dyskredytował. Dlatego cytowałem Jana Nowaka Jeziorańskiego, Jerzego Giedroycia, cytowałem takich ludzi, których świadectw nie można w łatwy sposób obalić zarzutem .oszołomstwa" Ale rozumiem, że teraz Michnik może powiedzieć: ci faceci żyją ze mnie ... W jakiś sposób na nim zarobiłeś. A on i cała jego ekipa żyją ze

strachu "wykształciucha" przed Kaczyńskim czy Rydzykiem i pogardy dla "starszych, gorzej wykształconych i z małych ośrodków". Ja bym zauważył, że zarobiłem na książce, która jest nie o Michniku, ale o całym zjawisku, któremu on tylko dał twarz i swoistą ideologię. Każdy się przecież zgodzi, że ten człowiek bardzo mocno zaciążył nad momentem transformacji, nie pi-

(176) sąc o nim przy okazji historii III RP, to tak jakby pisać książkę o sanacji i nie wspomnieć nazwiska Piłsudskiego. Mnie nie chodziło o to, aby napisać paszkwil czy nawet pamflet na naczelnego "GW", tylko polityczną analizę. Przecież tam nie ma nic o Michniku jako osobie prywatnej, rozważana jest tylko jego działalność publiczna. Chciałem wyjaśnić tę fascynującą zagadkę, o której już wspominałem, ten zwrot, którego dokonała jego formacja, można nawet powiedzieć mocno -tę zdradę, bo przecież jeśli ludzie, którzy zyskali swą pozycję jako rzecznicy pokrzywdzonych, nagle bratają się z tymi, którzy ich krzywdzili i zaczynają wyrażać ich interesy przeciwko tym, którzy ich wynieśli do władzy, to takie słowo jest jak najbardziej zasadne. Podobnie jak w "Polactwie" u podstaw tej pracy legło przekonanie, iż rzecz można wyjaśnić racjonalnie i na podstawie ogólnie dostępnych przesłanek, bez sięgania po argumenty spiskowe. Z założenia odrzucam teorie tego rodzaju, że Geremek, Kuroń i Michnik od samego początku realizowali tajny układ mający na celu takie rozegranie przewidywanego upadku komunizmu, by doprowadzić do wejścia do UE i do końca rozgrabić Polskę, a nierozgrabioną resztę oddać Niemcom i brukselskim masonom. Są ludzie, którzy zupełnie na poważnie ogłaszają takie odkrycia, ija im głęboko zazdroszczę, bo gdy się wyznaje spiskowe teorie, które wszystko tłumaczą, wówczas łatwiej jest żyć. Natomiast jeśli się wie, że w momencie kiedy Michnik pisał swój słynny list do Kiszczaka, był tak samo szczery jak wówczas, gdy mianował Kiszczaka "człowiekiem honoru" i ścisnął się z nim publicznie na procesie morderców z kopal-

(177)

ni "Wujek", to pytanie, co tym człowiekiem tak pokierowało, robi się naprawdę męczące. Śledząc kontrataki ludzi, których określiłeś michnikowszczyzną, można zauważyć, że na zarzuty odpowiadają oni zwykle podobnie: naczelnym "Wyborczej" ma prawo robić, co chce, bo siedem lat siedział za Polskę. A wy nie kiwnęliście wtedy dla Polski palcem w bucie, więc odpieprzcie się od Adama. Odpowiadam wtedy krótko -to odpieprzcie się też od Kazimierza Świtonia i na tej samej zasadzie przyznajcie mu prawo obstawiać dziś Oświęcim krzyżami i głosić, że okupację sowiecką zastąpiła żydowska. Oczywiście michnikowszczyzna uwielbia wywijać tym jak pałką -nie siedziałeś w więzieniu, to nie masz prawa Michnika krytykować. I to on sam, choć się potem wypierał, zainspirował ten dyskurs. To dość podłe, zważywszy na to, że naczelnego "GW" pierwsi krytykowali właśnie ludzie, którzy na pewno wykazali się w życiu nie mniejszą odwagą i poświęceniem jak wspomniany Wyszowski, Gwiazda czy śp. Anna Walentynowicz. Mam się tłumaczyć, że nie działałem w podziemiu, choć w 1981 roku miałem już siedemnaście lat? Dobrze, mogę: nie mam z tego powodu żadnych kompleksów. Po prostu się nie złożyło. Zwróć uwagę, że we wspomnieniach wszystkich właściwie ludzi, którzy działali, powtarza się element opozycyjnej inicjacji. Przecież nie było kantorka, gdzie można było przyjść i powiedzieć: ja się chcę zaciągnąć - a pani za ladą pyta: a gdzie, do KOR-u, do KPN-u, czuje się pan (178) bardziej anarchistą, syndykalistą czy niepodległościowcem? -i podaje druczek do wypełnienia ... Ktoś . cię zawsze do podziemia musiał wciągnąć i zawsze budowało się ono przez jakieś znajomości środowiskowe, czasem nawet rodzinne. A ja akurat nie należałem do żadnego takiego środowiska, byłem ze wsi, skądinąd, i zresztą do dzisiaj taki zostałem. Coś tam parę razy przeniosłem, ale kiedy się dość szybko mój kontakt urwał, przyznam uczciwie, że niespecjalnie szukałem nowego; może obawiałem się, że gdybym szukał na siłę, potraktowano by mnie podejrzliwie. Gdyby się inaczej ułożyło, tobym pewnie nabrał powietrza, opanował drzenie nóg i Bóg jeden wie, co by z tego wyszło; ale ułożyło się tak, że nie mam opozycyjnej przeszłości. I może właśnie dlatego łatwiej mi analizować Adama Michnika i ludzi z jego środowiska, dostrzegać, że konspira, niestety często

naznaczała ludzi w nią zaangażowanych swoistym makiawelizmem i taką, rzekłbym, pogardą dla zwykłych ludzi, że oni nic nie robią, nic nie rozumieją, ja robię, poświęcam się za nich, to wiem lepiej od nich samych, co dla nich dobre i mam prawo sięgać po różne środki, bo święta sprawa wszystko uświęca. Powiem nawet, że przewrotnie właśnie w tym widzę swoją przewagę: jako zwykły facecik bez żadnych specjalnych zasług -choć i bez żadnych powodów do wstydu -nie mam pokusy używania argumentu "ja tak mówię, ja wiem!", jak to się często zdarza tym zasłużonym. Jestem skazany na używanie argumentów rzeczowych, konkretnych, "mówię tak, bo to i to". Być może się w swych diagnozach mylę, każdy musi się z taką możliwością liczyć. Ale kto tak (179) uważa, od tego żądam uczciwej polemiki, a nie okrzyków, że Michnik siedział za mnie w więzieniu albo insynuacji, że go nienawidzę czy się za coś mściwę. A nie mścisz się? A niby za co? Ktoś kolportuje w sieci plotkę, jakoby nie przyjęli cię do "Wyborczej". Wszystko, co wiem o naczelnym "GW", wskazuje na to, że by się tak nie zachował. Przyjąłby mnie z otwartymi ramionami, próbowaliby oczarować, wychować i włączyć do swego orszaku, jak to zrobił z wieloma innymi. Jest w tym podobno mistrzem i wierzę, bo to logicznie tłumaczy jego sukcesy. Ale nie miał okazji mnie kusić ani ja nie miałem okazji się z tymi pokusami zmierzyć, bo nigdy się o pracę u niego nie ubiegałem. To bzdura. Charakterystyczne, że to wiadomość wrzucona do Internetu przez dziennikarkę z Czerskiej, czyli pewnie element ich środowiskowej "wiedzy" na mój temat. A w ogóle spotkałeś się z nim kiedykolwiek? Rozumiem, że nie przyjął nigdy propozycji dyskusji z tobą. Nigdy nie dążyłem do takiego spotkania. Mnie nie interesują bohaterowie moich analiz prywatnie; polityków, o których piszę, też staram się osobiście nie znać, a jeśli już, ograniczać znajomość do stosunków czysto zawodowych. Inaczej taka relacja przeszkadzałaby mi w obserwowaniu i interpretacji ich posunięć. Z mojej strony nigdy żadnej propozycji dyskusji nie było, po co zresztą, gdyby chciał po-

(180) lemistować, ma do tego swoje łamy. A nawet gdyby, to by nie przyjął takiej oferty,' to jasne. Prorok nie dyskutuje, prorok wydaje wyroki. Raz się zdarzyło, że wydawca zaprosił mnie do dyskusji na promocję książki Czesława Miłosza o dwudziestolecium międzywojennym. A potem dzwonił z przeprosinami, że niestety, ale pan Michnik powiedział, że jeśli ja tam będę, to on nie przyjdzie, i sam pan rozumie ... Powiedziałem, że oczywiście rozumiem. Wcale mi na takim spotkaniu nie zależy, chociaż sędzę, że to nie mnie zabrakłoby argumentów. "Michnikowszczyznę" kilku autorów ogłosiło książką obrzydliwą przed jej przeczytaniem, zapewniając, że jej nie przeczytają. To standard. Stefan Bratkowski, honorowy prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i nestor polskiego dziennikarstwa, niedawno powiedział to publicznie o książce Artura Domosławskiego o Ryszardzie Kapuścińskim -to jest tak wstrętne publikacja, że nigdy jej nie przeczytam. A drugi, niemal jednocześnie, był z taką zapowiedzią, jeszcze ostrzej wyrażoną, Władysław Bartoszewski. Zauważ, że mówimy o książce napisanej przez autora z "dobrego towarzystwa", z "Wyborczej"; czegoż oczekiwać, gdy ktoś pisze z pozycji od dawna zidentyfikowanych jako wrogie. No i jest jeszcze jeden uniwersalny argument, którym prędzej czy później, raczej prędzej, traktowany jest w III RP każdy publicysta przeszerogowany do prawicy. Przykładów jest wiele, więc tylko jeden -o "Michnikowszczyźnie" w charakterystyczny sposób, bez jasnego wskazania, z czym konkretnie pole-

(181) mizuje, pisał w "TYgodniku Powszechnym" Michał Głowiński. W duchu, iż wprawdzie antysemickie argumenty otwarcie tu nie padają, ale wiadomo wszak, że "prawdziwi Polacy" -co w tamtych kręgach jest uważane za określenie obelżywe, a co najmniej ironiczne -nie mogą Michnikowi darować tego, że tyle zrobił dla Polski, a jest Żydem, i za to go najbardziej nienawidzą. Czyli mówiąc krótko, wprawdzie nie można znaleźć w "Michnikowszczyźnie" żadnego konkretnego przejawu antysemityzmu, ale i tak wiadomo, że prawdziwą przyczyną jej napisania jest właśnie antysemityzm, a dowodem, że jestem antysemitą, fakt, że ją napisałem. Tak parszywe

insynuacje wypisuje nie jakiś pętek z "antify" w swoim zinie, ale wybitny intelektualista, profesor Michał Głowiński w "TYgodniku Powszechnym" i nikt nie protestuje, nikt nie zauważa. Czy to nie jest miara zbydlęcenia, do jakiego polską elitę intelektualną doprowadziła michnikowszczyzna? A dodać trzeba jeszcze i to, że ludzie, którzy publicznie zbywali "Michnikowszczyznę" tym ich typowym "dyskursem wykluczania" - że jak śmiem, skoro Michnik siedział w więzieniu, że jestem frustrat i do ręki nie wezmą - w nie oficjalnych wypowiedziach potrafili mówić: no oczywiście, to właśnie tak było i Adam miał rację, że tak robił, bo postkomuniści mogli sięgnąć po hasła nacjonalistyczne, pójść w takim kierunku jak Vladimir Mecziar na Słowacji i to było najgorsze, co mogło spotkać nasz kraj. To jest miara dwójmyślenia, czujesz to? Ja faktycznie - kto nie czytał, to w największym skrócie - tłumaczę zdradę naczelnego "GW" taką właśnie jego obawą, obsesją wręcz; zresztą on to artykułował w pewnym momencie zupełnie otwarcie, że warto zapłacić cenę uwłaszczenia (182) nomenklatury, pozostawienia nierozliczonych zbrodni i nierozbitych powiązań komuny i tajnych służb, bo alternatywą jest, mówiąc hasłowo, "endecki ciemnogród". TYlko że ja dowodzę, że on się bał fantomu, urojenia, że takiej groźby wcale nie było. Zatem jeśli oni twierdzą, że była, to powinni otwarcie dowodzić, że ich Adam miał rację, wybrał mniejsze zło i w tym właśnie jego wielkość. Ale linia jest taka: Michnik miał rację, ale w czym, to powinniśmy wiedzieć tylko my, wtajemniczeni, a maluczcy mają wiedzieć tylko tyle, że jest wielki. A w czym ta wielkość, nie wolno ani pytać, ani tłumaczyć. Maul halten, tabu i niebłagonadiożnost, Podstawowy twój zarzut wobec tego środowiska jest taki, że zdominowało ono opinię publiczną i próbowało zniszczyć swoich oponentów? Że zepsuło debatę publiczną, zdeprawowało ją, czego skutki odczuwamy do dziś. Michnik pomieszał świadomie dwa porządki. Występował na początku lat dziewięćdziesiątych jako mesjasz i moralista. A chciał uprawiać politykę i to bardzo doraźną. Zwłaszcza interesowało go robienie polityki personalnej, określanie, kto może być na pewne stanowiska nominowany, a czyja nominacja byłaby skandalem; do dziś takie publikacje to silny nurt w "Gazecie Wyborczej". Używał więc swej pozycji autorytetu moralnego i etycznego dyskursu do robienia polityki, a polityka nie ma nic wspólnego z etyką. Polityka jest, jaka jest; czasem się robi coś wrednego, czasem się nie mówi całej prawdy, czasem się wręcz kłamie, czasem się podaje rękę komuś, kto na to nie zasługuje. Gdy się zaprzęga etykę do załatwiania politycznych gier, to efekt jest (183)

taki, że ona zostaje ośmieszona, zostaje trwale zinstrumentalizowana, sprowadzona do mentalności Kalego. Jak ktoś jest "nasz", to wszystko, co robi, jest dobre, jak nie jest "nasz", to dokładnie to samo jest ohydą, szambem i podłością. Komu się chce, niech zrobi ilościową analizę języka "Wyborczej" i porówna z jakąkolwiek gazetą z cywilizowanego świata. Normalnie w publicystyce politycznej używa się raczej pojęć praktycznych - słuszne, niesłuszne, chybione, niecelowe, trafne ... A "GW" wszystko wartościuje właśnie pojęciami etycznymi, politykom rozdaje oceny, że postępują "godnie" albo "nikczemnie" ... "Życie" pisało kiedyś o interwencji naczelnego "Wyborczej" w sprawie Macieja Pawlickiego, szefa RTL-u. Po niej miało dojść do jego dymisji. Ale nie sądzę, by były dowody na wszechwładzę Michnika w mediach. Ale ja nie twierdzę, że szef "GW" personalnie, osobiście miał tak wielką władzę. Choć oczywiście jego polityczne środowisko, Unia Demokratyczna i krąg Kwaśniewskiego, dopuszczało się różnych hańbiących działań obliczonych na utrzymanie mediów pod swoją polityczną kontrolą. Pisałem, że w tym sensie Michnik miał mniej władzy, niż sam sądził. Natomiast na pewno był u zarania III RP człowiekiem, który orzekał, komu można podawać rękę, a komu nie. Trudno zrozumieć jak, ale to działało. I grzech Michnika polegał na tym, że jako legenda opozycji skutecznie udzielił rozgrzeszenia rozmaitym łobuzom, którzy powinni zniknąć z życia publicznego; wbrew temu, co deklarował, namawiał do amnezji zamiast amnestii. Otworzył tym drogę do demoralizacji, do unieważnienia racji moralnych na rzecz wulgarnie pojmanego pragmatyzmu, a więc także do unieważnienia samego siebie, bo skoro zrelatywizował zło komunizmu, to zrelatywizował i swoją pozycję jako bohatera walki z tym rozgrzeszonym złem. Być może myślał, że czerwoni mu się za to odwdzięczą, ale afera Rywina pokazała, co naprawdę oni o nim sądzili. Ale pomimo częściowego bankructwa wciąż ma silny wpływ na po-PRL-owską "inteligencję pracującą". Ci ludzie w większości czuli się po upadku ustroju niepewnie, każdy przecież z partią, z socjalizmem jakoś był ugodzony, niezłomnych było

niewielu. Obawiali się, że teraz każe się im klęczeć i sypać popiół na głowy, że redaktor naczelny będzie ich rozliczał, segregował na tych, którzy zachowywali się przyzwoicie i nie, i od tego uzależniał kariery, strącając z hierarchii tych, którzy w „prylu” się wspięli najwyżej i awansując takich „frajerów” jak mój tato, którzy się do zaszczytów nie pchali, bo się brzydzyli. A tu przyszedł Michnik i jak na rysunku Mleczki oznajmił: „Są w Ojczyźnie rachunki krzywd, i ja, ja sam, Adam Michnik, je tutaj tymi rękami przekreślam”. Więc ochoczo uznali go za największego z żyjących bohaterów i mesjasza. Było ich takich dwóch, którzy wykonali tę robotę -Michnik i Urban, każdy na swój sposób; fakt, że obaj panowie czują do siebie jakąś miętę, bo bywają u siebie, wydaje mi się symboliczny. Mogę udowodnić to, co tu mówię, analogiami z historii innych krajów; choćby Francji, Niemiec czy Włoch po drugiej wojnie. Po okresach dyktatury i kolaboracji jest wielki popyt na taką wzniosłe motywowaną powszechną amnezję, jaką zaoferował Michnik, jak i na „pańswinizm” Urbana. Przecież jego „NIE” przypomina do złudzenia wło-

(185)

skie pismo „L'Uomo Qualunque”, które latach 1947 -48 miało nakład miliona egzemplarzy. Nie było otwarcie faszystowskie, bo tego nie było wolno, ale było antyamerykańskie, wyśmiewało Kościół katolicki i wszelkie wartości, i głosiło, że wszystko jedno, tak się akurat złożyło, że okupują ich jankesi i Anglicy, a mogli równie dobrze okupować Niemcy i jedni drugich wari -a wszystko to obscenicznym językiem i ze sporym dodatkiem pornografii. Podobne pismo o nazwie „Harakiri” powstało w uśpionej powojennej Francji, bodajże istnieje do dziś, choć ten „pańswinistyczny” pazur po pewnym czasie stępsiał, tak jak podupadło „NIE”. Nie wiem zresztą, czy Urban sam to wymyślił od zera, czy się wzorował, ale powtarzalność historii jest wyraźna. Ale dla Michnika nie widać analogii. Michnik jest niepowtarzalny, rzeczywiście. Nie przypominam sobie takiego zdarzenia, aby po zwycięskiej rewolucji jeden z jej głównych ideologów tak jednoznacznie rozgrzeszył upadły reżim i wszystkich jego kolaborantów. Ale właśnie przez ten bezprecedensowy akt Michnik stał się dla tych ludzi bogiem. A przy okazji, powtórzę, pomieszał rolę polityka, bo polityk miał prawo powiedzieć, że w imię spokoju społecznego odpuszczamy sprawiedliwość, i moralisty, który nie miał prawa mówić, że sprawiedliwość przestała być sprawiedliwa, wczorajsze zło jest dziś dobrem, a wczorajsze dobro złem. To było fundamentalne naruszenie archetypu i okazało się dla polskiej duszy bardzo zgubne. Ja się zastanawiam, na ile historia transformacji mogła się potoczyć inaczej. Długo pokazywano (186) Czechy jako kraj, który lepiej poradził sobie ze skutkami komunizmu, ale to zwyczajnie nieprawda. Tamtejsze elity gospodarcze bardziej niż u nas zdominowali „ludzie mianowani na kapitalistów” pod koniec lat osiemdziesiątych. Nasza wersja prywatyzacji okazała się także lepsza od czeskiej kuponowki. Może rzeczywiście pozytywnego wariantu w tamtych czasach po prostu nie było. Coraz częściej o tym myślę. Ale sądzę, że rozsądną propozycją była wtedy opcja Jarosława Kaczyńskiego, który uważał, że trzeba przeprowadzić dekomunizację na wzór niemieckiej denazyfikacji. To, wbrew urobionej mu gębie, wcale nie był radykalizm; wykluczeni z życia politycznego i gospodarczego byłiby tylko jak w Niemczech ludzie najbardziej skompromitowani i odpowiedzialni za najcięższe zbrodnie, a dla pomniejszych kolaborantów ceną wybaczenia byłoby zdecydowane odcięcie się od przeszłości i jej jednoznaczne potępienie, zapewne w wielu indywidualnych wypadkach obłudne, ale pozwalające zachować imponderabilia. To byłby na pewno wariant o niebo lepszy dla III Rzeczypospolitej niż sytuacja obecna, gdzie dawni esbecy dysponujący mafijnymi powiązaniem kontrolują ważne segmenty gospodarki i beczelnie śmieją się w twarz uczciwym ludziom. A takie ścierwo jak sowiecki generał w polskim mundurze jest jeszcze zapraszane do Pałacu Prezydenckiego i przedstawiane jako patriota. To prawda, że środowisko „Gazety Wyborczej” do perfekcji opanowało wyśmiewaniejakichkolwiek teorii o kontrolowaniu przebiegu transformacji przez zakulisowe układy polityczne. (187)

Rozdział IX.

Pierwszy wyjazd do Stanów / demokracja w wydaniu amerykańskim / wzór republikańizmu / sposób na polityczną kampanię / piękni kongresmeni i ułomni asystenci / niemedialność Lincolna /

zwyczajna lokalna Ameryka / społeczne poczucie wspólnoty / błazenada Kościoła w USA / Polacy na czarno

00) W wielu twoich tekstach widać fascynację Ameryką. Poznałeś ten kraj dobrze? W Stanach Zjednoczonych byłem dwa razy. Pierwszy raz na zaproszenie National Forum Foundation, organizacji wspomagającej kraje dokonujące demokratycznej transformacji. To był dla mnie bardzo ciężki pobyt, właściwie mogę powiedzieć, że nigdy tak ciężko nie pracowałem, bo wybrałem się tam, nie znając dobrze angielskiego. Właściwie to zupełnie go nie znając. Właściwie to się zupełnie na ten wyjazd nie kwalifikowałem, ale udało mi się skutecznie zagrać, że trochę ten angielski znam. Przed rozmową kwalifikacyjną przygotowałem sobie po prostu w paru wariantach wypowiedzi mniej więcej na tematy, o które uznałem, że mogą mnie zapytać plus trochę takich grepsów, jak do nich przejść, jeśli jednak będą mnie pytać o co innego. Poprosiłem o przełożenie mi tego wszystkiego na angielski, zapisanie fonetycznie -i po prostu zakulem na pamięć. Powtarzałem zapamiętane słowa, nie wiedząc, co znaczą i kiedy już wystrzelałem właściwie wszystko, zrozumiałem z intonacji i gestów, że to wystarczy. Do dziś nie rozumiem, jakim cudem mogli się tak dać nabrać. A zaczęło się od UPR-u, bo to tam fundacja przysłała takie zaproszenie, że mają program dla (193)

młodych ludzi, którzy chcieliby się szkolić i to zaproszenie przez wiele rąk dotarło do mnie, trochę przypadkiem. Co ciekawe i charakterystyczne, oni wysyłali te zaproszenia do wszystkich polskich partii prawicowych, ale nikt się nie zgłaszał. Więc z tych ich stypendiów korzystali wyłącznie ludzie z Unii Wolności, a nawet z SLD. Kiedy spytałem Amerykanów, dlaczego, u licha, wspierają tylko socjalistów i postkomunę, zapewniali, że wysyłali wielokrotnie zaproszenia do wszystkich liderów polskiej prawicy, nawet dzwoniли do tych ugrupowań, ale nie było żadnego odzewu. Nie chciałem wierzyć, ale potem, po powrocie, trochę sprawdzałem i rzeczywiście tak było - przychodziły te kwity, trafiały na biurko prezesa i tam znikaly. Bo, jak się domyślam, prezes myślał sobie tak: sam przecież nie pojedę, a jak wyślę jakiegoś gówniarza, to potem będzie mi tu' podskakiwał, że on był w Ameryce i zna języki, a ja nie byłem i nie znam. A jeszcze czego -i do kosza ten papier. W taki sposób od samego początku troskano się o przyszłe kadry polskiej prawicy. Czym się zajmowałeś, będąc w Stanach? Najpierw pracowałem przy Kongresie, w NRCC -National Republican Congressional Comitee. Pracowałem to zbyt dużo powiedziane, po prostu chodziłem i .podglądałem. Amerykanie potrafią być bardzo życzliwi, jeśli tylko jesteś konkretny i umiesz rzeczowo wskazać, czego od nich potrzebujesz. Ja mniej więcej wiedziałem, więc pokazywali mi wszystko i objaśniali. NRCC, generalnie, i jego odpowiednik po stronie Demokratów, to są takie partyjne przedsię-

(194) biorstwa wspierające kongresmenów, a ten akurat dział, gdzie się znalazłem, stanowił dla nich zaplecze medialne. Jeśli któryś z Republikanów potrzebował materiałów reklamowych, reklamówki, ulotki, klipu, broszury, czegokolwiek, po prostu obstalowywał, co i na kiedy, a ludzie w NRCC to przygotowywali. To była dla mnie bardzo pożyteczna praktyka. Potem pracowałem w Partii Republikańskiej w Seattle w stanie Washington, to jest stan uchodzący za najbardziej liberalny w całej Ameryce zwykle na siedmiu przypadających nań kongresmanów co najmniej sześciu było Demokratami. A wtedy właśnie, w 1994 roku, był miejscem najbardziej spektakularnego zwycięstwa ludzi Newta Gingricha i jego "Kontraktu z Ameryką": na siedmiu kongresmenów ze stanu Washington aż sześciu było Republikanami. Tamtejsza Partia Republikańska uchodziła więc wtedy za wzór sukcesu i dlatego tam właśnie mnie fundacja wysłała. Co prawda, to też było interesujące, ale już nie tak pożyteczne, rozziw między polityką amerykańską a polską czynił wiedzę o tym wszystkim raczej teoretyczną ciekawostką, nijak się mającą do naszych realiów. Poza tym widziałem, jak cały zespół, który zrobił tę zwycięską kampanię wyborczą, był rozchwytywany przez rozmaite duże koncerty, które potrzebowały świeżej krwi w działach marketingu -i to też była jakaś lekcja, to, że dla Amerykanów nie ma żadnej sprzeczności między ideowym zaangażowaniem w politykę a robieniem dzięki niej kariery. Oni

byli konserwatystami, oczywiście, dlatego robili kampanię właśnie Republikanom, ale to, że dzięki temu dostaną znakomite posady, uważali za oczy-

(195)

wistą i słuszną nagrodę za wszystko, czego dokonali. Polskich obiekcji, że skoro coś robisz za pieniądze, dla awansu, kariery, to widocznie nie jest to szczere, zupełnie by nie zrozumieli. W objazdach politycznych po "terenie" towarzyszyłem Kenowi Eikenberry'emu, ówczesnemu szefowi Partii Republikańskiej w stanie Washington, i parę razy wystąpiłem na .fundraisingowych" "Lincoln dinner's", Przedstawiałem się wtedy, że przyjechałem do Stanów jako świnka morska, która ma być dla nich przestrogą przed socjalizmem. Bo to było trzy lata po wyborze Billa Clintona, który właśnie się brał do reformowania służby zdrowia, zwiększania pomocy socjalnej i silniejszej interwencji państwa w gospodarkę. Więc mówiłem na takich zebraniach, że ten eksperyment został już przeprowadzony na mnie i na moim kraju, i że mogę im zaświadczyć z całą pewnością, że te pomysły Clintona i Demokratów nie działają. Gdyby działały, to oni by z Ameryki wysyłali swoje dzieci, żeby się w Polsce uczyły, a nie ja bym przyjeżdżał tutaj. Taka wstępna nawijka generalnie otwierała kontakt z salą, z kolei Amerykanie naj chętniej rewanżowali się, mówiąc o papieżu, że to dla nich też wielkie natchnienie ... Więc na republikańskich spotkaniach w różnych hrabstwach stanowiłem pewną atrakcję, dość egzotyczną, bo to było przecież Zachodnie Wybrzeże, gdzie w gazetach niemal w ogóle nie podaje się informacji z Europy, bo nikogo nie interesują i mało kto o jej istnieniu pamięta. Dzisiaj myślę, że przed niektórymi rozczarowaniami, szczególnie w politycznie poprawnym światku Washingtonu DC, ocaliła mnie bariera ję-

(196) zykowa, bo kiedy słyszałem coś wyjątkowo głupiego, zakładałem, że widocznie-coś źle rozumiałem. To zresztą działało także w drugą stronę. Tylko raz, pamiętam, przyprowadziłem moich współpracowników o szok, kiedy skomentowałem wystąpienie czarnego działacza mówiącego w Kongresie, jakich to bezprecedensowych krzywd doznali amerykańscy Murzyni od białych i że nie ma takich sum, które by im to mogły zrekompensować, choć oczywiście każdą sumę chętnie wezmą, bo się należy. Powiedziałem coś w tym duchu, że krzywdy krzywdami, fakt, że przywieźli ich do tej Ameryki w łańcuchach, ale najważniejsze, że przywieźli -dzisiaj ludzie z całego świata robią, co mogą, żeby się tu dostać, więc jak komuś się nie podoba, to w ramach historycznej rekompensaty zaproponujcie mu po prostu bilet z powrotem do kraju przodków i zobaczymy, czy wielu będzie chętnych. Jankesi patrzyli na siebie z minami ludzi przerażonych, że to w ogóle słyszeli, jakbym sobie pozwolił na żart o towarzyszu Stalinie. W końcu ktoś westchnął i poprosił uprzejmie, że jako cudzoziemiec mogę sobie oczywiście pozwolić na więcej, ale oni bardzo proszą, żebym na przyszłość powstrzymywał się od takich wypowiedzi. Zauważ, że to byli Republikanie, jak na to stołeczne miasto -skrajni prawicowcy i oszołomy. Ale generalnie demokracja w wydaniu amerykańskim wydała ci się wzorem do naśladowania? Skutek pobytu był dokładnie odwrotny do zamierzonego; właśnie podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych w 1995 roku powziąłem życiową de-

(197)

cyzję, żeby nie dać się wciągnąć w politykę, chociaż to stypendium było przewidziane właśnie dla młodych polityków i budowania w Polsce nowoczesnej demokracji. Ale kiedy właśnie napatrzyłem się na politykę w amerykańskim wydaniu, rozumiałem, że to jednak już nie jest ta demokracja z papierów federalisty" i "Deklaracji niepodległości". Od czego by tu zacząć ... Na przykład od razu mnie uderzyło, że tamtejsi politycy wyglądają jak sklonowani. Każdy kongresmen musi być postawny, wysoki, przystojny, wysportowany, musi potrafić wypowiadać się w sposób doskonale płynny, przekonujący, wplatając odpowiednio żarty. Liczyło się tylko, jak gość wypada w telewizji, poza kamerą mogła z niego wylazić tępota. Zresztą i tak było oczywiste, że to tylko kukła, bo od

myślenia każdy z nich miał asystenta, który był przeważnie trochę łysawy, często niski, garbaty, podobny do naszych przywódców - słowem, miał jakiś fizyczny feler, który mu odbierał szansę na wyborcze zwycięstwo. I tak naprawdę to ten asystent był mózgiem, on robił politykę, z nim się rozmawiało o najważniejszych rzeczach. On mówił jednego dnia to, co kongresmeni mieli powiedzieć następnego. A sam kongresmen to był tylko awatar, przeważnie nie wiedział, jakie ma zdanie na dany temat, dopóki z tym facetem nie pogadał o danej sprawie. W ten sposób od razu się nauczyłem, do jakiego świata zmierzamy, i że niewiele to ma wspólnego z naszym wyobrażeniem o „upodmiotowionym społeczeństwie”, które rozstrzyga ważne kwestie w drodze publicznej debaty. Znany specjalista od wizerunku powiedział mi, że Abraham Lincoln, w opi-

(198) ni większości Amerykanów uchodzący za największego prezydenta w dziejach tego kraju, nie mógłby dzisiaj zostać nie tylko prezydentem, ale nawet burmistrzem, bo wyglądał jak kozioł i miał skrzeczący głos. W klipach wyborczych przeciwnika zostałby tak ośmieszony, że nie miałby absolutnie czego szukać w polityce, nikt by w ogóle nie pytał, co ma do powiedzenia. Kondycja ludzka tak bardzo się nie zmieniła od tamtych czasów, tylko pojawiła się telewizja. Ktoś zauważył, że w XIX wieku na wiecach debaty wygrywał wyższy, jeśli kandydaci stali obok siebie. Dlatego ja nie mówię tego w tonie narzekania, bicia w dzwony, po prostu tak jest i trzeba się z tym pogodzić. Demokracja to jest pewna idea, a żadna idea nie da się wcielić w życie w czystej postaci, w praktyce wychodzi zawsze co innego. Zdumiało mnie także, jak bardzo konserwatyści wydawali się przytłoczeni agresją liberalnych mediów spod znaku pięciu siostr; tak nazywano nieformalną koalicję dzienników "New York Times", "Washington Post" i stacji telewizyjnych -CNN, NBC, ABC. Te media starały się stworzyć wrażenie, że konserwatyści to jacyś dziwacy i starsi, gorzej wykształceni Amerykanie z małych miasteczek. Nasuwało mi to podobieństwo do sytuacji w Polsce, bo u nas, jak w Ameryce większość obywateli ma poglądy raczej prawicowe, a co najmniej tradycjonalistyczne, a przytłaczająca większość mediów ma proweniencję liberalno-lewicową i wręcz prowadzi wojnę z własnym społeczeństwem. (199)

Wtedy nie było jeszcze w Ameryce stacji Fox News, więc ten liberalno-lewicowy monopol w mediach był szczelny, tak jak u nas w latach dziewięćdziesiątych. Pewną odtwórczychrutkę stanowiło tylko "talk radio", bardzo specyficzna, amerykańska forma komunikacji masowej, takim "papieżem" tego medium był Rush Limbaugh, showman, który głosił szalenie niemodne prawicowe poglądy, a mimo to jego program zdobył ogromną popularność. Dzięki niemu miliony ludzi przestało się wstydzic, że należą do "ciemnogrodu". Faceta próbowano oczywiście zniszczyć przy różnych okazjach. W pewnym momencie przyznał się do uzależnienia od leków, więc gazety zrobiły z niego narkomana. Ale Limbaugh ciągle ma się świetnie. Gdy byłeś w Stanach, wtedy on jeszcze prowadził show telewizyjny, ale później powrócił do swojej audycji radiowej. Jego kariera jest rzeczywiście niesamowita, bo zaczynał w małej stacji radiowej, a od kilkunastu lat słucha go co tydzień prawie dwadzieścia milionów Amerykanów. To na nim wzorował się Wojciech Cejrowski, tworząc "WC Kwadrans". Ja też przeżyłem okres silnej fascynacji Rushem Limbaugh, przywiozłem z Ameryki jego różne nagrania. Ale forma takiego show nie bardzo mi odpowiada. Wolę publicystykę na serio od takiego pajacowania, choćby w słusznej sprawie. Pisałeś nieraz o tym, że bardziej podobała ci się ta zwyczajna, lokalna Ameryka. (200) Bo poza wielkimi miastami leży właśnie ta prawdziwa Ameryka, którą powinniśmy naśladować. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych, gdy pracowałem w "Kawie czy herbacie" pojechałem jeszcze raz za ocean i to był dla mnie dużo ważniejszy pobyt. Udałem się tam wraz z kamerzystą Krzysiem Bożymem robić program o amerykańskim samorządzie, o "korzeniach demokracji", na zaproszenie fundacji LGDP -Local Government Development Program. Pomysł wyszedł od jej działacza Jarka Chołodeckiego, solidarnościowego emigranta z jaruzelskim paszportem w jedną stronę, który zresztą potem wrócił do kraju i z tego, co wiem, bardzo pięknie, wedle amerykańskich wzorów, rozruszał lokalną demokrację na warszawskiej ulicy Smolnej. Połowę nakręconego wtedy materiału po powrocie zdążyliśmy zmontować i puścić, ale duża część się zmarnowała, bo mnie wyrzucili z TVP. Z programu więc niewiele wyszło, ale miałem okazję widzieć prawdziwą Amerykę. Zafascynowało

mnie, jakie oni mają ogromne poczucie wspólnoty i odpowiedzialności za swój kraj, za miasteczko, za siebie. Kiedy pojawia się jakiś problem, mieszkańcy Stanów zbierają się razem i go rozwiązują. Polacy zaś jęczą i co najwyżej wymyślą, żeby zablokować drogi, wtedy rząd zauważy ten problem i za nich go załatwi. Czasami śmieszne były te rozmowy, bo Amerykanie na przykład nie rozumieją zupełnie, dlaczego w Polsce nie wybiera się sędziów, szefa straży pożarnej, szefa pogotowia czy szefa wodociągów. Mówili: jak to jest, nie ma wyborów na te stanowiska? Przecież one są bardzo ważne! My często naprawdę nie rozumiemy takiego podejścia, bo wydaje się nam, że (201) ludzie mogliby wybrać jakiegoś idiotę, który im dużo naobiecuje, więc tu nie ma miejsca na wybory, tu musi być nominowany fachowiec. A Amerykanin odpowiada wtedy, że jeśli ludzie wybierają, to właśnie wtedy mamy gwarancję, że na stanowisku znajdzie się fachowiec -a jakby ktoś tam nominował, wówczas nie ma gwarancji, czym się w doborze kandydata pokierował. Im się nie mieści w głowie nasz sposób myślenia, a nam ich. To po prostu inny świat. Pamiętam, jaki szok przeżyłem, zwiedzając małe miasteczko pod Pittsburghiem, gdzie funkcjonowało społeczne pogotowie ratunkowe. Wybrani ochotnicy po prostu mieli wyznaczone dni dyżurów. Tak samo działa straż pożarna w mniejszych miejscowościach; no, tu akurat mamy coś wspólnego, w Polsce na wsi też jeśli coś społecznego istnieje, to właśnie OSP. Mnie zachwyca w Ameryce, że tam człowiek po prostu musi parę godzin w tygodniu poświęcić na pracę społeczną, bo inaczej nie byłby szanowany. Jeśli się nie udzielasz, to dla innych jest tak, jakbyś chodził niedomyty. Choć burmistrz Tinley Park, czterdziestotysięcznego miasteczka pod Chicago, bardzo narzekał, że coraz gorzej się dzieje, bo wielu nowych mieszkańców traktuje miasteczko tylko jako sypialnię. Skarżył mi się, że tak naprawdę w każdej chwili może liczyć jedynie na sześćset, siedemset osób. Dla niego taka liczba była świadectwem niezwykle mizernej aktywności obywatelskiej. A ja łapałem się za głowę i zastanawiałem, czy władarze Piaseczna czy Prusz-

(202) kowa, miast o porównywalnej wielkości, mogliby liczyć choćby na setkę rąk na każde wezwanie do zrobienia czegoś pożytecznego. Kiedy kręciliśmy ten cykl o lokalnej Ameryce, każdy jej mieszkaniec poświęcał średnio sześć i pół godziny tygodniowo na cele społeczne. Nawet jeśli pod tym względem w USA sytuacja się pogarsza, tamtejsi mieszkańcy są i tak niezwykle wspólnotowym i z ducha chrześcijańskim społeczeństwem. A Polacy w ogóle nie mają o tym zielonego pojęcia. Nam się wydaje, że Ameryka wygląda tak, jak pokazują ten kraj w serialach i filmach. Co ciekawe, ów burmistrz, zresztą nauczyciel w miejscowej szkole, pełnił swoją funkcję zupełnie społecznie jako tzw. part time major. Rada liczyła sześć osób, z których żadna nie brała złamanego centa za swoją pracę. Kasę pobierał menedżer miasta wyłaniany w konkursie. I ktoś taki jest dobrze opłacany, podobnie jak prawnik miejski, bo bez prawnika ani rusz. Rada miejska działa jak rada nadzorcza, ona rozpisuje konkurs na menedżera, ustala z nim warunki pracy i go kontroluje. Bo zarządzanie miastem to jest po prostu dziedzina wiedzy, którą nabywa się na studiach, a ich lokalna demokracja doskonale rozdziela egzekutywę od legislatywy. I skoro jesteś dobry, to wcale nie musisz być . "pniokiem" czy "krzokiem", urodzić i wychować się tam, gdzie chcesz wejść do lokalnej polityki. Oczywiście. Facet, który zarządzał w Tinley Park, wcześniej był menedżerem 'luquilli koło Seattle, którą miałem okazję odwiedzić podczas pierwszego amerykańskiego stypendium. Po prostu przeczytał (203) w gazecie, że Tinley Park poszukuje kogoś o jego kwalifikacjach i oferuje dużo lepsze warunki niż malutka , Tuquilla. Wysłał swoje papiery i zwrotną pocztą dowiedział się, że wygrał. Więc sprzedał zbędne już graty na garage sale, zapakował rodzinę w samochód i przeprowadził się na drugi koniec Stanów. Przed przyjazdem do tego kraju wiedziałem, że Amerykanie są bardzo nomadyczni, ale później zrozumiałem, dlaczego nie mają żadnych oporów przed ciągłymi przeprowadzkami. Przenosząc się w nowe miejsce, nie ryzykujesz samotności ani bezczynności. Kiedy człowiek przyjeżdża do nowego miasta czy gminy, to za pół godziny przychodzą do jego domu ludzie z jakiegoś lokalnego komitetu, żeby go przywitać, powiedzieć, co u nich na osiedlu i wciągnąć w lokalne sprawy. Pamiętam, kiedy ja zacząłem mieszkać w Pittsburghu. Od razu zainteresował się mną lokalny komitet parafialny. A

Kościół to jeszcze osobna historia. Zaszokowało mnie, że nawet jego sprawami zarządza się w podobny sposób jak sprawami miasta. Ksiądz jest wyłącznie od liturgii i spraw duszpasterskich, natomiast parafią zajmuje się rada parafialna. A radę parafialną stanowią oczywiście ci, których do niej wybrano. To do ich kompetencji należą wszelkie remonty, inwestycje, zbiórki pieniędzy itd. Natomiast u nas ksiądz proboszcz zajmuje się wszystkim, i cementarzem, i ślubami, i położeniem dachu, malowaniem kościoła i tak dalej. Mam zresztą takiego strasznie fajnego proboszcza pod Sadową w Łomnej, gdzie mamy ziemię, który jest właśnie takim księdzem budowniczym, nawet go ostatnio wplotłem w powieść. (204) Nie sądzę, aby ciebie -tradycjonalistę -jakoś szczególnie uwiódł Kościół amerykański. Rzeczywiście nie, bo amerykański Kościół katolicki w większości uległ posoborowej dezintegracji. Msza w katolickim z nazwy kościele w Seattle, w której uczestniczyłem, to była jakaś błazenada. W ogóle to nie była żadna msza, to był jakiś show. Ksiądz chodził i zagadywał. Żadnej liturgii, czytań, pełny luz i spontan, ludzie nie klękali przed sanctissimum, a kiedy ja uklękłem, to się rzucili na pomoc, że chyba coś mi się stało. Harmider, tupanie, ciasteczka, okrzyki "Jezus cię kocha" i takie tam pierdoły. Dla Polaka i katolika poważnie traktującego liturgię to nie miało nic wspólnego z mszą. Ale mam nadzieję, że była to bardzo nietypowa parafia, bo byłem w drugiej i ona była normalniejsza, choć porządek mszy także był jakiś dziwny. Ale skoro już mówimy, jak urządzone są te najważniejsze dla człowieka instytucje, nie można nie wspomnieć o szkole. Mało kto u nas wie, co to jest rada szkolna -to nie jest żaden komitet rodzicielski. Ona ma podobne kompetencje w stosunku do szkoły jak rada parafialna w stosunku do Kościoła, czyli po prostu jest to rada nadzorcza przedsiębiorstwa. Wybory do rady szkolnej w wielu miejscowościach łączy się z wyborami prezydenckimi po to, by podnieść frekwencję w tych drugich. Gdy elekcja prezydencka nie jest połączona z wyborami lokalnymi, to wybierać ojca narodu idzie ok. idzie trzydzieści -czterdzieści procent obywateli. W wyborach do rady szkolnej głosuje osiemdziesiąt procent ludzi -praktycznie wszyscy, którzy mają dzieci albo ich rodzina ma, a z rozpędu i reszta. (205)

Podstawa programowa jest wprawdzie narzucana przez państwo i o jej treść w wielu stanach toczy się zażarta wojna, bo wielu Amerykanów nie życzy sobie np. żeby uczyć ich dzieci teorii Darwina, która jest sprzeczna z Biblią. Ale całą kwestią funkcjonowania szkoły, zatrudnienia dyrektora, nauczycieli, ustalania ich pensji, czy wreszcie negocjowaniem pieniędzy z lokalnymi władzami zajmuje się rada szkoły, całkowicie demokratyczne ciało wybierane przez mieszkańców gminy czy hrabstwa. I to jest naprawdę szkoła publiczna. A u nas szkołą publiczną nazywa się szkołę państwową. Podobnie jest zresztą z lokalnymi szpitalami. Pewnie zetknąłeś się także z tym, że organizacje pozarządowe przejęły funkcje socjalne: robią to lepiej i taniej. W Teksasie uczestniczyłem w zawodach na szybką i solidną budowę domów dla biednych. Dwie drużyny społeczników rywalizowały ze sobą, ostatecznych zwycięzców wyłaniali inżynierowie odbierający budowę. Aktywność tych organizacji pozarządowych jest dość znana także w Polsce. Ale mało kto zdaje sobie u nas sprawę, że w Ameryce istnieje także państwowy socjał. TYLKO tam kieruje się go do naprawę potrzebujących. W gminie amerykańskiej ludzie mają świadomość, że to są ich pieniądze, w związku z czym pilnują ich wydawania. U nas jest tak: pieniądze idą do Warszawy, a potem ich część wraca w formie różnych dotacji. Daje się więc wszystkim, bo to nie nasze, tylko z Warszawy, a jak kto sobie umiał załatwić, no to tylko mu pogratulować. A w gminie (206) amerykańskiej daje się pomoc tym, którzy naprawdę jej potrzebują, wyłudzenie świadczeń jest naprawdę trudne i grozi karą. Skoro gmina redystrybuuje pieniądze podatników z tej samej gminy, lokalni urzędnicy wiedzą, komu dać, a komu nie, bo wszystkich znają. Reasumując: głoszę wszem i wobec, że Ameryka to świat dla Polaka niepojęty i ciągle jeszcze przez nas nie odkryty. Zabawne podczas tego reportażu było, że pilotujący nas Amerykanin zUSIA, nieistniejącej już agencji informacyjnej zajmującej się promocją USA za granicą, naustawiał nam głównie mnóstwo spotkań z miejscowymi Polakami, ale starałem się wytłumaczyć im, że ja mam Polaków, ile tylko chcę u siebie nad Wisłą, a tu przyjechałem po coś innego. Bardzo był tym zdziwiony. A drugie zdziwienie - że musieliśmy dokupywać profesjonalne kasety, bo te dziesięć półgodzinnych, które przywiozłem, wystarczyło nam tylko na pierwszy tydzień. Potem mi powiedział, że parę lat wcześniej mieli w ramach tego samego programu ekipę z TVP z redakcji rolnej, która nie nakręciła nawet czterech

kaset, bo przez cały pobyt praktycznie nie trzeźwiała. No i to określiło na pewien czas ich wyobrażenie o Polakach. Które, mam nadzieję, ja z Krzysztofem trochę wyprostowaliśmy. Myślę, że gdybyś nakręcił cykl o Polonii amerykańskiej, równie dobrze mógłbyś odkryć, że Polacy za oceanem są zupełnie inni, niż ich pokazują nasi filmowcy i pisarze. Pokazuje się Jackowo, a w Chicago wśród Polaków istnieje (207)

niezwykle silna klasa średnia. Wszystkie badania dowodzą, że w masie Polish Americans stanowią przeciętną w tym kraju, a nie doły społeczne, jak się nam wmawia. W niektórych rejonach należą do górnej klasy średniej. Ja też miałem to wrażenie, bo obracałem się wśród amerykańskich Polaków z nieco wyższej półki. Ta bogatsza Polonia po prostu jest mniej widoczna, bo wyprowadza się z takich dzielnic jak chicagowskie Jackowo czy nowojorski Greenpoint. I miejsce Polaków zajmują Latynosi. Negatywny stereotyp o nas bierze się m.in. z pewnych naszych cech narodowych. Strasznie psuje nam reputację fakt, że Polacy przodują w pracy na czarno. Statystyki są straszne; wśród naszych rodaków łamanie prawa pracy jest nagminne, częstsze niż w innych grupach narodowościowych. Ale kiedy spytałem urzędnika imigracyjnego, dlaczego tak się dzieje, on mi odpowiedział, że przedstawiciele innych nacji wcale nie pracują na czarno mniej, tylko strasznie trudno ich nakryć, bo żadna inna nacja nie donosi na siebie w takim stopniu jak Polacy. Czyli jesteśmy tacy jak inne narody, tylko że inni są bardzo solidarni, pomagają sobie, natomiast my namiętnie się podsrywamy; kiedy jeden znajdzie pracę, od razu trzech biegnie na niego z donosem. Ja na szczęście zetknąłem się z Polakami, którzy odnieśli w Stanach różne sukcesy, m.in. naukowe. To byli fajni ludzie, którzy się z założenia trzymali z daleka od wszystkich polonijnych organizacji, bo uważali, że to jest obciach i może im tylko przeszkodzić w karierze. Ale zauważyłem, że wszyscy ci ludzie mieli ogromną potrzebę ciągłego opowiadania o swoich sukcesach, (208) jakby musieli ciągle udowadniać, że im się udało. Jakoś miałem wrażenie, że robią to, by przekonywać samych siebie, że wyjazd z kraju miał sens. Bo jednocześnie sprawiali wrażenie wyobcowanych. To mnie przekonało, że emigracja jest czymś strasznym i że nigdy w życiu nie chciałbym się znaleźć na stałe na obczyźnie. (209)

Rozdział X.

Polski alkoholizm / libertarianizm i zdrowy rozsądek / Bąsik, Bratko, demaskatorzy systemu / anty-"Solidarność" / państwo odpowiada za wszystkich / KRUS, czyli rozbój w biały dzień / gospodarka to mrowisko / kartel PO / polityka gabinetowa / pobożna lewica, czyli PiS /fińska potęga państwa (212) Czy miałeś kiedyś problemy z publikacją swoich tekstów w gazetach, w których pisywałeś? Chyba tylko raz. I, o dziwo nie chodziło o żaden z tekstów, w których jeździłem po premierze, prezydencie czy innych oficjelach. Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych doczepiła się do mojego artykułu o Bourbonach i kilka kolejnych redakcji wycofało się z druku, nie chcą mieć z nimi problemów. Antyalkoholowi maniacy na ciepłych posadkach ubzdurali sobie, że to promocja alkoholizmu, bo jak wiadomo, on polega właśnie na tym, że ludzie piją jakieś wymyślne bourbony. Alkoholicy dla państwa polskiego to nie są ci, co ćwiczą alpagę po bramach czy gorzałę pod chuch. Nie. PARPA zajmuje się właśnie zwalczaniem sklepów z wysokiej półki, sprzedaży alkoholu w Internecie i przeciwdziałaniem, żeby przypadkiem nie zamieszczono gdzieś informacji, jaki alkohol podajemy do jakich potraw, z czego się robi kadzie fermentacyjne w Kentucky albo które gatunki w czym leżakują. Bo przecież wiadomo, że spośród półtora miliona ludzi, którzy według statystyk regularnie się w Polsce upijają, większość sprowadzona została złą drogą właśnie przez taki artykuł w gazecie czy czasopiśmie. Wstrząsający przykład socjalistycznego obłędu! (213)

Twoje picie się skończyło z powodów zdrowotnych, więc zostało ci pisanie o picciu, Generalnie mogę sobie pozwolić na dwie, trzy małe wódki albo pół butelki wina, tyle jest dopuszczalne przy cukrzycy. Niewiele, ale ja nigdy nie piłem w tzw. niszczący sposób, wyjąwszy okres życiowej niestabilności. Ja jakoś jestem za prostym człowiekiem na alkoholizm. Zawsze piłem dość dużo, ale nigdy się nie uzależniłem. Skoro więc musiałem przestać pić, to przestałem bez większego wysiłku. Odchudzanie było dla mnie dużo trudniejsze -więc naprawdę nie mam sobie czego rekompensować. Sam nie znoszę zresztą towarzystwa "zaszytych" alkoholików, którzy mają manię pojenia innych i nie potrafią gadać o niczym innym, tylko o tym, jak strasznie pili, kiedy pili. A ten tekst, nawiasem

mówiąc, napisałem, jeszcze kiedy nie wiedziałem o swojej chorobie, tylko przez mędrców z PARPY czekał na druk prawie rok. Rozumiem, że nie ograniczałyby reklamy alkoholi zgodnie z libertariańską zasadą, że nic człowieka nie uchroni przed nim samym. Ostatnio widziałem w Internecie film o organizacji LEAP -Law Enforcement

Against Prohibition, organizacji byłych policjantów walczących przeciwko prohibicji narkotyków. Przekonali mnie prawie, że większość problemów jest spowodowanych ściganiem tego procederu. 1\! libertarianizm nie ma nic do rzeczy, to mówi po prostu zdrowy rozsądek. Ściganie narkotyków jest bardzo trudne i pokazuje, dlaczego starożytni byli na tyle mądrzy, że sformułowali prawniczą (214) zasadę, że chcącemu nie dzieje się krzywda („Nolenti non fit iniuria”). Ciężko jest złapać handlarza narkotyków, ponieważ klient, któremu on sprzedaje narkotyki, nie uważa go za swojego krzywdziciela. Przeciwnie, widzi w nim dobrodzieja. Więc nie skarży się, nie chce żeby go złapano, nie chce, żeby przeciwko niemu zeznawać. Żeby rozbić solidarność między dilerem a jego klientami, trzeba używać prowokacji, agentury ... Powszechnie wiadomo, że Al Capone został skazany za szwindle podatkowe, ale nie wszyscy wiedzą, dlaczego. Zgodnie z amerykańskim prawem gangster musiał być sądzony w Chicago, przez ławę przysięgłych dobraną spośród miejscowych obywateli. I Elliot Ness, agent federalny, który wsadził Capone'a do pudła, podejrzewał z dużą dozą słuszności, że jakby nie kugłować przy doborze ławy przysięgłych, i tak znajdą się w niej ludzie uznający szefa włoskiej mafii za swojego dobrodzieja, bo dzięki niemu w Chicago można się było w miarę bezpiecznie napić piwka i lepszych trunków. Dlatego oskarżono go o okradanie skarbu państwa, co narzucało zupełnie inną procedurę. Usiłuję po prostu ustalić, na ile twoja prywatna kampania w obronie sklepów z dopalaczami wynikała z głębszych przekonań, a na ile z niechęci do rządu Tuska. Kampania to dużo powiedziane ... Zgłosiłem oficjalnie Dawida Bratko, organizatora tego interesu z dopalaczami do Nagrody Kisiela, co wywołało szok i oburzenie kapituły -więc musiałem potem wyjaśnić w publicystyce swe motywy. Kisiel przecież nie chciał trzymać z "dobrym towarzystwem", dlatego stwo-

(215)

rzył swoją prywatną, antyestablishmentową właśnie nagrodę. Zobacz laureatów z tych pierwszych dwóch edycji, kiedy to on sam o tym decydował. Nie ma tam Mazowieckiego, Balcerowicza ani nikogo takiego; za to jest Mieczysław Wilcz'ek, minister w rządzie Rakowskiego, Rafał Krawczyk, ekonomista, który plan Balcerowicza krytykował, za co go obłożono do dziś obowiązującą medialną anatamą, Korwin-Mikke i Sławomi/Bagsik. Ten Bagsik od "oscylatora", i właśnie za "oscylator". Młodszym przypomnę, że "oscylator" to był taki numer firmy tego pana, który polegał na tym, że wpłacali duże pieniądze do banku, potem zaraz wypłacali je, wieźli w walizie do następnego i tam tak samo, i w ten sposób, ponieważ PRL-owskie banki naliczały procenty od daty dziennej, ta sama kasa była jednocześnie oprocentowana na pięciu kontach w pięciu bankach. Kisiel wyróżnił go za skompromitowanie i zdemaskowanie socjalistycznego absurdu. Z takim samym uzasadnieniem zgłosiłem Bratko, oczywiście nikt mnie nie poparł; mówię "oczywiście", bo Nagroda Kisiela zmieniła się w wyróżnienie salonowe przyznawane, establishmentowi; rzecz jasna, syn Kisiela ma prawo do dysponowania jego nazwiskiem, ale moim zdaniem to, co wyrabia obecna większość w kapitule, ma z Kisielą tylko wspólnego, co kiedyś rozmaite akademie marksizmu z Marksem ... Chciałeś go nagrodzić za wykrycie niszy rynkowej, czy też uważasz, że dopalacze to mniejsze zło? Bo tu akurat przykład holenderskich coffe shopów pokazał, że miękkie narkotyki nie są wcale mniej groźne od twardych. (216) Miękkie, twarde, pewnie jedno świństwo. I pewnie, że nie podoba mi się, że smarkacze szprycują się jakimiś truciznami. Ale z dwojga złego lepiej, żeby te substancje były pod jakąś tam kontrolą, na takiej samej zasadzie jak wódka, a jeśli się wszystko totalnie zdelegalizuje, wówczas staje się to domeną mafii. Podejrzewam zresztą, że drugie dno tej afery z Dawidem Bratko jest właśnie takie, że on po prostu popsuł interesy mafii narkotykowych. Wszyscy policjanci, których o to pytałem, mówią, że w miarę jak wzrastała liczba sklepów z dopalaczami, spadała sprzedaż amfetaminy. Cholera, nie muszę zresztą pytać policjantów. U mnie na wsi, gdzie życie towarzyskie młodzieży skupia się na przystanku autobusowym, zawsze w

sobotnie i niedzielne wieczory ustawiał się w lesie obok tego przystanku samochód z dresiarzami, u których ci szczawie zaopatrywali się przed imprezą. Potem na jakiś czas przestał przyjeżdżać. A teraz, kiedy rząd odniósł w walce z dopalaczami wielki sukces, znowu przyjeżdża. Za mniejsze zło, ale jednak zło, także należy się nagroda? Jeśli rzeczywiście facet popsuł interesy mafii i jeszcze przy tym ośmieszył nieudolność państwa? Chociaż być może prawdziwa jest spiskowa teoria, wedle której Bratko był tylko słupem, dzięki któremu to właśnie mafia prowadziła cały ten interes. Ja w to wątpię, gdyby to była mafia, te sklepy by istniały nadal takjak "salony gier zręcznościowych". Nie chodzi zresztą o tego akurat człowieka, chodzi o to, że jeżeli istnieje potężny popyt i nie zostanie on zaspokojony w legalnej przestrzeni, wtedy (217) pojawi się mafia, która będzie chciała na tym zarobić. I zgarnie jeszcze premię za ryzyko. Skoro nie ma pokrzywdzonego, to skuteczność ścigania jest niska, wpada może co dwudziesty, niechby nawet co piąty diler. Żeby nadrobić słabą wykrywalność, soli się więc surowe kary, a to zwiększa cenę i zarobek. A przy dużym zarobku zawsze znajdują się ludzie gotowi ryzykować nawet duży wyrok, bo widzą sporą szansę, że im się uda -wielkie ryzyko oznacza także wielki zysk. Żeby go maksymalizować, mafia nie liczy się z niczym, wchodzi na przykład z narkotykami do szkół. Błędne koło. Ale takich zdroworozsądkowych rzeczy nikt nie chce słuchać. Władza musi okazać siłę i zdecydowanie, by podobać się masom. W tej dyskusji do niczego nie dojdziemy. Jeden specjalista powie, że dopalacze to mniej szkodliwy substytut twardych narkotyków, a drugi -że od nich zaczyna się droga ku najbardziej toksycznym dragom. Mam inne pytanie: czy ty swoje poglądy wolnorynkowe zmieniłeś choćby trochę od początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy wstąpiłeś do UPR-u? A co mówiła UPR o narkotykach? Że niech będą legalne, byle służba zdrowia była oparta na zasadach rynkowych, a nie socjalnych, bo teraz jest tak, że palant najpierw ćpa i rujnuje sobie zdrowie, a potem jest leczony za moje pieniądze. Tak, nadal uważam ten pogląd za słuszny. No, a bardziej ogólnie -pewnie nie jestem już tak ortodoksyjny jak za młodu, bo człowiek młody bardziej jest skłonny przyjmować jako swoje idee w stanie czystym. Ja nigdy nie byłem (218) jakimś liberałem doktrynalnym, u mnie zawsze poglądy wolnorynkowe wynikały z przekonania, że to jest dobre dla Polski. Każdy Polak mówi, że chce dobrze dla Polski, secesjoniści z PiS-u nazwali swoją partię "Polska Jest Najważniejsza" ... Dobrze, ale pytanie, jak to dobro Polski się rozumie. Ja jestem za wolnym rynkiem, bo po prostu uważam, że tylko wolny rynek przyniesie Polsce cywilizacyjny rozwój. W 1990 roku Milton Friedman mówił nam, że jeżeli Polska chce być bogata, powinna robić to, co kraje bogate robiły wtedy, kiedy były biedne, a nie to, co kraje bogate robią dzisiaj. I to mi się wydaje oczywiste i właśnie zdroworozsądkowe. Znalazłem się w UPR-ze nie na skutek jakichś ideologicznych rozważań czy głębokich przemyśleń; pamiętam, że jeszcze w wojsku gdy były jakieś takie rozmowy z kolegami podchorążymi, ja się deklarowałem jako chadek, bo to określenie mi się podobało; bo "demokracja" to brzmi fajnie, a "chrześcijańska" pasuje, skoro jestem katolikiem. Ideologie, filozofie, nigdy mnie to wszystko nie pociągało, konserwatywnym liberałem poczułem się też dopiero po jakimś czasie bytności w UPR. A poszedłem tam, bo po prostu mój zdrowy chłopski rozum z Czerwińska bardzo pozytywnie reagował na wypowiedzi Janusza Korwina-Mikke, który często pojawiał się w telewizji pod koniec lat osiemdziesiątych Korwin cieszył się wtedy jakąś dziwną sympatią Urbana, który był szefem Radiokomiteu i pozwalał mu pojawiać się niezwykle często w TVP. Może to było takie wyrachowanie, bo on przecież ostro atakował "Solidarność" od prawej strony. Pamiętam z tamtych czasów taką historię, kiedy pod-

(219)

czas dyskusji telewizyjnej usadzono Korwina tak, że w niektórych ujęciach widać było za nim napis "Solidarność". Związek wystąpił z oficjalnym protestem, że ten pan z nimi nie ma nic wspólnego i niech się nie podszywa. A ten przytomnie im odpowiedział, że nigdy do głowy by mu nie przyszło z własnej woli siadać na tle czegokolwiek czerwonego. Ale ten akurat przekaz antysolidarnościowy mnie nie porywał, bo "Solidarność" była dla mnie symbolem narodowym. Podobnie jak wielu ludzi nie kojarzyłem jej ze związkiem zawodowym, tylko z ruchem patriotycznym, wyzwolenicznym.

Zniechęcały mnie też do Korwina jego demonstracje lojalności wobec Jaruzelskiego jako prezydenta, pisanie "demokracja" jako "d ... kracja" i inne takie prowokacje. Ale to, co mówił o gospodarce, choć radykalne, to były rzeczy bardzo zdroworozsądkowe i generalnie nadal się pod nimi podpisuję. Choć widzę dzisiaj więcej pól, na których państwo powinno dokonywać interwencji. Na przykład? Na przykład media. Wiara w to, że wolny rynek jest w stanie je wyregulować, okazała się, niestety na wyrost. Poza tym jestem skłonny dzisiaj się zgodzić, że nie można uciec od pewnych instytucji socjalnych. To jest w UPR-ze "myślbrodnia", partia trzyma się tu liberalnej ortodoksji, że państwo powinno być tylko "nocnym stróżem", to znaczy w praktyce zajmować się tylko bezpieczeństwem. Kto się nie ubezpiecza, sam sobie jest winieni jak zachoruje albo się zestarzeje, niech zdycha, zasłużona kara za bezmyślność. Owszem, dwa-

(220) dzieścia lat temu tak właśnie myślałem. Dzisiaj bliższe jest mi podejście, które znam z materiałów brytyjskich konserwatystów, żeby patrzeć na całą strefę socjalną, również jako na sferę świadczonych przez państwo usług. To znaczy usług, które państwo może organizować bądź gwarantować, nie łamiąc mechanizmów rynkowych. W miarę możliwości starać się, aby np. funkcje opieki społecznej znajdowały się na poziomie samorządu, bo gmina jest najbliżej, najlepiej wie, jak podzielić pomoc. Wspominałem już, że obserwowałem, jak to się dzieje w Ameryce, bo tam rzeczywiście ten system działa. Stany Zjednoczone są bardzo socjalistycznym krajem, jak zauważył Korwin, i w tym wypadku miał rację, chociaż ja jej za to nie potępiam. Bo Ameryka jest socjalistyczna w sposób oddolny. Bardzo przypomina pod tym względem kraje skandynawskie. To częsty obrazek: dziewczyna ze swoim chłopakiem nie bierze ślubu, bo dostaje dodatkowy zasiłek pięćset złotych dla samotnych matek. A faktycznie są rodziną: mieszkają razem i jest im dobrze. Podobne regulacje przyniosły lawinowy wzrost rozwodów na Zachodzie przed wielu laty. Niczego nas to nie nauczyło. Polak nie potępi drugiego Polaka za na przykład wyłudzenie zasiłku, bo to są pieniądze państwowe, z Warszawy, czyli w powszechnym przekonaniu niczyje. Zupełnie inna sytuacja niż w USA, gdzie gmina przyznając komuś zasiłek, przyznaje go z pieniędzy twoich i twoich sąsiadów, więc jeśli widzisz, że obdarowany, dajmy na to na okoliczność choroby, w rzeczywistości tylko symulował, to reagujesz. Zresztą nawet (221) jeśli wyłudzone są pieniądze federalne, Amerykanie też reagują, mają poczucie, że ich się okrada. U nich państwo to wciąż jeszcze wspólne dobro. Nam, pisałem o tym dużo w "Polactwie", jawi się tak, jak fernalowi dziedzic. Z jednej strony oczekujemy od niego opieki, z drugiej czujemy się przez nie wykorzystywani, więc przyznajemy sobie prawo, żeby "odkładać" swoje. Zrobiłem się dużo mniej ortodoksyjny, odkąd uznałem, że państwo w jakiś sposób musi odpowiadać za wspólnotę. Nie powinno samo wykonywać funkcji socjalnych, ale powinno dopilnować, żeby owe funkcje były wykonywane w sposób prawidłowy. Przynajmniej dopóki Polacy nie osiągną tego poziomu świadomości obywatelskiej i samodzielności życiowej, jaki cechuje Amerykanów. Niestety, mamy takie, a nie inne uwarunkowania historyczne sprawiające, że Polacy mają takie, a nie inne oczekiwania wobec państwa. Dzielimy je zresztą z całą Europą. Za oceanem państwo tworzyli pionierzy, którzy odrzucili monarchę, a w Europie państwo to był król, od którego poddani przywykli oczekiwać wsparcia w potrzebie. Jeśli ktoś chce poważnie myśleć o reformie państwa, nie może, tak jak my w czasach UPR-u robiliśmy, machnąć ręką na oczekiwania wyborców i po prostu uznać, że są głupie. Lech Kaczyński wygrał z Donaldem Tuskiem w 2005 roku, bo wmówił mu, że jego własna partia jest przeciwko powszechności systemu emerytalnego. Powiedział: ludzie nie myślą o emeryturze do pięćdziesiątki, a potem jest już za późno i stają się na starość obciążeniem dla państwa. Dzisiaj zgadzasz się z tym poglądem? (222) Ani dziś, ani wtedy się nie zgadzałem. Akurat z emeryturami to czysto akademicka rozmowa, bo systemu kapitałowego nie da się utrzymać z przyczyn zasadniczych, matematycznych. Jedyne rozwiązanie to zupełnie zlikwidować emerytury i wypłacać na starość z budżetu państwa niewielki socjalny zasiłek tym, którzy nie mają innego źródła utrzymania. Jak w Kanadzie. I to prędzej czy później trzeba będzie zrobić, tylko żaden polityk nie ma odwagi powiedzieć ludziom prawdy. Wszyscy w ogóle uprawiają politykę, mówi się o jakichś "składkach", a to w istocie nie są żadne składki, tylko zwykły podatek,

zużywany na bieżąco, bo te wszystkie rzekome lokaty to tylko papier, który w perspektywie kilkudziesięciu lat niczego nie gwarantuje. A ty kiedy się zacząłeś ubezpieczać? W ogóle nie zacząłem. Wykorzystując lukę w prawie, która uniemożliwia objęcie tym "dobrodziejstwem" człowieka żyjącego wyłącznie z honorariów autorskich, co z punktu widzenia prawa jest dochodem takim samym, jakbym wyprzedawał meble albo srebra, byłem przez wiele lat niezarejestrowanym bezrobotnym. Dopiero kiedy ożeniłem się z dziedziczką hektarów, dopadli mnie i "ubezpieczyli" w KRUS-ie. Co uważam za zwykłą, zalegalizowaną konstytucyjnie kradzież, tyle że na mniejszą skalę niż w ZUS-ie; jak tylko będzie możliwość się z tego rzekomego dobrodziejstwa wy miksować, zrobię to w minutę osiem. Ja wierzę tylko w, jak to nazwał minister Rostowski, "czwarty filar". To znaczy, moje ubezpieczenia siedzą w tej chwili w salonie i oglądają bajkę o syrence Arielce. (223) Przyszłe pokolenie może nie udźwignąć naszych długów. Przyznaj się, że chomikujesz na otworzenie jakiegoś małego interesu. W życiu. Nie mam głowy do interesów, natomiast mam jakiś taki dziwny układ z Panem Bogiem, że jeśli tylko nie myślę o pieniądzach, to one są. Mam po prostu robić swoje, pisać, i jak dotąd zawsze znajduje się ktoś, kto to pisanie kupuje i płaci honorarium. Raz w życiu zacząłem kombinować, żeby zarobić i ostrzeżenie od opatrności dostałem bardzo wyraźne. Co ci nie przeszkadza bardzo chętnie się wypowiadać o gospodarce i to z pozycji eksperta. Bardzo przepraszam, tylko nie eksperta. Nigdy takowego nie udawałem. No jak to? "Informator ekonomiczny Trójki", kilkadziesiąt artykułów ... Trochę to dziwne w wypadku polonisty, który na dodatek chwali się, że zupełnie nie ma głowy do pieniędzy. Komentator ekonomiczny to nie ekspert, to są zupełnie różne funkcje. Ekspert to ktoś, kto jest ekonomistą, najlepiej profesorem albo praktykiem i dzieli się wiedzą fachową. A komentator, dziennikarz ekonomiczny jest kimś, kto przekłada jego słowa na język zrozumiały dla ludzi. Brak jakiegokolwiek ekonomicznego wykształcenia nie tylko nie jest tu przeszkodą, ale wręcz warunkiem sukcesu. Chodzi o to, że na studiach ekonomicznych człowiek nasiąka żargonem fachowym i ani nie umie mówić o tych sprawach inaczej niż żargonem, ani nie rozumie, że dla innych ten swoisty idiolekt jest niezrozumiały. (224) A ja jako polonista musiałem się w to wszystko wgryźć już jako człowiek dojrzały, zrozumieć, a więc niejako najpierw wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi, samemu sobie. Dlatego później stosunkowo łatwo mi było tłumaczyć to innym. Ale powtarzam, jako dziennikarz piszący o ekonomii ja tylko popularyzuję opinie fachowców, nie rozstrzygam niczego sam. To co jest w ekonomii najbardziej warte spopularyzowania? Genialna w swej prostocie maksymę śp. Krzysztofa Dzierżawskiego, że "gospodarka to nie lokomotywa, gospodarka to mrowisko". Najbardziej trzeba ją wbijać w głowy samym ekonomistom. Oni, niestety żyją w złudzeniu, bo tak są kształceni, że gospodarka to maszyna, której każda część działa zawsze tak samo, wszystko jest przewidywalne, jeśli podkreścimy śrubkę o tyle i tyle, wówczas w efekcie otrzymujemy taką a taką zmianę parametru. A tymczasem gospodarka to miliony ludzi, którzy w każdej chwili podejmują decyzję, czy zarobić, czy się lenić, czy pożyczyć, czy chomikować, czy wydawać, na co wydać, komu na jakich warunkach pożyczyć ... I niekoniecznie są to decyzje przewidywalne i racjonalne. Można w tym ruchu zaobserwować pewne prawidłowości, można go z grubsza opisać, ale właśnie tylko z grubsza. Co chwila zdarza się, że wedle wszelkich profesorskich wyliczeń powinno wyjść tak, a wychodzi siak. Przeszkadza mi u ciebie i u innych publicystów, że po prostu raz powziętego zdania nie (225)

zmieniacie. Często mówisz, że PO to kartel, który sprzyja biznesowym magnatom. Ale z twoją tezą o postępującej oligarchizacji kłóca się niektóre fakty, np. odmowa sprzedaży koncernu energetycznego Enea Janowi Kulczykowi. A czego to dowodzi? Że przestał już działać system, w którym wielkie pieniądze rodzą się z dobrych kontaktów z władzą, czy że obecna władza ma swoich Kulczyków i ci, co się blatowali z kwaśniewszczyzną, muszą się odsunąć? Przecież tu nie chodzi o nazwiska, chodzi o mechanizm. W kabarecie Pod Egidą opisywałem go takim żartem, czym się różni biznesmen III RP od amerykańskiego. TYm, że o amerykańskim mówi się, że pierwszy milion ukradł, a następnie zarobił uczciwie. A taki na przykład Kulczyk pierwszy milion dostał od ojca. A resztę ... O reszcie już nie było mowy, publiczność od razu w tym momencie wybuchała śmiechem. Nie wyobrażam sobie, że po prostu kiedykolwiek mógłbyś choćby za tę

decyzję w sprawie Enei pochwalić Aleksandra Grada, obecnego ministra skarbu. Albo zajęgo działania w sprawie Eureko. Oni jednak wyciągnęli największego polskiego ubezpieczyciela z tego bagna, w które wpuścił nas Emil Wąsacz, minister skarbu w rządzie Jerzego Buzka. To nie jest tak. Nie nazywam PO kartelem, dlatego że po prostu jej nie lubię. To nie jest sprawa osobista. Tak jak u wielu Polaków mieli u mnie wielki kredyt zaufania, sam kiedyś na tę partię głosowałem ... (226)
Zaraz spadnę z krzesła. Kiedy? Chyba zaraz po jej powstaniu, w wyborach 2001 roku? Szczerze mówiąc, nie pamiętam, na kogo postawiłem przed dziesięciu laty. Na pewno głosowałem na PO w 2005 r. w wyborach parlamentarnych. Bo w prezydenckich, które odbyły się w tym samym czasie, na Lecha Kaczyńskiego; Tusk nie wydawał mi się od początku dobrym kandydatem na najwyższy urząd w państwie. Ale uważałem, że jest on po tej samej stronie co ja. Mam zresztą w teczce jego wywiady z tamtych czasów, w których, gdyby zasłonić nazwisko i zdjęcie wywiadowanego, każdy by powiedział, że to rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim. Że trzeba rozwalić układ, który Polską rządzi, że w tym celu należy rozwiązać Wojskowe Służby Informacyjne. Opowiadał także o tym, że największym błędem było zaniechanie lustracji i dekomunizacji. Cała PO mówiła wtedy „Pi Swojskim” językiem, a Tusk licytował się w nim z Rokitą. Tusk jest dzisiaj zdecydowanym szwarczakiem twojej publicystyki. Bo to kolejny w naszym życiu publicznym oszust i zdrajca, który kompletnie olał oczekiwania, na których grał, wspinając się do władzy. Totalny koniunkturalista. Gdyby sondaże nagle pokazały, że ojciec Rydzyk stał się idolem' dziewięćdziesięciu procent Polaków, to Tusk pierwszy pędziłby do Torunia pocałować go w pierścień i sypałby gwoździe pod koła Kaczorowi, żeby go nie wyprzedził. Ta partia budziła także moją sympatię, bo byli tam tacy ludzie jak Radek Sikorski, który był wcześniej sympatycznym antykomunistą, czy [u-

(227)

lia Pitera, którą znałem z UPR-u. Wszystko się, niestety okazało totalnym rozczarowaniem. Stało się jasne, i to bardzo szybko się stało jasne, że to nie żadna "platforma", nie żaden "ruch obywatelski", tylko dwór, żeby nie powiedzieć wprost, mafia, której chodzi tylko o opanowanie państwa i jego dojenie. I wtedy warunkiem trwania w poparciu stało się wyłączenie sobie mózgu narracją o strasznym Kaczorze, od którego wszystko lepsze. I większość tak zwanych elit ochoczo je sobie wyłączyła. Myślę, że zapłacą za to totalną utratą wiarygodności i odrzuceniem. To ciekawe, PO rzeczywiście próbowała najpierw budować wizerunek partii jeszcze bardziej zdecydowanej tworzyć IV RP niż PiS, ale sukces odniosła, dopiero kiedy się sformatowała jako jej nieprzejednany przeciwnik. Najwyraźniej uświadomili sobie, że w postulatach przeprowadzenia lustracji, dekomunizacji i walki z wpływami służb specjalnych PiS było zawsze bardziej wiarygodne. Wyczuli zmianę nastrojów społecznych, którą Kaczyński kompletnie przespał i powtórzył w 2007 roku wiernie kampanię sprzed dwóch lat. W kwestii Jarosława Kaczyńskiego też, od razu uprzedzę twoje pytanie, nie zmieniłem zdania. Jego żywiołem jest polityka gabinetowa, w komunikacji społecznej jest bardzo nieporadny i to w obie strony -ani nie umie odczytywać nastrojów ludzi, ani samemu dobrze się im zaprezentować. Wydaje mu się, że okazuje powagę, stanowczość i zdecydowanie, a ludzie widzą w tym nadąsanie, kłótniwość i małostkowość. (228) Rozmawialiście kiedyś? Kilka razy pewnie tak, ale naprawdę incy-

dentalnie. W każdym razie do Lucienia nigdy mnie nie zapraszano, tak samo jak na inne salony, i słusznie, bo tak samo bym nie pasował. Przypuszczam zresztą, że miałem u obu Kaczyńskich przechlapane jako ten, który krytykuje brata. Oni mieli zawsze coś takiego, że jak powiedziało się o jednym coś złego, to on ci mógł wybaczyć, ale drugi zapamiętywał słowa na zawsze. A ja o Jarosławie napisałem kiedyś, że jest człowiekiem, który ukradł Polsce prawicę. Po prostu wyeliminował wszystkich i zajął tę niszę siłą rzeczy, chociaż akurat wydawał się najmniej udanym, najmniej pasującym do tego kandydatem. Pamiętam, że ogłosiłeś "Konkurs na mendę internetową". Obiecywałeś nagrodę za wskazanie jednego cytatu, w którym wychwalasz Jarosława Kaczyńskiego.

Aż tak łąka "człowieka Kaczora" ci doskwiera? Bo to, insynuacja. Nie jestem niczym człowiekiem, a już na pewno nie żadnego z rozgrywających polityków. I zwracam uwagę, że nikt nie zdołał znaleźć takiego cytatu, pomimo że nagroda była cenna: kryształowy kaczor na srebrnych łąpach -karafka na wino. Może irytuje cię w Kaczyńskim, że on nadal jest, wbrew twoim zapowiedziom sprzed kilku lat, iż skończył się definitywnie i niebawem zostanie zmieciony ze sceny politycznej? Uważałem, że nie ma szans powrócić do wła-

dzy, a więc się rozsądnie wycofa z polityki. Nie doce-

(229)

niłem, przyznaję, ani jego determinacji ani odporności na ciosy, ani siły przywiązania tej części Polaków, których od dwudziestu lat usiłuje się wykluczyć jako "polskie NRD", wymierającą resztkówkę po PRL-u, która musi zniknąć, żeby transformacja mogła się dokonać. Albo może zręczności, z jaką Kaczyński umiał się stać jej jedynym liczącym się wyrazicielem. A jednak trochę sympatii do niego żywisz. W jednym z felietonów piszesz z pewną dozą admiracji, że mówi zawsze to, co myśli, choć w profesji polityka, zwłaszcza podczas prowadzenia negocjacji to najgorsza cecha. Ty też walisz prawdę między oczy, ajak kogoś nie Lubisz. 888#u s h l l" b l" u ISZ, używasz mocnych słów: "mato ,, awo , d ". "men a ltp. Kiedy mam do czynienia z matosem i mendą, to co mam pisać? Co do Jarosława Kaczyńskiego, uważam, że to ciekawy człowiek, skomplikowany i na swój sposób wielki. Można go się bać, nienawidzić, ale to jest facet na poważnie, a nie taki picuś-głancuś i polityczny Kalibabka ... Przecież rządził tylko kilka lat, a już dwie dekady całe polskie życie publiczne kręci się wokół niego, rząd istnieje tylko po to, żeby on nie rządził, a wpływowe media codziennie zajmują się dyskredytowaniem każdego jego słowa i ruchu. Trudno mi znaleźć światowy precedens dla takiej sytuacji. Obok Michnika umieszczam Kaczyńskiego w najwyższej klasie. Kogoś jeszcze tam widzisz? Wałęsę. Wielki cwaniak, uosobienie wszystkiego, co wielkie i co godne pogardy u polskiego chło-

(230) pa. I Balcerowicza. Każdy z tej czwórki to temat na powieść albo dramat. Publicznie bronisz Balcerowicza na przekór całemu swojemu środowisku, ale Michnik, który, co byś nie powiedział, najmocniej go wspierał, jest negatywnym bohaterem twojej publicystyki. Z kolei Kaczyńskiego bronisz, chociaż od liberalizmu gospodarczego jest bardzo daleki. Za Stanisławem Michalkiewiczem powtarzałeś przecież, że PiS to "pobożna lewica". Owszem. Problem w tym, że w Polsce nie ma bazy społecznej na liberalną prawicę. Ona w naszym kraju jest antyliberalna, bo musi się odwoływać do potencjału niezadowolonego, sprzeciwu wobec władzy i establishmentu, a w państwie pracowników najemnych i ludzi na różne sposoby uzależnionych od budżetu nie ma popytu na protest, nazwijmy to, liberalny -to nie jest bunt flamandzkich tkaczy czy amerykańskich kolonistów, ale wyzyskiwanych pańszczyźnianych. Z kolei władza i establishment używają retoryki liberalnej, pomijając to, co stanowi istotę liberalizmu, czyli sprawę wolności i równości szans, za to podnosząc do rangi dogmatu stabilność budżetową, prywatyzację i maksymalizowanie zysku. Jest to ideologia świata uwłaszczonej nomenklatury, uzasadniająca status quo. Z uwagi na dominujące wśród światowych jajogłowych ukąszenie lewicowe nazwano to "neoliberalizmem", choć nazwa "neosocjalizm" byłaby trafniejsza. I to, nie tylko w Polsce, bardzo utrudnia wybrnięcie z pojęciowej pułapki, która przekłada się na polityczne błędne koło. (231)

Rzeczywiście trudno się u nas nie pogubić w pojęciach. Jan Olszewski, przez całe życie uważający się za dziedzica tradycji PPS-u, nazywany był "prawicowym premierem", a podatek liniowy wprowadził premier l . " z" eWlcy . W mętnej wodzie łatwiej łowić ryby, jak powiadali nasi przodkowie; trudno nie podejrzewać, że ten mentalny chaos wytwarzany jest przez ośrodki opiniotwórcze celowo, w ramach ogólnego, jak to nazywał Szpot, "duraczenia". Liberalizm nie polega na tym, że ten, kto ma pieniądze, może zrobić wszystko z tym, kto ich nie ma, względnie ma

mniej. On polega na tym, że każdy pucybut może zostać milionerem, a milioner może zbankrutować i zostać zmuszony do pucowania innym butów. Państwo zaś jest tym stróżem, który pilnuje, żeby wszyscy grali uczciwie. Dla elit III RP liberalizm jest więc absolutnie nie do przyjęcia, ponieważ jest to państwo zbudowane na założeniu, że są równi i równiejsi. Istotą transformacji okrągłostołowej była przecież gwarancja dla komunistów, że w zamian za oddanie władzy zostaną uprzywilejowaną grupą społeczną i do tego były im przez chwilę potrzebne pewne elementy systemu wolnorynkowego. W momencie kiedy nadmiar liberalizmu zaczął im szkodzić, liberalizacja się szybko skończyła. W 2005 roku Centrum im. Adama Smitha wyliczyło, że w Polsce wydawanych jest dwieście szesnaście różnych koncesji, a dostęp do ponad czterdziestu zawodów jest reglamentowany. W czasach Wilczka i Rakowskiego było ich tylko siedem. (232) I każdy mógł założyć firmę, wystarczyło tylko zgłosić się do ewidencji, a oni mieli obowiązek cię zarejestrować. Ale z perspektywy lat widać, że to nie była rewolucja ustrojowa, tylko pieredyszka, moment bałaganu wytworzonego, żeby każdy komuch mógł chapnąć, co miał najbliżej. Liberalizm był dobry na tę chwilę, ale gdy stara-nowa elita okrzepla, natychmiast swobodę gospodarczą zaczęto ograniczać. Kiedy zacząłeś deklorować się jako endek, czy neoendek, wśród twoich fanów pojawiła się opinia, że dokonałeś wolty światopoglądowej. Endecję kojarzy się dzisiaj fałszywie z etatyzmem. No tak, zapomina się, że w międzywojniu istniała młoda i stara endecja. Ta stara endecja miała zdrowe, bardzo wolnorynkowe poglądy na gospodarkę, ta młoda była, niestety zarażona faszyzmem włoskim i w ogóle kolektywizmem, bo taki był światowy trend; a postawa endecka, wbrew stereotypowi, opierała się między innymi na afirmacji nowoczesności. Stara endecja to jest Władysław Grabski, ale przede wszystkim Roman Rybarski, który był chyba największym endeckim klasykiem ideologii liberalnej i wolnorynkowej. To właśnie on wskazywał, że trzeba postawić na drobną przedsiębiorczość, bo budowa klasy średniej jest największą potrzebą Polski. To bardzo ważne, ponieważ myśmy nigdy tej klasy średniej nie mieli i jej zbudowanie było w pewnym momencie główną troską Dmowskiego -stąd właśnie wziął się u endecji antysemityzm, bo próba budowania polskiej klasy średniej oznaczała nieuchronną konfron-

(233)

tację z dominującą w typowych dla niej rodzajach aktywności mniejszością żydowską. Twoje pochwały dla Dmowskiego wydawały mi się prowokacją, dla środowiska "Gazety Wyborczej" to największy szwarcharacter naszej historii. Ale Polską nie rządzą dziś trumny Dmowskiego czy Piłsudskiego, przeciętny Polak nawet o nich nie myśli. Oczywiście, że nie rządzą. To jest najgłupsze zdanie, jakie kiedykolwiek wypowiedział Jerzy Giedroyc, i niestety, powtarzane w kółko, co stanowi jeden z wielu dowodów kompletnej miałkości umysłowej obecnych elit. Polską rządzi w tej chwili taka gierkowska nadzieja małych ludzi na małą stabilizację, Tusk nie bez przyczyny uwodził hasłem "nie róbmy polityki", to znaczy, nie miejmy żad-

nych idei, o nic się nie starajmy, jedźmy, póki jest co. W społeczeństwie tak rozjechanym przez historię to punktuje. Po co więc dzisiaj sięgać do Dmowskiego? Na pewno nie jako po symbol, którym łatwo można kogoś przyciągnąć. I nie po

konkretne recepty, bo wszystko, co on proponował, odnosiło się do zupełnie innego świata, który już dawno nie istnieje i czasów, które się zupełnie zmieniły. Natomiast pozostaje dostarczycielem metody myślenia o polityce, właściwie jedynym w naszej polityce wzorem realizmu. "W stosunkach między państwami nie ma sprawiedliwości i krzywdy, jest tylko siła i słabość" -te jego brutalnie szczere zasady trzeba przypominać, bo wciąż grzęźniemy w politycznym romantyzmie. (234) Tyle że połowa narodu czy społeczeństwa -jakkolwiek nazwiemy populację zamieszkującą nasz kraj -jest niezainteresowana niczym. I to także jest problemem analogicznym do tego, z jakim borykali się młodzi Dmowski, Popławski i Balicki. Oni zrozumieli, że naród to nie jest coś, co istnieje samo przez się, i wystarczy wywiesić flagę, żeby się zbiegł i zaczął realizować narodowe cele. Patrzyli na naród jako na coś, co trzeba zbudować, co właściwie stale trzeba budować,

"polityzować masy", jak to pisał Popławski, to znaczy -uświadamiać tym wszystkim ludziom żyjącym w tym języku i kulturze, jakie mają wspólne interesy, do czego potrzebują państwa i polskości. W tej kwestii współczesny Polak jest równie niewydukiwany jak ci ciemni chłopi z Żeromskiego, co obdzierali powstańców. Prawicowe elity nie potrafią wyjść w rozumieniu patriotyzmu poza emocje, uczucia, a patriotyzm to także, może przede wszystkim, kwestia praktyczna. Potrzebujemy Polski, bo tylko ona jest nam w stanie zapewnić bezpieczeństwo, dostatek i ugruntować podstawy wspólnoty. Liczyć, że da nam to ktoś obcy, to skrajna naiwność; oczywiście niektóre jednostki mogą się z pożytkiem dla siebie przeplancować do innej kultury, ale ogół Polaków -nie. Tymczasem współczesny Polak ze społecznych nizin albo nawet i z warstw wyższych, ale niepoddany tradycyjnemu patriotycznemu wychowaniu, nie potrafi sobie wyjaśnić, dlaczego miałby być patriotą. Po co mu to państwo, po co mu ta polskość -po to, żeby cierpieć za miliony, oplakiwać, stawiać krzyże i znosić represje? Nic dziwnego, że nie uznaje tego za atrakcyjną ofertę. (235)

Duma z państwa nie jest konieczna, aby odzyskać pewność siebie i samoakceptację. Państwo włoskie to niesłychany bałagan, a Włosi są dumni z siebie, ze swoich osiągnięć. Ciekawym przykładem są Finowie, którzy jako społeczeństwo w XIX wieku byli w nieporównywalnie gorszej sytuacji niż my. Dopiero wtedy tworzono język i kulturę tego narodu. Wyrwanie się z kompleksów zapewniły im dwa wydarzenia: zorganizowanie igrzysk olimpijskich w 1952 roku i stworzenie własnych brandów rozpoznawalnych w całym świecie. Oczywiście Nokia jest tu najważniejsza. Co do tego nie ma sporu. Nokia wprawdzie troszkę podupała, ale to dobry przykład firmy, która stała się podstawą narodowej dumy, przyznając, choć to wyzwanie dla moich liberalnych poglądów -ta firma powstała w dużym stopniu przy pomocy państwa fińskiego, bez jego wsparcia na pewno nie byłaby potęgą. Sukces w biznesie, ogólnie we wszelkiej kreatywności jest ważny, ale wspólnota także jest potrzebna do sukcesu, bo w pojedynkę trudno zrobić coś wielkiego. Powodzenie wprawia w dumę, a ona jest potrzebna do osiągnięcia sukcesu i nie ma . sensu dyskutować, czy najpierw musi być jajo czy kura, bo to jest tego typu dylemat. Więc nasz salon, zwalczający polską dumę i tresujący nas w poczuciu wstydu i nieudacznictwa, robi coś i niegodziwego, i głupiego. A mówiło się, że "Solidarność" powstała, bo cukier zdrożał. Ci, co działali, wiedzieli, że trzeba postawić dodatkowo żądania socjalne, bo bez tego mas nie ruszą; zresztą i to nie było proste, bo tu szło nie tylko o cenę cukru, ale w ogóle o poníženie, jakim były dla ludzi kartki, kolejki i to wszystko. Ale ja mówię o tej grupie najbardziej aktywnej, organizującej strajki. Nie było robotników, którzy by chcieli "prawdziwego" socjalizmu. To była fanaberia komandosów, czerwonych paniczków, nikogo poza ich kółkiem nieobchodząca . Pytanie, ilu z nich jeszcze w Sierpniu 1980 roku chciało naprawiać komunizm. Na pewno byli niechętni idei narodowej i religijnej. Takie książki jak pozycja Michnika "Kościół, lewica, dialog" miały stworzyć wrażenie, że to środowisko z Kościołem współpracuje, że szanuje polską tradycję narodową i polski patriotyzm -w przeciw-

(237)

nym razie na ich wezwanie zgłosiłoby się dwudziestu paru partyjnych dysydentów, których by pies z kulawą nogą w Polsce nie chciał słuchać. Ale użyli tego bardzo instrumentalnie. Jeśli mówimy o instrumentalnym stosunku do religii, to akurat Dmowski był w tym mistrzem. Nie wierzył w Boga, choć katolicyzm uważał za spoiwo polskości. To prawda. Endecja na starcie była nawet szczerze antyklerykalna, w takim duchu sceny z Papieżem w "Kordianie", dopiero później zmieniła kierunek, na Kościół i duchowieństwo i to z przyczyn pragmatycznych. Podejście Michnika do Kościoła we wspomnianej książce istotnie przypomina tamto Dmowskiego. Tyle tylko że dla niego nie była to tradycja, z której trzeba było "wyzwolić" Polaków, przeciwnie, choć sam nie był specjalnie pobożny, widział w katolicyzmie siłę "społecznie pożyteczną", Przykład Finlandii, jest o tyle ciekawy, że istnieją nawet pewne podobieństwa z historią XX wieku. Oni mieli swojego Dmowskiego -Juho Passikivi, świetnego dyplomate, antyniemieckiego i prorosyjskiego polityka, powojennego prezydenta tego kraju. I mieli swojego Piłsudskiego, Carla Gustafa Mannerheima, prezydenta kraju w czasie II wojny światowej, znakomitego wojskowego, który pochodził ze

szlacheckiej rodziny. Przeciętny Fin jest tak samo dumny z wojny zimowej 1940 roku, kiedy praktycznie jego naród odparł najazd sowiecki, jak Polak z cudu nad Wisłą, który miał miejsce dwadzieścia lat wcześniej. Świetny przykład, żeby wyjaśnić, co różniło mądre bohaterstwo Finów w wojnie zimowej od głupiego bohaterstwa Polaków w II wojnie światowej. W 1940 roku Finowie wystrzelali dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a sami stracili "tylko" dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Ale dla Finlandii stracić dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, to była większa strata niż dla Sowietów ćwierć miliona. I co robił wtedy Mannerheim, taktyk i przywódca, moim zdaniem, jednak o klasę wyższy od Piłsudskiego? Broniąc uparcie Finlandii, dążył do podpisania kapitulacji ze Związkiem Sowieckim, bo tak nakazywał mu realizm polityczny -kiedy dostał od Francji, a bodaj i od Anglii, propozycje sojuszu i wsparcia militarnego i odrzucił je, żeby nie drażnić Stalina i wytargować od niego lepsze warunki. Zwyciężył w polu, i podpisał kapitulację de facto zwycięską, która ocaliła kraj. Polscy politycy nie zdobyliby się na podobny ruch, bo tradycja nakazuje nam walczyć do ostatniej kropli krwi, mimo że efekty mogą być katastrofalne. Mannerheim kiedy go Zachód mamił perspektywą pomocy, zapytał po prostu którego dnia mu zamierzają dostarczyć tę pomoc i czym. A nasi skarżyli się potem w dziennikach, że Brytyjczycy obiecali przecież przysłać nam w pierwszych dniach wojny sto bombowców i nie dotrzymali słowa ... A żaden baran nie pomyślał, żeby zadać to najoczywistsze pytanie: którędy niby ta setka bombowców przyleci, gdzie wyląduje, skąd się wezmą w Polsce obsługa techniczna i części zamienne ... W 1939 roku nie było już Piłsudskiego, więc nie wiemy, jakby się zachował. (239) Nie wiemy. Ale jestem pewien, że Mannerheim umierając, nigdy nie zostawiłby swoim następcom wskazówki: próbujcie grać, jak długo się da między Rosją a Niemcami, a jak się nie uda, to podpalcie cały świat i doprowadźcie do wojny światowej. To jedna z twoich najbardziej kontrowersyjnych tez. Popierasz poglądy śp. prof. Pawła Wieczorkiewicza, który głosił, że powinniśmy pójść z Niemcami. W każdym razie nie powinniśmy z nimi walczyć, nie jako pierwsi, nie przedkładać interesu sojuszników nad własny. Gdańsk dla Polski miał znaczenie tylko symboliczne, to nie było tak jak z Sudetami, których oddanie czyniło Czechosłowację bezbronną - każdy rozsądny polityk trzymałby polskie dywizje w pogotowiu i robił wszystko, żeby Hitler poszedł najpierw na Francję. Wróć jeszcze do Mannerheima, bo to naprawdę wspaniały przykład. Otóż u nas się wie, że w 1941 roku Finlandia wystąpiła po stronie Niemiec. Szczegóły były niecenzuralne i mało kto dziś je zna, a wiele mówią. Otóż było tak, że Finlandia zachowywała neutralność, przecież dopiero co podpisali z Sowietami pokój, ale trzy dni po ataku Niemiec na Sowiety nagle kilka fińskich miast zostało zmiecionych dywanowymi nalotami sowieckich bombowców, a potem w granice weszła Armia Czerwona. To jeden z niezbitych dowodów na słuszność znanej tezy Suworowa -bo nie da się tego wyjaśnić inaczej -że w bałaganie klęski lokalne sowieckie dowództwo otworzyło kopertę z rozkazami na czas wojny i wykonało je, nie wiedząc, że to jest zupełnie inna woj-

(240) na, niż planowano. W każdym razie wtedy Finowie weszli do wojny -ale zajęli tylko te tereny, które im wcześniej zabrali Sowietci i praktycznie nie poszli dalej. I przez cały czas, z musu pozostając sojusznikiem Niemiec, Mannerheim szukał porozumienia z Moskwą. A co by zrobili Polacy? Jak nic powiedzieliby, że po tych bandyckich, zdradzieckich nalotach nie spoczniemy, póki nie ukarzymy wiarołomców i nie pomścimy poległych. A potem wszystkich, którzy by to przeżyli - przypominam, jakie obrzydzenie tacy, którzy nie polegli z innymi, te "smutne pół rycerzy żywych", budzili w naszych romantykach -Stalin by zapakował w wagony i wywiózł w diabły, jak Tatarów, Czeczenów i parę innych narodów. Efekt był taki, że my, naród w 1939 roku mający potencjał nieporównanie potężniejszy, potem, po bohaterskim stawieniu jako pierwsi czoła dwóm totalitaryzmom, walce na wszystkich frontach wojny, akcji "Burza", Powstaniu Warszawskim i wszystkich innych poświęceniach, przez pół wieku wzdychaliśmy do "finlandyzacji" jako do niedościgniętego marzenia. "Ach, geopolitycznymi racjami jesteście wyni ... " Gałczyński, "Porfirion Osielek" Notabene, pierwodruk w tygodniku "Prosto z Mostu". Nie wszystko ze spuścizny endeckiej jest do dzisiaj do zaakceptowania. Nie ma co na przykład pobłażliwie

mówić o antysemityzmie Dmowskiego, że był owocem epoki. Ale on był owocem epoki. I właśnie dlatego jest do wywalenia w całości. I to, powiem z godną (241)

Dmowskiego brutalnością, nie dlatego że jest podły, bo w polityce nawet najbardziej cywilizowanych krajów sankcjonuje się czasem rzeczy podłe, ale dlatego że jest dziś zupełnie bez sensu. Antyżydowskie hasła ONR-u, skoro już ten akurat marginalny nurt endecji stale się dziś przywołuje, były odpowiedzią na realny problem, jaki miała Polska z ogromną, trzymilionową mniejszością żydowską, nieasymlującą się i blokującą, jak już wspomniałem, rozwój rodzimej klasy średniej. Złą odpowiedzią, żeby nie było wątpliwości. Ale dobrej nikt wtedy nie miał, polecam wszystkim mędrkom zapoznanie się z receptami, jakie proponował wtedy w broszurze „Polska myśl mocarstwowa” krąg Giedroycia, przynajmniej tylko z tym jednym przykładem, skoro michnikowszczyzna uczyniła Giedroycia swoją ikoną. Natomiast dziś, w świecie dotkniętym traumą Holocaustu, w czasach gdy jednym z ważniejszych uwarunkowań światowej, a już na pewno europejskiej polityki jest konfrontacja państwa żydowskiego ze światem arabskim, w Polsce przeturlanej kilkaset kilometrów na zachód i praktycznie pozbawionej mniejszości żydowskiej, polityczny antysemityzm jest skrajną głupotą. A głupota, zgódźmy się przynajmniej co do tego, jest tradycją Dmowskiego jak najbardziej obca. Z tych samych przyczyn także stałe trąbienie o potrzebie walki z antysemityzmem uprawiane przez michnikowszczyznę i młodą lewicę jest odwracaniem uwagi od rzeczywistych problemów. Naprawdę istnienie pewnej liczby sfiksowanych staruszków kolportujących jakieś „listy Żydów” nie jest dla współczesnej Polski żadnym istotnym wyzwaniem. (242) Zresztą nie wiem, czy zauważyłeś, po tragedii smoleńskiej te „listy Żydów” zupełnie zniknęły, ludzie, którzy je produkowali, zajęli się spiskami związanymi z katastrofą. Trudno byłoby określić ci się dzisiaj narodowcem bądź tym bardziej nacjonafistą. Nacjonalizmy czerpały z nauk Darwina -Polsce szczęśliwie w stosunkowo niewielkim stopniu dzięki łagodzącemu wpływowi katolicyzmu -przekonanie, że dobro ludzkości wymaga, aby narody silne, „lepsze”, niszczyły słabe, podporządkowywały je sobie, pożerały kulturowo, a nawet eksterminowały fizycznie. To była ideologia obłądana, wiodąca do zbrodni i nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie próbował jej wskrzeszać. Ale odrzucenie myśli o masowej, narodowej eugenicie nie oznacza, jak tego naiwnie chciała lewica, że można zanegować w ogóle sam fakt istnienia narodów. One są i pozostaną najskuteczniejszą formą organizowania wspólnoty. Nie można rozwiązać większości społecznych problemów inaczej niż przez wspólnotę narodową i państwo narodowe. Takie jest moje najgłębsze przekonanie i wniosek z przemyśleń całego dotychczasowego życia. Więc nacjonalistą się nie nazwę, to pewne i 'Oczywiste, ale ... może .nacionistą'? Mam nadzieję, że taka nazwa w miarę jasno wyjaśnia moją postawę, () (243

Rozdział XI.

Dożynanie watahy / afera Rywina / Kwaśniewski i Ałganow / telewizja rządzi politykami /film

o prawdziwym Tusku / media z politycznych rozdań / cenzura w Internecie / faszyści w TV / światle elity / kto ma telewizję, przegrywa wybory / radiowe sukcesy i nie tylko / kadry naszych czasów (246) Porozmawiajmy jeszcze o mediach. Trzy cztery lata temu wydawało się, że skończy się w nich dyktat jednej strony sporu. Owszem, wydawało się. Ja też w najgorszych snach nie sądziłem, że sytuacja cofnie się do lat dziewięćdziesiątych i odbędzie się „dorzynanie watahy”. Ale w mediach, jak za PRL-u, co jakiś czas nadchodzi okres dogmatyzmu, który w pewnym momencie okazuje się błędami i wypaczeniami i nastaje odwilż. A potem znowu. Aktualnie, po odwilży rozpoczętej aferą Rywina, wróciliśmy do przykręcania śruby. Nie można wszystkich niepowodzeń tłumaczyć znową reklamodawców, ale faktem jest, że domy mediowe niechętnie dają reklamy mediom prawniczym. Nie zobaczy ich „Gazeta Polska”, choćby miała sto dwadzieścia tysięcy sprzedaży, a „Gość Niedzielny” nie sto trzydzieści tysięcy, ale dwieście tysięcy. Zawsze usłyszą sakramentalną formułę „nie ten target”. Jakby średniozamożni czytelnicy „Gościa” nie jedli, nie pili i nie kupowali czegokolwiek. Bo wbrew powszechnemu stereotypowi tym biznesem nie rządzą pieniądze. To znaczy warunkiem stałego, spokojnego zarabiania pieniędzy (247) jest życzliwość szeroko rozumianej władzy. Przypominam raz jeszcze tę formułę, która opisuje nasz ustrój: pieniądze dają władzę, władza daje pieniądze. Jeśli biznesowa troska o zysk koliduje z tym

wymogiem, biznes musi ustąpić przed polityką. To jest w III RP ten główny, zasadniczy target mediów: tych kilkudziesięciu facetów, których przez chwilę mieliśmy w polu widzenia podczas prac komisji Rywinowej, połączonych różnymi nie formalnymi układami, którzy podczas spotkań na lanczach i daczach konsultują decyzje, formalnie będące wyłączną domeną konstytucyjnych organów państwa. Oni muszą być zadowoleni. Bo jak nie będą, to interesom bardzo zaszkodzi. Jakieś konkrety? Całe mnóstwo. Sprawa spotkań Kwaśniewskiego z Ałganowem ujawniona została jednocześnie w "Życiu" i "Dzienniku Bałtyckim". Wydawca tego drugiego natychmiast przyjechał z Niemiec, wyrzucił naczelnego, pojechał do Belwederu ukorzyć się przed prezydentem i go przeprosić -jak w powieści Wildsteina. Gdyby szło o nakład, o czytelność, to by aferę grzano do maksimum, uruchomiono dziennikarzy śledczych, z numeru na numer odkrywano kolejne okoliczności. Nie -wydawca zabronił, koniec, ani słowa więcej. I "Dziennik Bałtycki" przetrwał. A "Życie" szybko padło, reklamy skończyły się jak nożem odciął. Albo nowszy przykład: komercyjna TVN robi film o Wałęsie, film, z którego jasno wynika, że jednak był tym "Bolkiem", że od lat publicznie kłamie. Co by zrobiła, gdyby się kierowała tylko ko-

(248) mercją? Wielka kampania reklamowa, emisja w najlepszej porze, co najmniej pięć milionów widzów, potem rozmaite follow-upy, wydanie na DVD i tak dalej. A co robi "komercyjna" stacja? Trzyma ten film już drugi rok w piwnicy. Dowiedzieliśmy się o istnieniu tego filmu tylko dlatego że wyciekł on do Internetu. To dotyczy nie tylko mediów elektronicz-

nych oczywiście, ale te są pod naj silniejszym nadzorem. Czym nadzorem? Szeroko rozumianych elit rządzących. Rozumiesz, to, że pewne fakty są powszechnie znane, nikomu nie przeszkadza, nic to nie znaczy, dopóki nie zostaną pokazane w dobrym czasie antenowym. Co nowego, czego jeszcze nie wiedzieliśmy, było w filmie "Trzech kumpli"? W sumie przecież wszystko to każdy zainteresowany tą historią znał. Ale emisja filmu w TVN-ie stała się ważkim, politycznym wydarzeniem. Bo co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć śmiejącego ci się w nos bezczelnego, odpasionego esbeka, co innego usłyszeć, jak sprzedajny profesor, który firmował lewą sekcję zwłok, stwierdza rozbijająco: "No przecież jasne, że ktoś Pyjasowi dał w mordę". A co sprawiło, że za emisję "Towarzysza Generała" wyrzucono ludzi z kierow-

nictwa "Jedynki"? Znowu, wiedzieć, że Jaruzelski był gorliwym służalcem Sowietów to jedno, a zobaczyć jego donos na akowca, którego na podstawie tego donosu zamordowano, zobaczyć, jak równym, pięknym pismem kujona kablował przysły generał, ozdabiając jeszcze swe raporty kolorowymi (249)

szlaczkami. .. Od tego można zmienić zdanie. I tego się politycy boją. Gdzieś tam w niszy, w gazecie, gadaj sobie, co chcesz, machną na to ręką. Ale przekaz zdolny kreować emocje jednocześnie w milionach widzów to jest coś, czego oni nie odpuszczają. Więc może to telewizje rządzą politykami? Zróbcie to a to, bo inaczej wyjmemy ten film z piwnicy i puścimy ... Albo może go tam zostawimy. Tak, tak to sobie właśnie wyobrażam, że w kręgu prezesów i przewodniczących, generalnie, w "grupie trzymającej władzę" stale się toczą takie negocjacje. Na tym przecież polega w praktyce polityka. Ja ci to, ty mi tamto, bo jak ty mnie tak, to ja cię tak, ale po co się mamy klócić, jak się możemy dogadać, to i wy zarobicie, i my zarobimy ... dopóki się nam układ nie zmieni. Chodzi mi o to, że w tych negocjacjach między rekinami władzy i biznesu pozycja szefów i właścicieli wielkich mediów jako czegoś, co jest zarazem i rodzajem biznesu, i rodzajem władzy, jest bardzo silna. A kto w danej chwili jest w tym układzie silniejszy, "pierwszy", "sponsor" czy "redaktor"? TVN podjął parę lat temu decyzję o wy-

puszczeniu filmu Anna Ferens i Ewa Stankiewicz, który mocno uderzył w zachwianą wtedy pozycję

Michnika i "Gazety Wyborczej". Opisywałem to potem, jak na pierwszym pokazie ludzie z "Gazety" wychodzili z buńczuczными pomrukami, że to hańba, że nie wolno filmować ukrytą kamerą, że Maleszkę to łatwo teraz nawet zabić i w ogóle, intencje autorek są polityczne i łatwe do przejrzenia ... Widać było, że już układali w głowach takie komentarze. Lis zdążył (250) nawet już w tym duchu napisać, bodaj jeszcze przed emisją, na łamach. A potem nagle ukazał się w "Wyborczej" komentarz, że to znakomity film, gratulujemy kolegom z TVN-u, i było jasne -została ustalona nowa hierarchia dziobania, ITI może dziobnąć Agorę, a Agora nie może dziobnąć ITI. Oczywiście, bardzo możliwe, że pewnego dnia TVN odpali z hukiem film o Wałęsie. Albo, ja wiem, film pokazujący Tuska takiego, jakim go opisują różni "dobrze poinformowani informatorzy pragnący zachować anonimowość" -miotającego się jak Hitler w filmie "Upadek", klnącego, bluzgającego podwładnym i rzucającego w nich papierami ... Wspominałem, że media to jedna z tych spraw, w których obserwacje życiowe kazały mi zmienić dawne, UPR-owskie poglądy. Otóż mówię z całą odpowiedzialnością, że przy tym wpływie, jaki dziś media elektroniczne wywierają na emocje i nastroje społeczne, demokracja nie może sobie pozwolić na pozostawienie ich poza kontrolą, puszczenie na żywioł. Bo

to tak samo, jak pozwolić bogaczom utrzymywać prywatne armie, jak w średniowieczu czy dawnej Rzeczypospolitej. Nie mówię o bezpośrednim nadzorze czy własności państwa, ale musi zostać stworzony taki system prawny, w którym manipulowanie ludźmi za pomocą mediów przez jakieś wpływowe lobby będzie maksymalnie utrudnione. Czyli to, że media są z politycznego rozdania, w sumie nie jest już takie złe? Trudno wymyślić system doskonały. Przed potęgą mediów chronią tylko inne media. Dopóki jedna telewizja może wejść w szkodę drugiej, prze-

(251)

kłuć dmuchany przez nią balon, zgasić w zaraniu nastroje hysterii, będące propagandowym przygotowaniem do jakiejś akcji politycznej, być może wymierzonej w wolności obywatelskie, to na pewno mamy mniejsze zło. Tak, wszystkie media w Polsce są z politycznego rozdania, jest to fakt i nic nie poradzimy, chodzi tylko o to, aby ich siła nie mogła być użyta dla zbudowania systemu władzy, który uczyni nasze wolności fikcją. Na szczęście na stronie YouTube'a można obejrzeć i "Towarzysza Generała" i "TW Bolka". To dowód, że chociaż trochę Internet demokratyzuje nasze życie. Problem w tym, że "oni", jakkolwiek to witkacowskie słowo rozumieć, już o tym wiedzą. I wiedzą też, że można Internet zablokować jak w Egipcie, że można go skutecznie ocenzurować jak w Chinach, to tylko kwestia kosztów, które władza gotowa jest ponieść. No i można go też po prostu nie budować jak w Polsce. Bo u nas na razie obieg internetowy porównywalny jest z prasowym, nie tylko ilościowo, ale przede wszystkim na podstawie tego, że materiał zawieszony w sieci znajduje ten, kto go szuka. A o wyniku wyborów decydują ci, którzy nie panują nad tym, co im się wkłada do głowy. Ale na razie Internet nie daje się ocenzurować i dociera może nie tak szeroko jak telewizja, ale dla tych, którzy są życiem publicznym zainteresowani, młodych i aktywnych, jest głównym źródłem informacji. Ludzie prawicy mogli mówić do tej pory: nie mieliśmy tych (252) pieniędzy na medium, nie mogliśmy zdobywać reklam i tak dalej. Ale teraz jest już zupełnie inna rzeczywistość: utrzymanie portali internetowych nie wymaga takich nakładów, jakie pochłaniają gazety ... Na rozkręcenie portalu też potrzeba sporych pieniędzy, rozmawiałem z ludźmi, którzy to robią i to w najskromniejszej formule ... Chodzi ci zapewne o portal wPolityce.pl? Akurat on świetnie się rozwija. Jego twórcy włożyli w to duże jak na prywatne osoby sumy i są dopiero na początku drogi. Kiedyś byłem wielkim entuzjastą Internetu, ale ten entuzjazm, jak to często bywa, okazał się trochę chciejstwem. W czasach mojej politycznej młodości zaczytywałem się w Toffierach i Gilderze, którzy byli takimi promotorami, patronami duchowymi rewolucji konserwatywnej. George Gilder jeszcze przed Alvinem Toffierem twierdził, że wraz z nastaniem Internetu skończyła się wszechwładza Hollywood i dominacja "pięciu sióstr", czyli tych telewizji wiodących w USA, które sympatyzują z Demokratami i prezentują liberalno-lewicowy punkt widzenia. Obaj myśliciele byli przekonani, że przestrzeń w Internecie jest demokratyczna i nie da się cenzurować. Chińczycy pokazali jednak, że

nad Internetem władza polityczna może panować równie niepodzielnie jak nad prasą drukowaną. Każdy z nas może sobie otworzyć swoją stronę internetową, ale koncern Time Warner, który włożył w konstrukcję strony rozmaite bajery i wyreklamuje ten produkt, ma większe szanse na powodzenie. (253)

W związku z czym twierdzą, że wszystkie te opowieści Gildera o compuvision, telewizji komputerowej, w której każdy odbiorca może być nadawcą, nie ma centrum, nie ma kontroli ani narzucania swojej woli innym, okazały się bardzo ładną bajką. Generalnie Internet zawiódł nadzieje na całkowitą rewolucję w medialnej przestrzeni. Zresztą nie mógł nie zawieść, bo te nadzieje wynikały z faktu, że sieć komputerowa pojawiła się w krajach takich jak Stany Zjednoczone, wolnych, otwartych na obywatelską kreatywność, rozwijał się więc żywiołowo i nikt nie próbował go cenzurować, nikt nawet nie myślał, w jaki sposób można by to zrobić. A teraz już się zaczyna kontrolować cyberprzestrzeń nawet w krajach zachodnich, bo w pierwotnym kształcie ona okazała się środowiskiem przyjaznym terrorystom. To, co mówiłeś o zdominowaniu telewizji i prasy przez lewicę, brzmiało jak artykuły w "Commentary" czy "American Spectator" z czasów Cartera. W USA też przez całe lata dominowały liberalne media, ażuż telewizja mówiła wyłącznie głosami tamtejszej lewicy. Ale nawet gdyby nie było Internetu, potem pojawiło się przecież talk-radio, ajeszcze potem konserwatywny Fox Chanel. Stacja, która przełamała opiniotwórczy monopol "pięciu siostr" -CNN, ABC, NBC, "New York Times" i "Washington Post". Dzisiaj Foxjest najbardziej oglądaną i wpływową telewizją informacyjną. Tak, bo to Ameryka. Rozbieżność między tonem mediów a nastrojami społecznymi i zaświad-

(254) czona wynikami wyborów i sukcesami konserwatywnych didżejów radiowych i przyciągnęła Murdocha z dużymi pieniędzmi. TYlko że tam nie ma Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji ani ministra skarbu, który uprzykrza życie inwestorowi, posuwając się nawet do użycia przeciwko niemu sądów ... Czynisz oczywiście aluzję do "Rzeczpospolitej" za zaskakującego dla wszystkich wniosku o rozwiązanie spółki. Nie tylko, bo także do aresztowania pod lipnym pretekstem trzech członków zarządu Orkli, ówczesnego wydawcy "Rzeczpospolitej", za rządów Leszka Millera, co powszechnie komentowano jako próbę wymuszenia na Norwegach, aby większościowy pakiet w gazecie zamiast dającym więcej Anglikom z Mecomu odsprzedali wskazanemu przez rząd "inwestorowi krajowemu". Myślę, że podchody władzy pod tę gazetę to temat na nie złą książkę. I pewnie dałyby one skutek, gdyby nie ten szczęśliwy dla nas fakt, że Mecom nie ma w Polsce żadnych innych interesów, więc nie ma do stracenia tyle, co wspomniany przed chwilą niemiecki wydawca "Dziennika Bałtyckiego". Wracając do Ameryki, nawet tam korekta przez mechanizmy rynkowe lewicowego odchyłu mediów zajęła kilkadziesiąt lat. Ale wtedy nie było perspektywy cyfryzacji. Cyfrowa telewizja to z punktu czterdzieści dziewięć kanałów zamiast kilku, a w perspektywie jeszcze więcej ... I pewnie dlatego w Polsce cyfryzacja jest stale opóźniana, odwlekana. (255)

Ale to PiS z SLD, partie opozycyjne, zatrzymały cyfryzację! Farfał z LPR-u za cichym przyzwoleniem PO chciał ją przeprowadzić. Co każe się zastanowić nad opozycyjnością tych partii. Nad tym, na ile ta opozycyjność jest prawdą, a na ile istnieje coś takiego jak wspólny interes polityków, którzy jadą na jednym wózku. Tak, to rzeczywiście jedna z tych rzeczy, za którą PiS-owi powinno się mocno nakopać do ... zmieńmy to do druku na "do słuchu", dobrze? Sam się zastanawiam, czy to był taki powiatowy makiawelizm Kaczyńskiego, bo wedle moich informacji to jednak biznes powiązany z czerwonymi był głównym motorem obalenia decyzji powziętych przez Farfała -szło o grube miliony, myślę, że to była jedna z istotnych przyczyn tej zmasowanej nagonki, jaką na niego urządzono jako na "faszystę" ... Nie popadaj w spiskowe myślenie, "Gazeta Wyborcza" naprawdę nie potrzebowała do ogłaszania narodowca "faszystą" żadnych dodatkowych powodów ... Jedno drugiego nie wyklucza, ktoś jednak mógł jej podrzucić inspirujący materiał, nie sądzę, żeby Michnik trzymał w domu stare skinowskie fanzyny i wiedział, gdzie w nich czego szukać ... A w dzisiejszym biznesie "czarny PR" i zbieranie haków na ludzi stojących na drodze to już, niestety, norma, zatrudnia się do tego dobrze opłacanych fachowców ... Dobrze, zostawmy to -

chciałem powiedzieć, że nie wiem, czy PiS na to poszło z wyrachowania, czy z jakiejś takiej genetycznej prawicowej głupoty. W końcu ta przeklęta Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji (256) też została utworzona w znacznym stopniu głosami prawicy ... To właśnie ta kontrola państwa nad mediami, którą przed chwilą uznałeś jednak za konieczną. Czy był lepszy pomysł na podział częstotliwości? Gdyby robiło to ministerstwo, wszystko byłoby w rękach rządu, tu przynajmniej próbowano zachować pewną niezależność od niego. Ale pod pozorem podziału "dobra rzadkiego", czyli częstotliwości, wyposażono radę w kompetencje kontrolne, których nie można tłumaczyć niczym innym niż chęcią trzymania mediów za pysk. Bardzo dobitnie pokazał to przykład kanału RTL7, który się na starcie zapowiadał na bardzo dobrą telewizję, odmienną od michnikowego strychulca. Inwestor postawił tam na Macieja Pawlickiego i jego ekipę, która wcześniej robiła TVP 1 i po prostu miała tam sukcesy. Więc można powiedzieć, zachowali się biznesowo, tak jakby inwestowali w normalnym kraju, a nie na postkomunistycznym dzikim wschodzie. I nagle się okazało, że choć nadają z Luksemburga, tylko przez satelitę, to żeby kablówki mogły ich retransmitować, muszą mieć specjalną zgodę KRRiTV. Bo jeszcze by inaczej mogli nadawać nieodpowiednie treści, nie na poziomie. No i rada dziwnym trafem przyblokowała ich tak długo, aż zagraniczny inwestor zatrybił, gdzie jest, wylał wszystkich prawicowców i przerobił przedsięwzięcie na kanał z tanią rozrywką, na czym zresztą wyszedł fatalnie. Tak wyglądała wolność mediów w III RP i ona nieuchronnie wraca do tego stanu. (257)

Ten zarzut nierówności w dostępie do mediów powtarza się od tak dawna, że wielu ludzi zdążyło już się zupełnie na niego uodpornić. Reagują wręcz śmiechem -tak, prawicowi nieudacznicy nie umieli zrobić mediów, nie umieli stworzyć gazety, która by się sprzedawała tak dobrze jak "Wyborcza" i tylko się ciągle żalą i lamentują ... Prawicowi nieudacznicy, jeśli na to miano czymś zasłużyli, to przede wszystkim tym, że dali się u zarania III RP wyslizgać jak świerszcze. Nie zrozumieli, że historyczne porozumienie "światłych elit z obu stron historycznego podziału" cementowane jest wspólnym strachem Michnika i Urbana przed polskim patriotyzmem, katolicyzmem i tradycjonalizmem. A ponieważ doświadczenie lat 80.

pokazało i jednym, i drugim, jaką potęgą są media, jednym z najtwardszych elementów tego dylu było niedopuszczenie, aby jakiegokolwiek wpływowe media wymknęły się spod kontroli partnerów układu, aby nie dostały się w ręce sił nieodpowiedzialnych. To, jak wieszczył Michnik, musiałyby się skończyć wieszaniem, pogromami i faszyzmem. Ludziom wpojono pewne stereotypy, w które oczywiście wygodnie jest wierzyć, bo nikt nie lubi zauważać łajdactwa, to powoduje dyskomfort _ jesteśmy tak wychowywani, że kiedy widzimy coś złego, powinniśmy reagować, więc żeby nie narażać sumienia na wyrzuty, na wszelki wypadek wolimy nie widzieć. Właśnie do takiego stereotypu się przed chwilą odwołałeś. Że te media, które jak "Gazeta Wyborcza", "Polityka" czy Radio Zet odniosły finansowy sukces, po prostu były dobre, więc dlatego podbiły (258) serca publiczności. A te inne, powiedzmy, "TYgodnik Solidarność", "Express Wieczorny" czy "Młoda Polska" robili nieudacznicy, nie umieli zdobyć publiczności, i dlatego to wszystko padło. Czyli sugeruje się -najpierw były dobre media, a potem pieniądze. Każdy, kto się na tym biznesie zna, ten wie, że to odwrócenie porządku. Żeby zrobić dobrą gazetę, radio, nie mówiąc już o telewizji, trzeba najpierw mieć pieniądze. I to duże. Wtedy można zrobić coś, co jest dla czytelnika, widza czy słuchacza atrakcyjne. A startując z szarym, cieniutkim tygodnikiem czy dziennikiem, bez koloru, bez dodatków, bez promocji. .. Po prostu te pieniądze mieli u zarania tylko oni. I nie tylko mieli pieniądze, mieli jeszcze politycznych patronów, którzy im zagwarantowali, że nikt inny do pieniędzy nie dojdzie. Sposoby, w jakie to robiono, były różne, ale wszystkie miały jedną cechę - cuchnęły. Nie chcę się tutaj nad tym rozwodzić, bo to temat na grubą książkę i, niestety niezbyt miłą w lekturze. A właściwie powinna ona być tylko jednym tomem w historii gospodarczej III RP, bo przecież nie tylko media tak funkcjonowały. Cała ustrojowa transformacja to był wielki szaber i wyścig do fortun, z podstawianiem nóg i blokowaniem możliwości tym, którzy nie należeli do uprzywilejowanego towarzystwa. Ale gdy prześledzimy to, kto miał telewizję w danym czasie i wyniki następnych wyborów po tym okresie, to okaże się, że ten, kto miał telewizję, przegrywał wybory. W wyborach parlamentarnych 2005 roku powinna wygrać PO, bo Dworak rządził na Woronicza. Dwa lata (259)

później dominacja ludzi sprzyjających PiS-owi powinna była zapewnić tej partii powodzenie. A stało się inaczej. To zaczniemy od pieca - w latach osiemdziesiątych Jaruzelski miał nie tylko TVP, miał wojsko, ZOMO, milicję i SB, wszystkie możliwe struktury w ręku, a jednak musiał władzę oddać. Wedle takiej logiki można więc sformułować tezę, że ten, kto trzyma w ręku resorty siłowe, ten przegrywa. A przecież nikt nie mówi, że posiadanie czy kontrolowanie mediów daje gwarancję władzy, tylko że stwarza nierówność. Można oczywiście media ograć, może też je mieć i posługiwać się nimi tak topornie, na odlew, że efekt będzie przeciwny _ jak PiS w czasie swoich rządów. Ale umiejętnie użyte media potrafią mocno wpływać na nastroje, na lęki czy oczekiwania. To za pomocą telewizji, często podaję ten przykład, w czasie "karriawału Solidarności" w ciągu roku złamano w Polakach ducha, wymęczono ich obrazami bałaganu, pustych półek i zimnych kaloryferów, tak że kiedy przyszło do konfrontacji, do stanu wojennego, większość społeczeństwa nie zdobyła się na stawienie oporu. Mimo że wcale nie uwierzyła w powtarzane przez tę samą telewizję oskarżenia, że "Solidarność" to antypolska dywersja za pieniądze CIA. .. Media może nie są w stanie bezpośrednio wpłynąć na twoje polityczne przekonania, zwłaszcza jeśli masz je ugruntowane, ale są w stanie wytworzyć w tobie fałszywe przekonanie o sytuacji w kraju, wyolbrzymić i zmyślić pewne problemy, a inne usunąć ci z oczu. Na przykład w latach dziewięćdziesiątych ludziom się wydawało, że wielkim (260) problemem Polski jest klerykalizacja, że Kościół zagraża demokracji. .. I nagle w połowie lat dziewięćdziesiątych przestano nas faszerować wizją "nowej inkwizycji". Bo nie było już potrzeby. SLD dogadał się z episkopatem, podpisał konkordat i z dnia na dzień ci, którzy krzyczeli o zagrożeniu państwem wyznaniowym, przestali je zauważać albo nawet zaczęli mówić, jak pani Labuda, że Kościół właściwie jest OK. Właściwie to muszę zapytać: co ty w takim razie w tych mediach robisz? Jak to co? Właśnie z nich po kolei wylatuję ... No dobra, poważnie, przecież nie mam innej metody dotarcia do ludzi. Więc prowadzę z tym "wielkim szatanem", jaką jest bezduszna maszyna mass mediów, swoją grę. Tak, żeby osiągnąć jak najwięcej, a duszy nie sprzedać. Pewnie, że mi zależy na "popularce", na pojawianiu się w telewizji, bo dzięki temu ludzie sięgną po moje książki. A tam mogę im powiedzieć wszystko to, co powiedzieć chcę, bez żadnych ograniczeń, które w mediach masowych oczywiście istnieją. Czasem udaje mi się ugrać mniej, czasem więcej, czasem większym, czasem mniejszym kosztem. Generalnie jestem z dotychczasowych rezultatów tej gry zadowolony. Z czego najbardziej? Z "Antysalonu". W niedzielę o 10 rano, czyli w bardzo niewygodnym czasie na publicystykę, (261) w formule "meet the press", wydawałoby się, totalnie nudnej i wyeksploatowanej, na antenie TVP Info, a więc znacznie słabszej od pierwszej czwórki, Jedyńki, Dwójki, Polsatu i TVN-u, regularnie oglądało nas ponad pół miliona ludzi, między osiem a dziewięć procent całej widowni telewizyjnej w tym momencie. I to pomimo że siedzieliśmy w studiu newsowym, bo telewizja nie miała pieniędzy na jakąkolwiek scenografię poza kartonową zastawką z napisem "Antysalon". Zresztą w ogóle mogę się pochwalić, że mimo generalnie niesprzyjającej atmosfery wyniki wszystkich moich medialnych przedsięwzięć z ostatnich lat były dobre. W radiowej Jedyńce, potem w Trójce, moje audycje podnosiły słuchalność anteny i mimo starań rozmaitych sztabów nikt nie znalazł w żadnej z nich nawet słabego pretekstu do kwestionowania mojej rzetelności czy profesjonalizmu. Także wyniki infoporanków, kiedy je prowadziłem, mimo bardzo niedoskonałej formuły, były zachęcające. A tak się śmiesznie składa, że jako o "politycznym nominacie PiS-u" zwykle pisali o mnie ludzie, których dorobek zawodowy jest, delikatnie mówiąc, wątpliwy. Gdyby w Polsce naprawdę były komercyjne media, toby tu pod drzwiami stała kolejka ich szefów z różnymi fajnymi propozycjami. Może jeszcze stanie. Na pewno. Jak powieje inny wiatr i się stanie oczywiste, że Tusk leci. Nie, wcale nie żartuję, po prostu już żyję parę lat w III RP i znam tych ludzi. Już kilka razy tak było -jak się stało oczywiste, że będzie rządzić AWS albo potem, kiedy się zaczynała (262) kroić władza PiS-u. Nagle mi się zaczynał telefon urywać i nagle się okazywało, że ci wszyscy goście, którzy mnie wcześniej omijali szerokim łukiem, są moimi przyjaciółmi i wielbicielami, zachwyconymi moimi umiejętnościami; że koniecznie, koniecznie musimy się spotkać, żeby jakiś program, coś tam ... Takie mamy w naszych mediach kadry, widzisz. I w ogóle w III RP. A kadry, jak uczył towarzysz Stalin, decydują przecież o wszystkim. () (263)

Spis treści RAFAŁ. A. ZITMKIJ:WICZ Pisarz i publicysta, laureat Nagrody Kisiela w 2001 L, członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jeden z kilku najbardziej rozpoznawalnych komentatorów polskiego życia politycznego. Jego wpisy na blogu, opinie na portalach dyskusyjnych, już od kilku lat odwiedzane są przez rekordowe liczby internautów, co budzi zazdrość innych dziennikarzy. Budzą ją także wielotysięczne nakłady powieści z gatunku science fiction i książek publicystycznych bezlitośnie i konsekwentnie diagnozujących kondycję demokracji i mentalność społeczeństwa po transformacji. Bez odwołania się do Ziembkiewicza nie da się ani opisać znaczenia polskiej publicystyki ostatniej dekady, ani rozmawiać o dziejach literatury popularnej w naszym kraju. Rozdział I. (S) Wieśniak Rozdział II. (29) Młody gniewny Rozdział III. (45) Student Rozdział IV. (61) Fantasta RozdziałV. (91) Mężczyzna Rozdział VI. (111) Dupek Rozdział VII. (137) UPR-owiec Rozdział VIII. (163) Michnikolog Rozdział IX. (190) Stypendysta RozdziałX. (211) Nacjonista Rozdział XI. (245) Dziennikarz